

BUDZISZ I ŻURAWSKI VEL GRAJEWSKI ALARMUJĄ:
JESTEŚMY W KRYTYCZNYM MOMENCIE
DLA BEZPIECZEŃSTWA POLSKI!

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
39 (721) 2026
21–27 września 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 28 IX 2026 r.

WYJĄTKOWY WYWIAD

MAMY PLAN NA SUKCES

JAROSŁAW KACZYŃSKI MÓWI NAM O:
KULISACH AFERY ZONDACRYPTO, ROZSTANIU Z MORAWIECKIM,
PRZYSZŁEJ KOALICJI RZĄDOWEJ, RELACJACH Z PREZYDENTEM, ARMII, WOJNIE I AfD

epress.pl/d0b11d332

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl bd0b11d332

O prawicę zdolną do rządzenia

Krzysztof Bosak zszokował dużą część patriotycznych wyborców, deklarując, że prezydent Karol Nawrocki powinien zaprzysiąc Macieja Berka jako sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Później wycofał się z tej deklaracji, tłumacząc się brakiem szczegółowej wiedzy w sprawie licznych wątpliwości prawnych, ale wrażenie, że zobaczyliśmy coś ważnego, pozostało. Z kolei drugi z liderów Konfederacji, Sławomir Mentzen, zapowiedział drastyczne cięcia w wydatkach socjalnych, m.in. likwidację 13. i 14. emerytury, podniesienie wieku emerytalnego oraz wprowadzenie kryterium dochodowego do programu 800+. Oznaczałoby to katastrofę społeczną, pogłębienie katastrofy demograficznej oraz wywołanie kolejnej fali emigracji. W istocie bowiem rządy PiS nie tyle „rozdęły" wydatki prospołeczne, ile wprowadziły bardzo skromny standard państwa cywilizowanego. Standard, który jest niezbędny, jeśli chcemy zachować elementarny poziom spójności społecznej. W przypadku 800+ można jeszcze dodać, że kryterium dochodowe uczyni z programu wsparcia rodzin program socjalny dla biedniejszej części społeczeństwa, stygmatyzując odbiorców pomocy.

A w tle tego wszystkiego jest nieustanna, absurdalna mantra zamykająca się w haśle „PiS – PO, jedno zło". Nie było chyba głupszego hasła w dziejach liczącej sobie już 37 lat III RP. Zrównuje ono bowiem obóz patriotyczny, wdrażający z wielkimi sukcesami przemyślaną, ambitną, a także realną diagnozę polityczną z obozem bezrefleksyjnie wcielającym w życie zewnętrzne recepty, pisane przecież nie z myślą o sukcesie Polski. Zrównuje tych, którzy chcą silnej, podmiotowej Polski, z siłą polityczną, która powstała po to, by Polaków pilnować przed nadmiarem ambicji. Zrównuje tych, którzy prowadzili samodzielną, aktywną politykę zagraniczną z tymi, którzy jedynie pozorują samodzielną drogę, niespecjalnie udanie. Trzeba być ślepcem, by nie widzieć tych i innych różnic.

W tle jest druga Konfederacja – Grzegorza Brauna. Ta stanowi jeszcze większą zagadkę. Przyciągnęła część wyborców domagających się bardziej zdecydowanej obrony przed zagrożeniami cywilizacyjnymi, ale przyciągnęła także środowiska bardziej niż dyskusyjne, choćby ludzi otwarcie prorosyjskich, a także wyglądających na niespełna rozumu. Co się z tego wyłoni – trudno powiedzieć. Można jednak sądzić, że będzie to formacja, z którą współpraca będzie skrajnie trudna, i to na kilku poziomach. Każdy wybryk Konfederacji Korony Polskiej spadnie na potencjalnych koalicjantów, a liderzy tego ugrupowania będą stale eskalowali swoje żądania, domagając się rzeczy albo niemożliwych, albo szkodzących Polsce. Nie chodzi tu o jakąś prawicową „polityczną poprawność" – można być otwartym na bardzo różne sposoby myślenia – ale jednak jest granica, za którą zaczyna się happening, a kończy polityka. I nawet jeśli powstanie rząd prawicowy, to nie będzie w stanie skutecznie działać. Ciągłe awantury szybko zmęczą wyborców i Donald Tusk lub jego następcy wrócą na białym koniu wcześniej niż za kolejne cztery lata.

Mówi o tym w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" prezes PiS Jarosław Kaczyński. I ma rację: czarny scenariusz jest łatwy do przewidzenia. I nawet zaangażowanie prezydenta Karola Nawrockiego może okazać się niewystarczające. To liderzy partii będą panowali nad głosami w Sejmie, a nie głowa państwa. Dlatego dla dobra Polski tak ważne jest, by decydującą siłą przyszłej koalicji rządowej było Prawo i Sprawiedliwość, a więc partia, która udowodniła, że potrafi dźwigać odpowiedzialność za państwo. Partia, która ma kadry doświadczone w rządzeniu, rozumiejące jak działa administracja, spójnie myślące. O tym trzeba mówić głośno, szanując wyborców innych partii prawicy. I trzeba dostrzegać powody, dla których tak wielu wyborców odeszło od PiS. Moim zdaniem jedną z przyczyn było zaburzenie równowagi między sferą wartości a sferą rozwojową. W czasie, gdy wyborcy prawicy tak jak w całej Europie przesuwali się na prawo, PiS przesuwało się, w dużym uproszczeniu, do centrum, czy też może wchodziło w zużyte koleiny chadecji. To w sumie paradoks, bo Prawo i Sprawiedliwość było w Europie prekursorem „alt-rightu", czyli prawicy, która wydaje twardą wojnę cywilizacyjną lewicy i która nie daje się kolonizować ideologicznie przez lewicę. I dlatego nic straconego – fala obu Konfederacji może opaść. Oby tak się stało, bo rząd prawicy musi być po prostu zdolny do życia.

Jacek Karnowski



Autopromocja

SIECI spis treści



29 Desant na Trybunał
Stanisław Janecki



38 Męczennik „uśmiechniętej Polski”
Marzena Nykiel



46 Uberyzacja nasza powszechna
Konrad Kołodziejski

NA POCZĄTEK

5 **ZRZEKAMY SIĘ NIEPODLEGŁOŚCI**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **BEZPIECZEŃSTWO WEDŁUG ZIELIŃSKIEJ**
Dorota Łosiewicz

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **JAK TO TUSK (NIE) SPOTKAŁ TUSKA, CZYLI PRZYPOWIEŚĆ O DROŻYŹNIE**
Daniel Obajtek

13 **ETS2 UDERZY NAS PO KIESZENI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MARIUSZA PIETRASIKA**
Michał Korsun

16 **STOŁÓWKI SZKOLNE W LIKWIDACJI**
Jan Pietrzak

16 **FANI PREMIERA DĄŻĄ DO JEGO OBALENIA**
Samuel Pereira

17 **PREZYDENT GRECJI OTRZYMAŁ POLSKI RAPORT**
Arkadiusz Mularczyk

18 **ZATRUTE DRZEWO**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

20 **MAMY PLAN NA SUKCES**
Z Jarosławem Kaczyńskim rozmawiają Jacek Karnowski i Jerzy Szmit

KRAJ

26 **KRYTYCZNY MOMENT DLA NASZEGO BEZPIECZEŃSTWA**
Marek Budzisz, Przemysław Żurawski vel Grajewski

29 **DESANT NA TRYBUNAŁ**
Stanisław Janecki

32 **UCZCIWOŚĆ BUDZI NADZIEJĘ W KRAKOWIE**
Z Michałem Drewnickim rozmawia Jerzy Szmit

35 **PO CO BYŁ TEN ROZŁAM?**
Piotr Gursztyn

38 **MĘCZENNIK „UŚMIECHNIĘTEJ POLSKI”**
Marzena Nykiel

41 **FAŁSZYWA OBRONA FAŁSZYWEJ OFIARY**
Maciej Walaszczyk

44 **NASTĘPNA OFIARA ZAMORDYZMU TUSKA**
Goran Andrijanić

46 **UBERYZACJA NASZA POWSZECHNA**
Konrad Kołodziejski

49 **BREJA GLOBALNA**
Dariusz Matuszak

ŚWIAT

52 **PIONIER NOWEJ EWANGELIZACJI**
Grzegorz Górny

54 **SZLAK BAŁTYCKI**
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

58 **KTO NAPRAWDĘ WYGRAŁ BITWĘ POD PŁOWCAMI?**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

61 **LWY OD WSCHODU PO ZACHÓD**
Jolanta Gajda-Zadworna

65 **POLSKA CHWAŁA I HAŃBA**
Maciej Walaszczyk

66 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: AGATA KOZIERAŃSKA-BURDA**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **WOJNA DWÓCH PARADYGMATÓW**
Robert Tekieli

72 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

73 **NIE ZE MNĄ TE NUMERY, BRUNNER!**
Ryszard Czarnecki

74 **ROMANTYZM STEPU**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl bd0b11d332

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zrzekamy się niepodległości

Opinia publiczna w Polsce nie wydaje się zainteresowana przyjęciem przez Sejm ustawy, która nakazuje rządowi bezwzględny obowiązek podporządkowania się orzeczeniom Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPC). Nic dziwnego – wydawałoby się. Polska należy do Rady Europy, a zatem podpisała konwencję obrony praw człowieka, na straży której stoi sąd w Strasburgu. Jego wyroki są zatem w mocy i tylko dziwić może, że głosowana jest ustawa, której przepisy i tak są obligatoryjne.

Dodatkowo można być pewnym, że opinia publiczna w naszym kraju z uznaniem przyjmie bezwzględną obowiązywalność wyroków ze Strasburga. Któż jest przeciw prawom człowieka? Przecież w konwencji, która je zapewnia, znajdujemy prawo do życia, zakaz tortur, niewolnictwa i pracy przymusowej, gwarancje wolności oraz bezpieczeństwa osobistego, sprawiedliwy proces, prawo do małżeństwa i inne dobre rzeczy.

Polacy, którzy mają podstawy do rezerwy wobec państwa i jego systemu prawnego, z radością przyjmują, że nadzorował je będzie bezstronny arbiter.

Czy jednak na pewno bezstronny i czy arbiter ów nie jest narażony w większym stopniu na wszelkie schorzenia niekontrolowanej władzy niż demokratyczne państwo? ETPC zawsze występuje w obronie liberalnej ideologii oraz oligarchii, która z niej czerpie swój tytuł panowania. Angażuje się w spory polityczne, a Rada Europy dba o „odpowiedni" dobór jego członków.

W 2021 r. powinna była zakończyć się dziewięcioletnia kadencja Krzysztofa Wojtyczka w ETPC. Została jednak przedłużona, gdyż Zgromadzenie Parlamentarne RE, które zatwierdza krajowych kandydatów, nie chciało zaakceptować sędziów proponowanych przez rząd prawicy. Uzasadnieniem była reforma Krajowej Rady Sądownictwa z 2017 r., która zwiększyła udział Sejmu w mianowaniu sędziów. Oburzały się nią kraje, w których wpływ polityków na mianowanie sędziów (np. w RFN) jest bez porównania większy niż w Polsce po wprowadzeniu reformy. Wojtyczek zastąpiony został dopiero po przejęciu władzy przez koalicję 13 grudnia, mimo że żadne zmiany w KRS nie nastąpiły. O politycznym zaangażowaniu ETPC świadczyły także wyroki na korzyść polskich sędziów, którzy nie zostali wybrani do nowego KRS.

Liberalna ideologia stała się obowiązującą doktryną europejskiej korporacji prawniczej i gwarantuje jej reprezentantom nieznaną wcześniej pozycję polityczną, naruszając tym fundamenty demokracji. Spowodowała fundamentalną zmianę w antropologicznym ujęciu człowieka i jego praw. W nowym, emancypacyjnym podejściu nie jest on już kształtowaną kulturowo istotą społeczną, ale samostwarzającym się bytem. Odrzucenie prawa naturalnego, czyli obiektywnych norm, które wyznaczać powinny ludzkie zachowanie, doprowadziło do krańcowej arbitralności w ujęciu praw człowieka i uznaniu za nie dowolnego zestawu życzeń, jeśli zostanie on wsparty przez odpowiednio silne lobby. Ma nim być np. pełna dopuszczalność aborcji i eutanazji, uznanie za małżeństwo dowolnego związku czy chęć zmiany płci. Dowolność interpretacji praw człowieka daje sędziom, których reprezentantami jest Trybunał w Strasburgu, niczym nieskrępowaną władzę i sytuuje ich ponad jakimikolwiek demokratycznymi ciałami. Co więcej, sędziowie w przeciwieństwie do polityków nie muszą liczyć się z konsekwencjami swoich posunięć.

Uderzającym przykładem arbitralnego rozszerzania koncepcji praw człowieka jest stosunek ETPC do imigrantów. Sąd w Strasburgu, a za nim sądy w krajach Rady czynią Europę bezbronną wobec związanego z nimi zagrożenia. Okazuje się, że według ETPC prawo do bezstronnego sądu oznacza, że nie można np. deportować przestępcy do jego rodzinnego kraju, w którym prawo to nie jest gwarantowane. A udowodnić można, że w żadnym z państw, skąd przybywają do Europy migranci, nie jest to zapewnione. Rozbudowując w ten sposób wykładnię praw człowieka, ETPC realnie uniemożliwia kontrolę napływu ludności do Europy.

Nic dziwnego, że 15 maja br. wszyscy członkowie Rady Europy sformułowali deklarację kiszyniowską, która faktycznie wzywa ETPC do zmiany interpretacji praw migrantów. Ponad tysiąc wyroków tego sądu nie zostało w Europie ciągle wdrożonych. A rząd Tuska przyjmuje ustawę, która podporządkowuje nas każdemu wyrokowi ze Strasburga.

Ewolucja ETPC dowodzi, jak naiwne były sny o bezstronnych, ponadnarodowych instytucjach, które nadzorowały będą właściwy model europejskiego czy wręcz światowego ładu. Podporządkowanie się im oznacza rezygnację z narodowej podmiotowości i demokracji oraz zgodę na przekazanie władzy nad naszym krajem w ręce kasty współczesnych braminów, wpisanych w europejską oligarchię. Nowy rzecznik praw obywatelskich w Polsce, eksponent rządu Tuska, Sylwia Gregorczyk-Abram, podczas sejmowych przesłuchań powiedziała wprost, że orzeczenia ETPC mają dla niej większe znaczenie niż polska konstytucja.

Tusk wypełnia zobowiązania wobec swoich europejskich patronów.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl bd0b11d332



Sygnalista nadaje

Cała branża fryzjerska i perukarska z ogromnym napięciem śledzi pojedynek na włosy: dwa różne style, dwa odmienne podejścia do owłosienia. ***Michał Sopiński*** *versus* Sławomir Cudak. Co wybieracie? Obaj panowie dumnie noszą obfite plerezy, ale nie w tej samej stylistyce. Michał wybrał wersję rozwianą w stylu „paziowie króla Zygmunta", Sławomir postawił na ekologię i odpowiedzialność za płonącą planetę. Oszczędza wodę i jest przeciwny używaniu szamponów oraz innych detergentów. Nic zatem dziwnego, że jego model zyskał uznanie naczelnego drwala Tenkraju, czyli ministra ds. rozliczeń i planów Be Waldka Żurka. On też jest znany ze szczególnej dbałości o oszczędzanie wody.

Nagroda w konkursie jest bardzo wartościowa – to tytuł rektora AWS. Nie chodzi o ugrupowanie polityczne z epoki późnego Kwacha, ale szkołę klawiszy. Konkurs ma również wymiar międzynarodowy. Michał to absolwent uczelni we Francji, Sławomir wybrał inaczej, w myśl przysłowia „i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu". Jego Alma Mater to Rużomberk na Słowacji, gdzie za naprawdę umiarkowane pieniądze można było nabyć tytuł docenta. Opłaciło się, bo dzięki temu Sławomir jest doktorem habilitowanym, tak jak inna duma nauki polskiej, czyli prof. dr hab. Baśka Mróz-Gorgoń.

Breaking news! (czytaj: łamiąca wiadomość). Policja weszła na teren nieruchomości prof. dr hab. Baśki Mróz-Gorgoń. Lub wtargnęła. Jeszcze nie wiemy, czy to wiadomość dobra, czy zła. Poinformujemy o tym od razu, gdy dowiemy się, czy to szykany ze strony pisowskiego deepstate, czy słuszne zdemaskowanie Baśki jako oszustki i agentki nasłanej przez prawicę. I być może opłacanej przez Zondacrypto. Prosimy o cierpliwość, gdyż czekamy na wiążącą interpretację zdarzeń. Panowie Żurek, Giertych i Szłapka są teraz zajęci innymi kwestiami, więc nie otrzymaliśmy jeszcze wytycznych.

Uwaga osoby ciężko chore! Ale tylko ze strony demokratycznej. Ręce, które leczą, są niedaleko. ***Dawid Kacprzyk***, wybitny autorytet medyczny strony demokratycznej, znalazł nową pracę. W Jaktorowie koło Żyrardowa. To zaledwie 42 km od Miasteczka Wilanów. Nawigacja mówi, że na piechotę to tylko 10 godzin w jedną stronę. Samochodem 40 minut (jeśli nie ma korków), ale paliwo troszkę zdrożało, więc rekomendujemy bardziej ekologiczne formy przemieszczania. Odrobina ruchu jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wtedy nie będzie również korków. Przykro jest słuchać takich słów, jakie wypowiedział Witczak Mariusz, polityk demokratyczny z KO: „Wolałbym zapomnieć o jego osobie". Haniebne słowa. A my nie zapomnimy o Dawidzie Kacprzyku, doktorze Judymie naszych praworządnych czasów.

Idziemy na rekord. Najdłuższy polski serial to „Klan". Prawie 5 tys. odcinków. Ale rośnie poważna konkurencja. To serial „Koniec Pełczyńskiej-Nałęcz. Premier wyrzuci ją z rządu". „***Pełczyńska-Nałęcz*** nie dotrwa do końca kadencji. Tusk ma jej dość. Nie ma chemii między nią a pre-

eprasa.pl bd0b11d332

mierem” – mówi jeden z recenzentów serialu. Ale zanim to nastąpi, będzie jeszcze niejeden zwrot akcji. Główni bohaterowie przecież nie mogą zginąć. A na końcu i tak zwycięży dobro. I miłość.

Trochę smutne, że w tym serialu brakuje miejsca dla ***Szymona Hołowni***. Miał być przecież wielki comeback. Ale sam sobie jest winny. Gadał z tym Nawrockim z Gdańska, a wiadomo, iż żaden prawdziwy demokrata z nim nie rozmawia. Takie są bowiem zasady kohabitacji w demokratycznym państwie prawa (tak jak my je pojmujemy). Szymon chyba to zrozumiał, bo znowu szuka jakiejś innej fuchy. Weźmie nawet posadę ambasadora przy Watykanie. Taki młody, a już chce być Hanną Suchocką. Chyba jednak musi, bo nawet posłowie z jego własnego klubu sejmowego nie chcą, aby był ich szefem. Dlaczego? Przecież taki cudny był, gdy płakał nad konstytucją. A jaki śliczny, gdy ta bardziej światła część społeczeństwa chodziła do kin na Sejmflix. Szymonie, co poszło nie tak?

Selerze, papryko, grejpfrucie i ty, dynio, jesteście uosobieniem lewackiej ideologii. Zdrowe w każdej postaci. Mało soli, mało cukru, pełne witamin. Idźcie do szkół i głoście lewackie idee – zaapelowała osoba wiceministerska Karolina Zioło-Pużuk. To godna i adekwatna odpowiedź na prawacką kampanię hejtu przeciw diecie planetarnej. Prawica musi wreszcie zrozumieć, że pasza planetarna wprawdzie nie jest smaczna, ale za to argumenty w jej obronie są jeszcze głupsze. W obronę paszy planetarnej zaangażował się nasz ukochany biuletyn, czyli „GazWyb”. Czytamy tam wywiady z anonimowymi kucharkami, które zachwalają pomysł żywienia kaszojadów kotletami z brukwi i peluszki. Fakt, że bohaterskie kucharki udzielają wywiadów anonimowo, świadczy o skali terroru i kampanii nienawiści rozpętanej przez prawicę.

Ludzie! Jest kasa do wzięcia! Dawna przechowalnia dla ludzi PiS, gdzie były marnotrawione publiczne pieniądze, zgodnie z zapowiedzią ze 100 konkretów na 100 dni będzie zlikwidowana. Zgodnie z obietnicą złożoną przez Pana Premiera i wunderteam Szczerba and Joński (najlepszy boysband strony demokratycznej). Chodzi o tzw. Polską Fundację Narodową. Chwilowo jednak jest w stanie likwidacji (tak jak TVP), więc nadal rozdaje pieniądze. Ale oczywiście tylko prawdziwym demokratom. Jeśli więc ktoś z was nie załapał się na KPO HoReCa albo bezzwrotną dotację z Karkonoskiej Agencji Rozwoju, to zgłaszajcie się do PFN. Fundacja dostała od spółek skarbu państwa w tej kadencji symboliczne 77,5 mln zł. Nie stój, nie czekaj, aplikuj. Pieniądze z PFN pozwolą podnieść twój klub swingersów na wyższy poziom.











Jeśli chodzi o pieniądze – te publiczne – to spieszymy z ciekawą i pouczającą informacją. Kto rano wstaje, temu ***Marcin Kierwiński*** daje. I to całkiem sporo. Ponad pięć dużych baniek. Wygrana w demokratycznej i praworządnej loterii prowadzonej przez MSWiA trafiła do Telewizji Śniadaniowej w Likwidacji. Miłośnicy Marcina będą mogli go tam obejrzeć w 16 miniaudycjach i 7 felietonach. Trochę szkoda, że to tylko miniaudycje, bo jeśli chodzi o Marcina, lepsze byłyby maxiaudycje. Lepiej się w nich mieści.

Jeśli chodzi o Marcina Kierwińskiego, to mamy jeszcze jedną informację. Według pogłosek krążących w branży medialnej w ostatnich tygodniach jedna z redakcji szykowała materiał na temat jednego z najważniejszych ministrów obecnego rządu. Tematem publikacji miało być nielegalne oferowanie stanowisk w zamian za pomoc w kampanii wyborczej. Na szczęście szybka i zdecydowana interwencja władz Koalicji Obywatelskiej sprawiła, że redakcja przeliczyła swoje wpływy budżetowe i podjęła jedynie słuszną decyzję. Oszczerczy materiał nie zostanie opublikowany.

Wiadomości z Krakowa. Bartosz Bocheńczak z Nowej Nadziei, moralny zwycięzca przedterminowych wyborów prezydenckich w mieście pod Wawelem, wystąpił z ciekawą inicjatywą. Ponieważ jest człowiekiem zapobiegliwym, zakupił wcześniej sporo tzw. nośników reklamowych. Czyli szyldów, na których miały być rozklejone piękne zdjęcia z jego uroczą twarzą. Nie spodziewał się jednak, że najbliżsi koledzy partyjni nie będą przesadnie wydajni w zbieraniu podpisów obywateli popierających jego kandydaturę. Dalszy ciąg znacie, ale są nowe wiadomości. Bartosz wspaniałomyślnie oferuje (za przyzwoitą cenę) nośniki innym kandydatom. Tym, którym udało się tytaniczne dzieło zbierania podpisów. Bartosz zaczął od Łukasza Gibały, bo uznał, że to najbardziej prawdopodobny zwycięzca wyborów. Łukasz również tak o sobie myśli, więc nie wyrywa się do przyjęcia oferty. Bartoszowi doradzamy plan Be – jak nie Łukasz Gibała, to może chociaż pani Owca z Partii Razem. Może ona odkupi? Lewacy popierają utylizację mało używanych billboardów.

Fot. Liudmyla Skwarczyńska 2x, AWS, Andrzej Wiktor 2x

eprasa.pl bd0b11d332

WIEŻA BAB

Bezpieczeństwo według Zielińskiej

Kiedy zagrożenie jest małe i ma cztery racice – nie strzelamy. Kiedy zagrożenie jest duże i ma gąsienice – tworzymy bagno

Urszula Zielińska została niedawno Główną Konserwatorką Przyrody. Straciła władzę nad OZE, ale najwyraźniej zyskała coś znacznie ważniejszego: możliwość projektowania nowej polskiej strategii bezpieczeństwa opartej na dzikach, bagnach i zasadzie, że do niczego, co żyje i ma racice, absolutnie nie należy strzelać. Chyba że jest to rosyjski czołg. Wtedy wystarczy utworzyć bagno.

Ale zacznijmy od dzików. Problem jest coraz większy. Dziki coraz śmielej wchodzą do miast w poszukiwaniu jedzenia. Widać je w parkach, na ulicach, pod blokami. Pojawiają się tam, gdzie są ludzie, dzieci i psy. Dochodzi do niebezpiecznych sytuacji. I właśnie tutaj pojawia się pani minister Zielińska: „Uśpienie, odstrzał powinny być ostatecznością. I na pewno nie na oczach ludzi i nie na placu zabaw dla dzieci, nie w piaskownicy, na oczach mieszkańców" – klarowała w RMF FM.

Ta piaskownica jest kluczowa. Na placu zabaw bawią się dzieci. Jedno robi babkę z piasku, drugie zjeżdża ze zjeżdżalni, trzecie właśnie odkrywa, że świat jest piękny, dopóki nie pojawi się w nim dzik. Bo dzik może znaleźć się w piaskownicy. Dzik może wejść na plac zabaw. Dzik może pojawić się między huśtawkami. Dzik może przestraszyć dzieci. Dzik może zaatakować psa. Dzik może zaatakować człowieka. Ale człowiek nie może zrobić nic.

Można więc sobie wyobrazić nową miejską instrukcję bezpieczeństwa. Co zrobić, gdy do piaskownicy wejdzie dzik? Po pierwsze: zachować spokój. Po drugie: nie drażnić zwierzęcia. Po trzecie: nie wykonywać gwałtownych ruchów. Po czwarte: absolutnie nie podejmować żadnych działań, które mogłyby zostać odebrane jako nieprzyjazne wobec dzika. Po piąte: natychmiast odsunąć dzieci. Po szóste: jeżeli dzieci nie chcą się odsunąć, trudno. Dzik też ma swoje prawa. Po siódme: wezwać odpowiednie służby. Po ósme: cierpliwie czekać. Po dziewiąte: jeżeli dzik zaatakuje, trzeba będzie zapewne powołać zespół do wypracowania rozwiązania systemowego. Najważniejsze, żeby nie stało się nic nieodwracalnego. Zwłaszcza dzikowi.

A jak zaatakują nas Rosjanie – to też nie strzelać. Niech się potopią w bagnach. To nasza nowa strategia. Ministerstwo ma do dyspozycji 500 mln zł na projekty nawadniania i tworzenia obszarów, które – jak tłumaczyła Zielińska – mogą stać się strefami „slow-go" albo „no-go", w których wojska przeciwnika ugrzęzną, a pojazdy wojskowe mogą zatonąć. Projekty mają być wdrażane wzdłuż wschodniej granicy. Rosyjskie wojska, zamiast natknąć się na zasieki, pola minowe czy umocnienia, natkną się na coś znacznie bardziej ekologicznego. Mokradło.

Jest w tym zresztą pewna filozoficzna konsekwencja. Dzik jest zwierzęciem dzikim, należy więc respektować jego naturalne zachowanie. Rosyjski czołg też będzie zachowywać się naturalnie: będzie chciał jechać. I wtedy napotka mokradło. Dzik może przejść, czołg nie. Wreszcie mamy system obronny, w którym każdy element środowiska naturalnego może pełnić funkcję strategiczną.

Las? Kamuflaż. Rzeka? Przeszkoda. Bagno? Pułapka. Dzik? Mobilny element odstraszania.

A piaskownica? Piaskownica jest strefą szczególnie chronioną. Nie dla dzieci. Dla dzika. Może zresztą właśnie tutaj kryje się głębia myśli pani Zielińskiej. Bo skoro dzik może wejść do piaskownicy, a człowiek nie może przeprowadzić odstrzału, mamy do czynienia ze strefą no-go dla człowieka. Dzik wchodzi. Człowiek wychodzi. Dziecko wychodzi. Myśliwy nie wchodzi. Administracja telefonuje. Aktywiści protestują. Dzik zostaje. To już nie jest zwykła piaskownica. To jest obszar specjalny.



W tej historii bagno jest tylko częścią większej układanki. Bo mamy w Polsce nową doktrynę bezpieczeństwa. Kiedy zagrożenie jest małe i ma cztery racice – nie strzelamy. Kiedy zagrożenie jest duże i ma gąsienice – robimy bagno. A kiedy zagrożenie znajduje się w piaskownicy? Wtedy przede wszystkim trzeba uważać, by nikt nie zobaczył odstrzału. Dziecko może więc zobaczyć dzika. Może zobaczyć, jak dzik ryje w piasku. Może zobaczyć, jak dzik przegania dorosłych. Może nawet zobaczyć, jak dorośli uciekają. Nie powinno zobaczyć tylko jednego – że ktoś skutecznie rozwiązuje ten problem. Bo jeszcze mogłoby dojść do sytuacji, w której dziecko pomyśli, że człowiek ma prawo czuć się bezpiecznie we własnym mieście. A to byłoby już naprawdę bardzo niedzisiejsze. Na szczęście mamy 500 mln zł. W razie czego utworzymy bagno. Tylko trzeba zdążyć przed Putinem. I uważać, żeby nie zrobić go na placu zabaw. Tam dziki mają pierwszeństwo.

Dorota Łosiewicz

Jak dzik w żołędzie

Ronald Kieł oddawał się ciężkiej pracy, czyli przeglądał swoje rolki w najnowszym modelu smartfona. Bardzo lubił patrzeć na swoje filmy, z których wynikało, że jest mądry, przystojny i ogólnie błyskotliwy. Właśnie zastanawiał się, czym po raz kolejny olśnić użytkowników mediów społecznościowych, kiedy otworzyły się drzwi i do gabinetu premiera wbiegła jakaś niewysoka kobieta, krzycząc przeraźliwym głosem.

– Rafael to morderca!

Kieł zerwał się z fotela i schował się za nim, patrząc niepewnie przed siebie. Był oczywiście wyjątkowo dzielnym mężczyzną i nie bał się nikogo (może z wyjątkiem Boksera, ale ten strach głęboko ukrywał), ale wychodził z założenia, że z osobami niestabilnymi emocjonalnie trzeba uważać. Zebrał się jednak na odwagę, zwłaszcza że dostrzegł, iż za krzyczącą kobietą pojawił się minister spraw wewnętrznych Marcin Pogłosowski. Wysunął palec skierowany w stronę intruzki i powiedział.

– Proszę nie krzyczeć w moim gabinecie. A w ogóle to kim pani jest i jak pani tu weszła?

Kobieta osłupiała.

– Jak to kim, panie Kierowniku?! – spytała głosem pełnym wyrzutu. – To ja, wiceministra klimatu i generalny konserwator przyrody, Urszula Sara Żółcińska.

– Faktycznie, nie poznałem w pierwszej chwili – powiedział Kieł, wychodząc zza fotela i wykonując energiczne ruchy ramionami, mające przekonać przybyłych, że wcale się schował, tylko ćwiczył skłony. – Ty przecież jesteś z naszej koalicji. Urszula, tak?

– Wolę Sara – odpowiedziała kobieta, trzepocząc zalotnie rzęsami, jakby onieśmielona osobowością Kła.

– Niech będzie Sara – zgodził się łaskawie premier, zaraz jednak dodał ze srogą miną. – Możesz być wiceministrą w moim rządzie, ale nic nie usprawiedliwia wpadania z krzykiem do mojego gabinetu!

– Przepraszam, Kierowniku – powiedziała wciąż wzburzona Sara. – Ale to było tak... minister Pogłosowski stał pod drzwiami i mówił, że jest pan zajęty i nie wolno przerywać... a ja przecież biegłam tutaj w takiej ważnej sprawie... i zaczęłam do niego krzyczeć i taka siła we mnie wstąpiła, że wtargnęłam...

Stojący za jej plecami Pogłosowski zaczął dyskretnie stukać palcem w czoło, sugerując, że wiceministra lekko się odkleiła.

– Już dobrze, Saro – rzekł z łagodną perswazją Kieł, bo znów zaczął się bać tej kobiety. – Weź głęboki oddech, policz do dziesięciu. Dobrze? A teraz powiedz, co krzyczałaś, kiedy tutaj wbiegłaś.

– Rafael to morderca! – ryknęła ponownie Żółcińska. I dodała znacznie ciszej. – On zamordował dzika.

– Rafael? Niemożliwe – odezwał się Pogłosowski. – Rafael to ciamajda, on by nawet szczura w centrum stolicy nie ubił, a co dopiero dzika.



– To była metafora, Pogłos – Sara odparła pełnym wyższości głosem proanimalnej aktywistki, którą była w młodości. – Może Rafael sam nie wymierzył pistoletu, ale zrobili to jego ludzie. On jest mordercą!

– Wydaje mi się, że do dzików nie strzela się z pistoletu – rzekł Pogłosowski. – Ale nieważne z czego strzelali, bo to faktycznie skandal. Niedopuszczalne!

– A niby dlaczego, Pogłos? – zainteresował się Kieł. – Czemu bronisz dzików? Przecież one nie mają praw wyborczych...

– One nie, ale ich obrońcy tak – spokojnie odpowiedział Pogłosowski. – W sporze pomiędzy ludźmi a zwierzętami nasi wyborcy zawsze stają po stronie zwierząt.

– To oczywiste! – dodała natychmiast z patosem Urszula Sara. – Mówimy w imieniu tych, którzy nie potrafią mówić we własnym imieniu...

– Chyba że chodzi o dzieci nienarodzone, bo w ich imieniu się nie wypowiadamy – przytomnie zauważył Kieł.

– Rozumiemy się bez słów, nam chodzi wyłącznie o zwierzęta – powiedziała Sara, spoglądając na premiera z wdzięcznością. – Ogromnie ważne jest, by wspierać naszych animalnych braci. Dlatego inicjatywa ministry edukacji Barbary Niejakiej, prowadząca do wycofania ze stołówek szkolnych mięsa, jest wspaniała. Ulice miast Tenkraju będą o wiele piękniejsze, gdy będą po nich stąpać młodzi wegetarianie...

– Brrr! – premier zatrząsł się przerażony tą wizją. – Wystarczy już, Saro. Obiecuję przeprowadzić rozmowę dyscyplinującą z Rafaelem, a ty zmykaj do pracy. I pamiętaj: całym sercem jestem z tobą.

Gdy za Sarą zamknęły się drzwi, Kieł natychmiast sięgnął po telefon, błyskawicznie zadzwonił i powiedział do słuchawki.

– Myszko, niedługo kończę pracę, co ty na to, żebyśmy dzisiaj zamówili gulasz z dziczyzny? Skąd pomysł? Aaa, taka jedna tutaj narobiła mi smaku...

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMiN

eprasa.pl bd0b11d332

Widmo kryzysu

Na światowym rynku może zabraknąć kilku milionów baryłek ropy naftowej dziennie po tym, jak Arabia Saudyjska poinformowała swoich europejskich klientów, że część transportów paliwa zakontraktowanych na wrzesień została anulowana.

Decyzja Arabii Saudyjskiej jest skutkiem zniszczenia głównego rurociągu tłoczącego ropę naftową na wybrzeże Morza Czerwonego. Każdego dnia transportowano nim 5 mln baryłek paliwa z pól naftowych we wschodniej części kraju do portu w Janbu. Pozwalało to na ominięcie blokad i utrudnień wzdłuż cieśniny Ormuz, spowodowanych wojną z Iranem.

Według ustaleń rurociąg został zbombardowany przez irackie milicje szyickie, współpracujące z jemeńskimi rebeliantami Huti. Obie te grupy są wspierane przez Iran. Wcześniej Huti, po rozbiciu wojsk jemeńskich i saudyjskich, zdołali przejąć kontrolę nad cieśniną Bab al-Mandab, przez którą wiedzie strategiczny szlak żeglugowy prowadzący z Azji w kierunku Kanału Sueskiego i Europy. Utrata dostępu do niego – podobnie jak w przypadku cieśniny Ormuz – poważnie skomplikowała i ograniczyła saudyjski eksport ropy. Jedyną opcją pozostawał Kanał Sueski, który jest jednak niedostępny dla największych tankowców. Po zniszczeniu rurociągu do portu w Janbu również ta droga została wykluczona.

Eliminacja jednego z głównych producentów ropy naftowej na świecie może oznaczać początek poważnego globalnego kryzysu. Ceny paliw na giełdach gwałtownie skoczyły, a w Stanach Zjednoczonych pobiły swoje historyczne rekordy, obniżając tym samym szanse republikanów na osiągnięcie dobrego wyniku w zbliżających się wyborach do Kongresu. Jeżeli nie uda się zapanować nad sytuacją, polityczne konsekwencje poniesie Donald Trump, którego w Ameryce coraz częściej obwinia się o niepotrzebne przystąpienie do wojny z Iranem. Nic więc dziwnego, że w obliczu własnych problemów odmówił on Saudyjczykom pomocy zbrojnej w walce z Huti.



Arabia Saudyjska chce za wszelką cenę odbudować uszkodzony rurociąg i odzyskać możliwości eksportu ropy naftowej. Pełna naprawa może się jednak okazać trudna – mówi się, że w październiku przepustowość rurociągu będzie nadal ograniczona. Inną kwestią jest nadszarpnięty wizerunek Arabii Saudyjskiej jako regionalnej potęgi. Mimo ogromnych środków przeznaczanych na nowoczesne uzbrojenie Saudyjczycy okazali się kompletnie bezradni wobec zacofanych, fanatycznych rebeliantów, którzy – wspólnie z Iranem – zagrażają ich bezpieczeństwu. Zdaniem niektórych komentatorów w niedalekiej przyszłości może to doprowadzić do gwałtownych zmian politycznych w Arabii Saudyjskiej, a nawet do upadku tamtejszej monarchii.

Konrad Kołodziejski

Szturm z Sorosem w tle

Wspierana przez fundację George'a Sorosa organizacja pozarządowa No Name Kitchen ułatwiła imigrantom niedawny najazd na Ceutę i Melillę. To kolejny przykład zaangażowania amerykańskiego miliardera we wspieranie imigracji do Europy.

Działalność No Name Kitchen jest współfinansowana przez Open Society Foundations George'a Sorosa. Organizacja dostarcza m.in. żywność, zestawy higieniczne i odzież, a także – jak się okazuje – udzieliła profesjonalnej pomocy prawnej w przełomowym postępowaniu sądowym, które sparaliżowało działania hiszpańskich służb imigracyjnych, zakazując zawracania osób próbujących przekroczyć morską granicę Unii.

To właśnie prawnicy No Name Kitchen pomogli jednemu z Algierczyków, który został zatrzymany na morzu podczas próby dopłynięcia do Ceuty. Pod koniec czerwca hiszpański Sąd Najwyższy orzekł, że natychmiastowe wydalenie do Maroka jest dopuszczalne jedynie podczas próby przekraczania fizycznych barier, takich jak zapory i płoty, ale nie podczas przekraczania granicy drogą morską. Zakazano tym samym tzw. hot returnów, a więc automatycznego zawracania takich osób.

Wkrótce po tym orzeczeniu Ceuta odnotowała skokowy wzrost napływu nielegalnych imigrantów przez morze, co natychmiast powiązano ze zmianą ustawy imigracyjnej, która



dla tysięcy próbujących przedostać się do Europy okazała się wręcz oficjalną zachętą. Dotychczasowe procedury stosowane przez strażników granicznych zostały bowiem skutecznie sparaliżowane.

W sprawę Algierczyka była również zaangażowana specjalizująca się w pomocy prawnej Coordinadora de Barrios oraz Jezuicka Służba Migrantów. Wszystkie tego rodzaju organizacje faktycznie są zaangażowane we wspieranie imigracji na masową skalę. Szczególnie wymowna jest tu współpraca podmiotów finansowanych przez fundację Sorosa z tymi, które są związane z Kościołem katolickim. Ich działalność nie tylko zachęca imigrantów do forsowania granic, lecz także przyczynia się do manipulowania polityką uchodźczą.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl bd0b11d332



Sojusz z Unią

Premier Kanady Mark Carney, w obliczu wojny celnej ze Stanami Zjednoczonymi i gróźb Donalda Trumpa, że przekształci północnego sąsiada w 51. stan, zdecydował się na śmiały ruch. Dziennik „The Wall Street Journal" poinformował, że w ostatnich tygodniach przeprowadził on serię rozmów z przywódcami państw europejskich, których celem było doprowadzenie do „podniesienia relacji Kanady i UE na wyższy poziom".

Nie chodzi o formalne członkostwo, ale o dalsze zbliżenie polityczne, gospodarcze i wojskowe. Carney miał polecić swojemu wysłannikowi do Europy, aby zbadał możliwości zacieśnienia współpracy, nawet w wariancie maksymalnego zbliżenia, wykluczając jednak aplikowanie o członkostwo. Szczegółowy harmonogram rozmów ma być dopiero opracowywany, lecz – jak informują amerykańscy dziennikarze – powołano już grupy robocze, a premier Carney miał powiedzieć swoim współpracownikom, że będzie to reorientacja gospodarki i społeczeństwa, które dotąd było zdominowane przez Stany Zjednoczone.

Potwierdzeniem głębokości geostrategicznego zwrotu Kanady ma być przyjęcie oficjalnego statusu „członka stowarzyszonego Unii Europejskiej". Co prawda ustawodawstwo Wspólnoty nie przewiduje takiej konstrukcji, ale biurokracja w Brukseli może dążyć do zbudowania nowej formuły współpracy, aby zatrzeć wrażenie malejącego „powabu" Unii Europejskiej po fiasku niedawnego referendum w Islandii. Kanadyjscy negocjatorzy chcą zaś, aby ich kraj dołączył do wartego 21 bln dol. unijnego rynku, w szczególności do strategicznych łańcuchów dostaw surowców, energii i technologii. Polem pogłębionej kooperacji ma być także obronność. „The Wall Street Journal" informuje również, że podczas rozmowy premiera Kanady i prezydenta Francji pojawiła się propozycja ruchu bezwizowego i szerszego otwarcia rynku pracy.

Kanada jest też zainteresowana – wespół z Europejczykami – w rozwoju północnej drogi morskiej przebiegającej przez obszary arktyczne i chciałaby docelowo zmienić kierunek swoich rurociągów naftowych i gazowych, które dziś pompują surowce do Stanów Zjednoczonych.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x4



Wolność słowa na celowniku

Pozarządowa organizacja Big Brother Watch opublikowała ostatnio raport o wolności słowa w Wielkiej Brytanii. Wynika z niego, że w ciągu ostatnich pięciu lat aresztowano tam co najmniej 62 199 osób za przestępstwa związane z wypowiedziami w internecie. Zarzuty postawiono 18 520 osobom, a 12 292 skazano.

Dla porównania: od 2013 r. w komunistycznych Chinach udokumentowano ponad 2 tys. sankcji karnych za wpisy w mediach społecznościowych, a na Kubie od 2021 r. odnotowano co najmniej 42 przypadki uwięzień za komentarze internetowe. Na Węgrzech w latach 2010–2026 za nadużywanie wolności słowa wszczęto sprawę tylko przeciw jednej osobie, ale nie została ona pociągnięta do odpowiedzialności karnej. Mimo to media głównego nurtu były pełne doniesień o „dyktaturze" Orbána, podczas gdy Wielka Brytania jest przedstawiana jako ostoja demokracji, choć za posty w internecie zatrzymuje się tam 34 osoby dziennie. Podobnie dobrą prasę mają Niemcy, gdzie policjanci z Centralnego Biura ds. Zwalczania Przestępstw z Nienawiści w Internecie każdego dnia wkraczają z nakazem rewizji do ok. 50 prywatnych mieszkań.

Toby Young, prezes Free Speech Union – innej brytyjskiej organizacji pozarządowej – zauważył na łamach „Mail on Sunday", że w Wielkiej Brytanii rośnie liczba kradzieży, napadów i gwałtów, a policja, zamiast patrolować ulice i walczyć z prawdziwymi przestępcami, zajmuje się monitorowaniem sieci. „W całym kraju ludzie obawiają się już wyrażać swoje opinie na wiele tematów, ponieważ boją się, że zostaną zatrzymani o czwartej nad ranem przez dwóch funkcjonariuszy w cywilu z tęczowymi smyczami na szyi" – napisał Young.

W tej kwestii Europa coraz bardziej oddala się od Ameryki, gdzie wolność słowa jest chroniona pierwszą poprawką do konstytucji. To dlatego w ub.r. J.D. Vance napisał, że „kryminalizacja wypowiedzi będzie prawdziwym obciążeniem dla stosunków między Europą a Stanami Zjednoczonymi. To orwellowski pomysł i wszyscy w Europie i USA muszą odrzucić to szaleństwo".

Grzegorz Górny

eprasa.pl bd0b11d332

Jak to Tusk (nie) spotkał Tuska, czyli przypowieść o drożyźnie

Niestety dzisiaj problem jest większy. Rząd odkrył bowiem nowoczesną metodę obniżania cen – nie obniżać ich wcale i zrzucić winę na kogoś innego. Nie wygląda to Państwu na zabawę w przedszkole? Niestety tak dziś wygląda cyniczna polityka energetyczna obecnie rządzącej ekipy. A rachunki i koszty życia mają to do siebie, że nie czekają na kolejną konferencję. Szkoda, iż rząd traktuje ten kryzys tak instrumentalnie, zamiast zakasać rękawy – jak poprzedni gabinet podczas poprzedniego kryzysu energetycznego.

Prąd? W 2026 r. średnia cena samej energii dla gospodarstw domowych wynosi ok. 500 zł/MWh. Analitycy oceniają, że w 2027 r. może to być ok. 600 zł. To 20 proc. więcej za samą energię. Cały rachunek oczywiście wzrośnie dużo bardziej, bo na fakturze jest jeszcze cała reszta. I tu pojawia się wynalazek obecnej władzy – jeśli nie umie się utrzymać cen w ryzach, można zastosować kreatywną księgowość i schować najbardziej rzucające się w oczy podwyżki gdzie indziej. Ostatnia zmiana prawa wprowadzi na nasz rachunek nową pozycję przy cenie energii – „opłatę abonamentową". Rachunek miał być prostszy, a nadchodzi dodatkowa opłata. Brawo oni! Myślicie, że promowane przez rząd taryfy dynamiczne Was uratują? Nie, jeśli za włączenie czajnika o godz. 20.00 będziecie płacić nawet 4 zł/kWh! Kawa droższa niż w modnej kawiarni w centrum. I jeszcze trzeba pozmywać.

Gaz również postanowił nie współpracować z matematyką, jak ją rozumie ta cyrkowa ekipa. Od października ORLEN podwyższył ceny gazu dla biznesu o prawie 80 proc.! Przy tak świetnej polityce od stycznia za paliwo do ogrzewania gazem zapłacimy nawet o 100 proc. więcej.

Rosną też ceny produkcji energii elektrycznej z gazu, a im droższy gaz, tym bardziej atrakcyjny staje się węgiel, co przyznał ostatnio prezes TAURONU. I tutaj zaczyna się najlepszy żart. Od lat słyszymy, że węgiel to przeszłość. Tymczasem gdy gaz drożeje, elektrownie patrzą na węgiel i mówią: „Wiesz co? Jednak zostań". Tylko że węgla też zaczyna brakować. Andrzej Gajewski z ORLEN Termiki ostrzega przed ryzykiem niedoboru przy mroźnej zimie. W PGG zapasy, które pod koniec 2025 r. przekraczały 2 mln t, na koniec tego roku mają być bliskie zera.



W 2021 r. Donald Tusk miał prosty sposób na tanią benzynę. Wystarczyło obniżyć VAT z 23 do 0 proc., a litr – jak mówił – mógł kosztować 4,88 zł. Pięć lat później Tusk ma władzę, ale cena paliwa go pokonała. Wychodzi więc na to, że między programem Tuska z 2021 r. a Tuskiem z 2026 r. wydarzyło się coś niezwykłego – Tusk spotkał Tuska i go po prostu nie rozpoznał. Mam zatem apel. Czy Tusk z 2026 r. mógłby choć przez chwilę posłuchać Tuska z 2021 r.?

Na rynku opału też jest interesująco. Komentujący w internecie wskazują, że w składzie tona węgla kosztuje ok. 1,8 tys. zł. Kolejna dostawa ma być droższa niż 2 tys. zł. Rok wcześniej we wrześniu ten sam skład sprzedawał węgiel po 1,2 tys.–1,3 tys. zł. Zostaje pellet. Miał być tani, ekologiczny i dostępny. Tymczasem UOKiK stwierdził, że głównym problemem jest rosnący popyt przy zbyt małej podaży. Pojawiają się scenariusze ponad 3 tys. zł za tonę, a nawet 4–5 tys. zł w skrajnie niekorzystnym wariancie. To nie jest jednak prognoza bazowa – sam minister energii podkreśla, że taki poziom jest scenariuszem, a nie obecnie obowiązującą ceną. Tylko że od początku roku nic z tym nie zrobił. Wygłupiła się tylko minister klimatu, która powiedziała, że jak pellet jest taki drogi, to przestaniemy wspierać tych, którym ona sfinansowała nowy piec i wycofamy się z wszelkich dotacji dla tego paliwa. Jego użytkownicy powinni więc podziękować pani minister, że na zimę zostaną z ręką w nocniku.

Rząd przestał już chyba informować, że ma wszystko pod kontrolą. Nabrał wody w usta i trwa w oczekiwaniu, żeby obrzucić winą wszystkich dookoła. Tymczasem ropa Brent kosztuje dziś ponad 107 dol. za baryłkę, a europejski diesel jest blisko historycznych rekordów. Może więc zamiast kolejnej konferencji, kolejnej politycznej hucpy czy kolejnej internetowej planszy warto zrobić coś naprawdę rzetelnego – policzyć, ile energii będziemy potrzebować, czym ją wyprodukujemy, ile będzie kosztować i jak za to zapłacimy.

Niestety ten, którego nikt nie ogra w Brukseli, w Europie również nic nie załatwił. Komisja Europejska wdraża Zielony Ład na pełnej petardzie, a podczas swojego corocznego orędzia przewodnicząca Komisji Europejskiej nie dała żadnej nadziei na pomoc w obecnym kryzysie energetycznym. Karnawał na Titanicu trwa. Ale o tym już kolejnym razem.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl bd0b11d332

ETS2 uderzy nas po kieszeni



Marta Kaczyńska-Zielińska

W orędziu wygłoszonym 16 września br. przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała dalsze prowadzenie polityki klimatycznej. Narzędziami tej ostatniej jest zaś w szczególności system ETS. Unijny system handlu uprawnieniami do emisji wchodzi w etap znacznie bardziej odczuwalny dla przeciętnego gospodarstwa niż dotychczasowy.

Obecny EU ETS obejmuje głównie energetykę, przemysł, lotnictwo i transport morski – konsument płaci pośrednio, np. przez cenę prądu. Od 2028 r. ETS2 obejmie natomiast emisje CO_2 ze spalania paliw w budynkach i transporcie drogowym. Działa na zasadzie „cap and trade": limit uprawnień z czasem maleje. Formalnie kupują je dostawcy paliw, nie konsumenci, ale ekonomicznie koszt może zostać przeniesiony na ceny benzyny, diesla, gazu i innych paliw kopalnych.

Dla Polski ma to szczególne znaczenie. Według GUS w 2024 r. 30,6 proc. gospodarstw ogrzewało pomieszczenia paliwami stałymi (węgiel, drewno), a ok. 19,8 proc. – kotłami gazowymi. Dane CEEB pokazują ok. 4,97 mln gazowych źródeł ciepła, 2,87 mln ręcznych kotłów na paliwa stałe i 1,39 mln automatycznych. Według danych z 4 września 2026 r. aż 3,57 mln domów jednorodzinnych (56,5 proc.) grzeje się wyłącznie paliwami stałymi.

W transporcie sytuacja jest podobna: pod koniec 2024 r. zarejestrowano 22,9 mln samochodów osobowych: 45 proc. benzynowych, 36,6 proc. diesli, 13,9 proc. na LPG – łącznie ok. 21,9 mln aut na paliwach kopalnych. Nie ma jednej statystyki łączącej ogrzewanie i transport na poziomie gospodarstw, ale miliony rodzin są potencjalnie „podwójnie eksponowane" na ETS2. Istotna jest również długość sezonu grzewczego: typowo 210–220 dni, w chłodniejsze lata (np. 2024/2025) nawet ok. 242 dni. To oznacza, że koszt emisji z ogrzewania rozkłada się na znaczną część roku. Dziś nie da się podać jednej pewnej kwoty „na rodzinę", cena uprawnień powstanie bowiem na rynku. Przewidziano mechanizm interwencyjny: gdy cena przekroczy 45 euro/t CO_2 (ceny z 2020 r., skorygowane o inflację), z rezerwy stabilności uwalniane są dodatkowe uprawnienia. 45 euro nie jest jednak sztywnym pułapem – to jedynie mechanizm łagodzący, nie gwarancja. Wpływy z aukcji zasilą co prawda m.in. Społeczny Fundusz Klimatyczny, wspierający najbardziej narażone gospodarstwa i termomodernizację, ale redystrybucja będzie selektywna – nie każdy, kto zapłaci więcej, dostanie proporcjonalny zwrot.

Najbardziej narażony jest model gospodarstwa domowego, często występujący w Polsce: dom jednorodzinny (50–53 proc. obywateli), starszy standard energetyczny, ogrzewanie gazem lub paliwem stałym plus 1–2 samochody spalinowe niezbędne do dojazdów. Opisany standard dominuje we wschodniej Polsce, gdzie 90 proc. zabudowy stanowią domy jednorodzinne i gdzie rodziny odczują koszt emisji podwójnie – w ogrzewaniu i w transporcie.

ETS2 dołoży się do już istniejącego stosu podatków i opłat. Dziś litr benzyny czy diesla zawiera cenę produktu, akcyzę, opłatę paliwową, opłatę emisyjną i VAT. Akcyza wynika z unijnej harmonizacji (minimalne stawki), ale konkretną wysokość ustala Polska; opłata paliwowa i emisyjna to daniny krajowe. Na to wszystko nakłada się 23 proc. VAT – stawka podstawowa też jest decyzją krajową (unijne minimum to 15 prroc.). Gdy ETS2 ruszy, doda kolejną warstwę: koszt emisji CO_2 ze spalania paliwa. Formalnie płacą dostawcy, lecz koszt trafi w cenę detaliczną, a ponieważ VAT liczy się od ceny końcowej, wzrost kosztu CO_2 zwiększy też nominalną kwotę podatku. Skalę pokazują proste wyliczenia. Litr benzyny to ok. 2,3 kg CO_2, litr diesla – 2,6–2,7 kg. Przy 45 euro/t CO_2 to ok. 0,10 euro (~45 gr) na litrze benzyny i ~51 gr na litrze diesla przed VAT. Przy 70 euro – ok. 69 gr i 80 gr; przy 100 euro – ok. 99 gr i 1,14 zł; przy 150 euro – ok. 1,48 zł i 1,71 zł. Dla rodziny zużywającej 2 tys. l benzyny rocznie: przy 45 euro/t koszt ETS2 to ok. 900 zł rocznie przed VAT, przy 70 euro – ok. 1380 zł, przy 100 euro – ok. 1980 zł, przy 150 euro – ok. 2960 zł. Dla diesla kwoty byłyby wyższe.

To jednak tylko transport. To samo gospodarstwo zapłaci po raz drugi z powodu ogrzewania gazem lub węglem, co w polskim sezonie grzewczym (6–7 miesięcy) ma realne znaczenie.

REKLAMA



22/0826/F

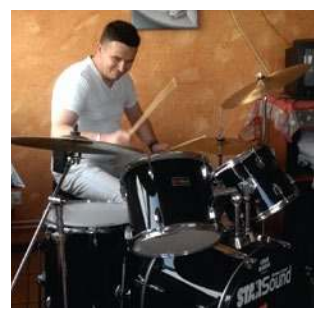
eprasa.pl bd0b11d332



Walizka Mariusza Pietrasika

dziennikarza wPolsce 24, perkusisty

Wybór drogi życiowej, którą jest dziennikarstwo, nastąpił dość szybko, bo w liceum. Wtedy pomyślałem, że chciałbym oglądać świat i dzielić się z ludźmi tym, co napotkam. Dlatego na co dzień raczej obserwuję, niż planuję. Uważam, że jeśli zanadto skoncentrujesz się na planowaniu, stracisz prawdziwy ogląd. Staram się budzić razem ze słońcem, które zazwyczaj rodzi uśmiech do samego siebie i najbliższych. I w drogę. Nie oglądając się za siebie, ogarniając wzrokiem tylko tyle, by nie stracić kierunku.







JEANSY

Marzenie wielu z pokolenia X, z lat 80. Ten symbol Ameryki i wszystkiego, co najlepsze, był nieosiągalny poza Pewexami. Sentyment pozostał, dlatego zawsze mam pod ręką parę pięćset jedynek.



BLUZA Z PIASTOWSKIM ORŁEM

Wielka duma z Bolesława Chrobrego i naszych wielkich przodków. W ogóle zacząłem kolekcjonować orły. Jeden z symboli mam na stałe wpięty w klapę. Ten, za który nasi oficerowie ginęli z rąk bolszewików, mordowani strzałem w tył głowy.



BUTY

Uważam, że każdy powinien mieć w podróży buty na zmianę. Mam takie – oryginalne meksykańskie Mezcalero, które po założeniu dopasowują się do stopy i leżą jak kapcie. Minus – dźwięczą na bramkach.



BIAŁA KOSZULA

Zawsze się przydaje. Nawet gdy jesteś na szarym końcu świata, zakątku zabitym deskami, nagle okazuje się, że wieczorem trzeba wyjść i kulturalnie spędzić czas. W bieli.

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Mariusza Pietrasika

eprasa.pl bd0b11d332





WŁÓCZKI

Ponieważ moja żona jest zapaloną dziewiarką, w naszym domu włóczki są praktycznie wszędzie. I jest coraz piękniej, bo przy moim skromnym udziale jej kolekcja stale się powiększa dzięki motkom z różnych stron świata.



KARMA DLA KOTÓW

W zamian moja małżonka wyposaża w podróż nie tylko mnie. Dostaję również koci smakołyk z nakazem otwarcia w przypadku napotkania bezdomnego kota. To fantastyczne zwierzęta. Wiemy, bo mamy.



KUBEK TERMICZNY

Produkt podstawowej potrzeby. Na kawę i coś jeszcze, bo...



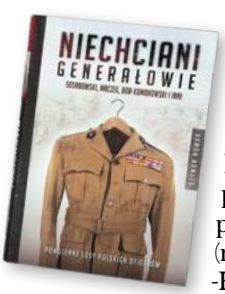
YERBA MATE

...gdy trzeba zrobić sobie przerwę od kawy, zalewam gorącą wodą takie oto ekspresowe ziele yerba mate. Jedno z najlepszych na świecie. Dawno temu w Argentynie patent opracował Polak, Jan Szychowski. Miejscowi do dziś uważają go za bohatera narodowego w dziedzinie rolnictwa, a w jego dawnej posiadłości w Apóstoles mieści się obecnie Muzeum Historyczne jego imienia.



45-WATOWY POWERBANK

Po ostatnich wichurach i blackoutach szczególnie potrzebny i niezbędny. Ten model wystarcza na kilkudniową podróż bez gniazdka i tydzień ładowania telefonu.



„NIECHCIANI GENERAŁOWIE"

Książkę Szymona Nowaka polecam każdemu. To opowieść o tym, jak po zakończeniu II wojny światowej potraktowano wielu polskich dowódców (m.in. Sosabowskiego, Maczka, Bora-Komorowskiego). Jak to się stało, że nasi genialni generałowie zostawali barmanami, szatniarzami i odchodzili w zapomnieniu? Czas to zmienić.



PAŁKI DO PERKUSJI

Jestem zapalonym bębniarzem, dlatego mają stałe miejsce w mojej walizce. Niejednokrotnie podczas urlopu w jakimś zakątku świata przydawały się podczas spontanicznej jam session.



ZZ TOP

Trzej faceci z Teksasu, genialnie grający teksańskiego bluesa. Ich utwory znalazły się na ścieżkach dźwiękowych kilku hollywoodzkich filmów. W 2004 r. grupa została wprowadzona do Rock and Roll Hall of Fame. Niestety w 2021 r. podczas trasy koncertowej basista Dusty Hill opuścił zespół i gra już w niebie.



PISMO ŚWIĘTE

Wydane z inicjatywy Towarzystwa św. Pawła, zostało opracowane przez zespół polskich biblistów, którzy dokonali tłumaczenia ksiąg Nowego Testamentu z języków oryginalnych na współczesną polszczyznę. Bez zbędnych słów i anachronicznego upiększania. Tekst jest dość surowy, ale przy tym piękny, prawdziwy i chwytający za serce.



SCYZORYK

Rzecz pierwszej potrzeby prawdziwego mężczyzny. Ku ogromnemu zaskoczeniu stwierdzam, że przy niewielkiej liczbie ostrzy zawsze któreś przydaje się w podróży.



FOTOGRAFIA DZIADKA

Stanisław Rychlicki „Jabłoń". Obrońca Polski w 1939 r. Więzień i robotnik przymusowy w Niemczech. Żołnierz Armii Krajowej. Człowiek prawy i sprawiedliwy. Niedościgły wzór.



KWIAT LNU WOŁYŃSKIEGO

Wszyscy wiemy, co symbolizuje, ale ten konkretny ma dla mnie wyjątkowe znaczenie, bo własnoręcznie na szydełku zrobiła go dla mnie bliska mi osoba, której rodzina zginęła na Wołyniu.

Wysłuchał i zapisał ***Michał Korsun***

eprasa.pl bd0b11d332

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Stołówki szkolne w likwidacji



Jan Pietrzak

Po trzech sezonach obsesyjnego reformowania resortu edukacji panie reformatorzynie uczyniły kolejny krok na drodze postępu. Zreformowały szkolne stołówki. Jakieś rozmazane breje udające potrawy nie spotkały się jednak z akceptacją uczniowskich kubków smakowych. Po likwidacji prac domowych, ogromnej części historii Polski, matematyki, bo za trudna, fizyki i innych lewicowczyniom wydawało się, że z likwidacją tradycyjnych potraw pójdzie łatwiej. Niestety ideologiczna poprawność w stołówkach trafiła na odruch wymiotny wielu uczniów i uczniowiczek. O zgrozo, znaleźli się rodzice na tyle nieustraszeni, że poparli swoje dzieci, twierdząc, iż wynalazki kulinarne serwowane ich potomstwu nadają się jedynie do wyrzygania. Zielony melanż na bazie przydrożnych roślin nie został zaakceptowany również przez osiedlowe komitety babć i dziadków, twierdzące, że korzystniejsza dla rozwoju wnuków i wnukowczynek jest kromka chleba z masłem. W tej sytuacji znaleźliśmy się w oku ideologicznego cyklonu. Masło jest produktem zwierzęcym, wręcz krowim. A jego produkcja wiąże się z wydzielaniem etanu do atmosfery, na co krowom nigdy nie pozwoli doktórka, wykładowczyni oraz legislatorczyni, niejaka Spurekowa lub Spurkowianka. Na to nie mogą również zezwolić ministrowica Nowacka i wiceministerczyni Lubnauer, formalnie tytułowana też sekretarzyną stanu, może stanika? Bo właśnie z powodu tych krów planeta płonie, a byki ryczą!

Ministernica Nowacka, która jest zarazem „gościnią i gospodarczynią" resortu, to ta sama funkcjonariusznica, która odważnie przemawiała o polskich nazistach stawiających Auschwitz, co jest efektem stosowanej przez nią eurodiety, powodującej nieodwracalne skutki umysłowe. Owa ministerczyni znajduje się w najbliższym kręgu grupy trzęsącej krajem nad Wisłą.

Jednym z zasadniczych zadań władzy jest przerzucenie zastraszającej trzęsawki na najmłodsze pokolenie „Tenkraju". Ludzie głodni i rozdygotani są docelowym modelem społeczeństwa obywatelskiego, które w zasadzie ma być niedouczone i niemądre. Takie podejście do dzieci i młodzieży bardzo niepokoi niektórych rodziców o wygórowanych ambicjach i staroświeckich nawykach. Przywołują oni historyczną uwagę Jana Zamojskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie".

Podczas dyskusji o sytuacji stołówkowej „Telewizja w Likwidacji" wyraziła opinię, że zaangażowanie rodziców w problemy szkolne jest „koszmarem szkoły". Koszmarni rodzice przeszkadzają w formowaniu skołowanych półgłówków w imię zielonego postępu z Brukselą na czele, z brukselką na talerzu w sosie lewackim.

Uwaga! Autor przeprasza za nieporadne poszukiwanie formy feminatywu w odniesieniu do urzędowych figur damskich. Nie jest łatwo, bo mamy administrację pokolenia bezmózgownicowego. JP

Fani premiera dążą do jego obalenia



Samuel Pereira

To, co obserwujemy dziś w Polsce – całe to przemocowe podejście ekipy władzy do prawa i demokracji – może prowadzić do bardzo niedobrych dla niej skutków w przyszłości. Skoro dziś wszystko wolno, to każdy precedens prędzej czy później obróci się przeciwko jej twórcom. Po to stworzyliśmy prawo, by chroniło wszystkich, niezależnie jak wiele siły, mocy, władzy, wpływu i pieniędzy posiadają. Wszyscy jesteśmy (powinniśmy) być równi wobec prawa, które czasem może być surowe, ale *dura lex, sed lex*.

Ustawa o statusie sędziów Trybunału Konstytucyjnego nie pozostawia złudzeń: stosunek służbowy zostaje nawiązany dopiero po złożeniu ślubowania wobec prezydenta. Sejm wybiera sędziów, ale urzędu bez tego aktu nie ma. Koalicja nie może zmienić konstytucji – nie ma dwóch trzecich głosów w parlamencie. Nie ma siły prawa, zostaje więc siła propagandy. Trybunał „stracił autorytet", więc przepisy wolno obejść, a w razie potrzeby wprowadzić ludzi do gmachu siłą.

Niech państwo zwrócą uwagę, że ci sami ludzie żądają bezwzględnej realizacji wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, polskiego TK zaś nie szanują. A powinni – niezależnie od tego, co sądzą o jego składzie, zarówno prawnie, jak i emocjonalnie. Wyrok ze Strasburga ma obowiązywać, wyrok z Al. Szucha już nie. To nie jest równość wobec prawa. To selekcja trybunałów pod bieżącą wygodę władzy, ustawiająca naszą suwerenność poniżej zagranicznej siły.

Jeśli jednak liczy się opinia o instytucji, a nie surowy tekst ustawy, ta logika nie zatrzyma się na TK. Rząd nie ma świeższego mandatu niż prezydent wybrany w 2025 r. przez cały kraj. Gabinet Tuska stoi na koalicji z 2023 r. i od miesięcy ma więcej przeciwników niż zwolenników. Fani premiera, broniąc „brzydkiego, ale koniecznego" łamania standardów, piszą scenariusz własnej klęski. Skoro autorytet i poparcie społeczne mają uchylać ustawę, jutro ktoś powie to samo o Radzie Ministrów i uzna jej obalenie za przywracanie praworządności. To chyba nie byłoby „praworządne", co nie? Dlatego prawo musi obowiązywać także wtedy, gdy przeszkadza własnej ekipie. Bo bez prawa wszyscy jesteśmy bezbronni. A obywatele przede wszystkim.

eprasa.pl bd0b11d332

Prezydent Grecji otrzymał polski raport



W ostatnich dniach byłem na greckiej Krecie, dokąd zostałem zaproszony na uroczystości upamiętniające masakrę Viannos z 1943 r. Niemieckie wojska okupacyjne zamordowały tam setki cywilów – łącznie w regionie zginęło blisko 500 osób. Po ponad 80 latach pamięć o tej zbrodni jest w Grecji nadal żywa.

Miałem zaszczyt zabrać głos podczas uroczystości, ale pobyt tam stanowił także okazję do ważnych rozmów. Jedną z nich okazało się spotkanie z prezydentem Grecji. Była to również sposobność do przekazania mu pełnego, trzytomowego polskiego „Raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku niemieckiej agresji i okupacji w latach 1939–1945".

Polacy i Grecy dobrze wiedzą, że wojna nie skończyła się wraz z podpisaniem ostatnich dokumentów kapitulacyjnych. Pozostały miliony ofiar, zniszczone miasta i wsie, zrabowane dziedzictwo oraz straty, których skutki odczuwane były przez kolejne dziesięciolecia.

Jest również coś jeszcze, co łączy nasze państwa – nierozwiązana kwestia reparacji. Berlin od lat konsekwentnie stoi na stanowisku, że sprawa ta jest zamknięta. Grecja – podobnie jak Polska – prezentuje inny punkt widzenia. Sam prezydent Tasoulas podczas uroczystości w Viannos przypomniał, że greckie roszczenia pozostają aktualne.

I właśnie tutaj pojawia się przestrzeń do współpracy.

Niemcom łatwiej prowadzić prawny i polityczny slalom, kiedy każde państwo występuje osobno, a każdy przypadek można sprowadzić do dwustronnego sporu z Berlinem. Znacznie trudniej będzie umniejszać znaczenie tych roszczeń, jeżeli państwa, które poniosły ogromne straty w wyniku niemieckiej okupacji, zaczną ze sobą współpracować, wymieniać dokumentację i wspólnie podnosić ten temat na forum międzynarodowym. Dlatego tak ważne jest, aby również Grecja odważnie przypominała o swoich stratach wojennych. Polska posiada raport, wyliczenia i dokumentację. Grecy mają własne doświadczenia i własne roszczenia.

Głos dwóch państw nie rozwiąże problemu automatycznie, ale z pewnością będzie lepiej słyszalny niż dwa głosy, dochodzące do Berlina osobno. Współpraca Polski i Grecji daje przestrzeń do wspólnych działań międzynarodowych, czego Niemcy najbardziej się obawiają.

Arkadiusz Mularczyk

Powiedz mi, co czujesz

Z Patrykiem Różyckim, malarzem, artystą wizualnym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Posłużę się tytułem filmu: „Powiedz mi, co czujesz", oglądając swoją historię na ekranie?

Patryk Różycki: Czuję się wspaniale. Od czasu, kiedy kilka lat temu Łukasz [Ronduda, reżyser i współscenarzysta – przyp. red.] pokazał w Gdańsku film „Serce miłości", z jakiegoś miejsca w sobie, które pragnęło się dowartościować, marzyłem o tym. Przy czym to nie tylko historia artysty, lecz także jego twórczości.

Dużo na ekranie pańskich prac. Co dał im filmowy przekaz?

Ciekawe było zobaczenie, jak działają w innym kontekście, w relacji romantycznej, która została wymyślona specjalnie do filmu. Jak te obrazy i rysunki wpływają na rodziców ekranowego Patryka. Zobaczenie, że odbierają je zupełnie inaczej niż moi rodzice.

Młody człowiek staje się inspiracją filmu fabularnego (który będzie również walczyć o tegoroczne Złote Lwy), a jego prace – zarówno na ekranie, jak i w rzeczywistości – trafiają do Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Niecodzienne...

Cieszę się, że to, co dotychczas zrobiłem, ma swoją wartość i jest społecznie potrzebne. Myślę, że zainteresowanie moją twórczością i osobą nie jest przypadkowe. Łukasz Ronduda zobaczył, że w odczuciach podobnych do moich może się odnaleźć wiele osób.

Kto zagrał parę głównych bohaterów?

Jan Sałasiński i Izabella Dudziak. Oboje wykonali kawał świetnej roboty.

Jest film i wystawa. Co dalej?

Spektakl na podstawie mojego życia i twórczości. Reżyseruje Marcin Liber. Premiera w grudniu w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu.

Czytaj też na str. 61

Fot. Anita Walczewska/East News

eprasa.pl bd0b11d332

Zatrute drzewo



Ostatnio dużo piszę o konflikcie pokoleń. Po koncertach i podczas spotkań autorskich zdarza mi się rozmawiać z młodzieżą, zwykle wykształconą (to dziś standard), również z dużych miast. Staram się zrozumieć jej tok myślenia i przesłanki kierujące preferencjami wyborczymi. Dyskutuję tylko z tymi, którzy posiedli jakąś wiedzę, nie są zaślepieni ideologią i potrafią się spierać na argumenty. Część moich rozmówców posiada niezłe, kierunkowe przygotowanie zawodowe. Moja profesja artystyczna i studia techniczne łączą wrażliwość twórcy z logiką inżyniera. I właśnie ta „zdroworozsądkowa emocjonalność" ułatwia mi znajdowanie wspólnego języka zarówno z humanistami, jak i „ściślakami".

Perorując z pozycji starego zgreda/dziadersa/boomera (niepotrzebne skreślić) mam nad młodymi interlokutorami istotną przewagę. Od rodziców i dziadków – świadków II wojny światowej – czerpałem wiedzę o zbrodniach Niemców, Rosjan i Ukraińców na narodzie polskim. Połowę życia przeżyłem w PRL, doskonale więc pamiętam realia mrocznej komuny, prześladowania polskich patriotów, narodziny Solidarności, stan wojenny, okrągły stół. Po transformacji ustrojowej sługusy Moskwy, zwalczające wolność, polskość, naszą historię, wiarę, tępiące gejów (*vide*: akcja SB „Hiacynt") nadal pozostały przy władzy. Uwłaszczeni na Polsce ojkofobi wysługują się teraz Brukseli. Oflagowani na tęczowo promują dziś LGBT+ i brylują na europejskich salonach.

Starsi Polacy zwykle wiedzą, „who's who". Dla nieznającej naszej najnowszej historii młodzieży pewien „stary komuch" (jak się sam przezywa) jest tylko sympatycznym i dowcipnym starszym panem w czerwonym sweterku. Prawdziwym Europejczykiem, niestrudzenie walczącym o małżeństwa jednopłciowe. Pogromcą polskiego faszyzmu/nacjonalizmu (niepotrzebne skreślić). I tylko dlatego ten jegomość jest marszałkiem Sejmu, z zakusami na prezydenturę!

Kiedy młodzi Polacy zrozumieją, że zatrute drzewo nie wydaje dobrych owoców?

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Wystawa kostiumów do filmu „Lalka" w Łazienkach Królewskich



Fot. Paweł Wodzyński/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: MICHAŁ KORSUN, AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/MKOVMARK

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl bd0b11d332



Mamy plan na sukces

eprasa.pl bd0b11d332

Będziemy gotowi do rozwiązań, które zwiększą prawdopodobieństwo na zwycięstwo prawej strony, ale proszę pamiętać, że politykę robią jednak ludzie. A przyjmując Rozwój Plus, musielibyśmy spychać na dalsze miejsca listy, lub nawet zupełnie eliminować, ludzi lojalnych, by zrobić miejsce tym, którzy odeszli i poważnie zaszkodzili. Mateusz Morawiecki, decydując się na odejście, tego czynnika ludzkiego w ogóle nie brał pod uwagę. On jest sprawny w wielu kwestiach, ale brakuje mu wyczucia politycznego i słuchu społecznego

Z Jarosławem Kaczyńskim, prezesem Prawa i Sprawiedliwości, rozmawiają Jacek Karnowski i Jerzy Szmit

Panie prezesie, Prawo i Sprawiedliwość przekonuje, że afera Zondacrypto jest w istocie aferą Donalda Tuska. Rzeczywiście, można odnieść wrażenie, że tę sprawę „hodowano" od miesięcy, próbując wciągnąć jak najwięcej środowisk prawicowych, w tym telewizję wPolsce24. Na szczęście nie daliśmy się złapać. Czy pana zdaniem to była operacja polityczna, z wykorzystaniem służb specjalnych?

Jarosław Kaczyński: Jest wiele elementów, które na to wskazują. Już jakieś półtora roku temu docierały do mnie sygnały, że coś takiego będą przygotowywali. Coś, co ma skompromitować całą prawicę. Dziś rzeczywiście można przypuszczać, że w tym wszystkim był element operacji specjalnej.

Ale był też realny przekręt, który komuś przyniósł duże pieniądze.

Były w tym konkretne pieniądze i konkretni ludzie, którzy byli gotowi te pieniądze powierzyć tej giełdzie. Moim zdaniem każdy przy zdrowych zmysłach wiedział, że to jest związane z dużym ryzykiem, ale jak widzimy, znalazło się sporo ludzi, którzy tych dobrych zmysłów są troszkę pozbawieni, albo mieli inne kalkulacje. W związku z tym mamy dzisiaj taką oto sytuację, że dwie trzecie poszkodowanych w ogóle nie zgłosiło się do prokuratury.

Ponieważ dostaliby pytanie, skąd wzięli ten kapitał?

Tak, bo ten mechanizm pozwala na anonimowe wpłaty.

Jeden z posłów PiS powiedział mi niedawno: „Nie rozumiałem, dlaczego prezes Jarosław Kaczyński chciał zakazu kryptowalut. Dziś rozumiem". Tamten projekt ustawy, tak mocno zaatakowany, sugerował, że widział pan w tej sprawie ciemne chmury, i to na wielu polach.

Dostrzegałem te chmury już od momentu, gdy zorientowałem się, jak wygląda ta cała impreza nie tylko z tą konkretną firmą, ale z kryptowalutami w ogóle. To jest groźne, ponieważ może podważyć cały system finansowy świata. Być może potrzebne jest nowe Bretton Woods, konferencja, która uporządkuje świat międzynarodowych finansów, i określi podstawowe reguły działania. Dziś system jest rozchwiany, poza nim są ogromne kwoty. Kapitalizacja samego tylko bitcoina to ponad półtora biliona dolarów. Powstał system drugiego obrotu na wielką skalę. To wszystko może zakłócić mechanizmy podatkowe, funkcjonowanie banków, państw.

Wielu to zapewne ucieszy. Dlaczego ma nas to martwić?

To niesie ze sobą wielkie ryzyko dla światowego systemu, a w szczególności dla jego słabszych części, także słabszych państw. Długofalowo zagraża to także przedsiębiorcom. Tylko ktoś bardzo niemądry może się cieszyć, widząc perspektywę wielkiego krachu na poziomie całego świata. Dlatego lepiej byłoby tego zakazać.

Ale czy Polska może tu coś zrobić samodzielnie?

Wiem, że dzisiaj siły, które tego bronią, są bardzo potężne, może zbyt potężne, ale uważam, że czasem Polska może być w czymś pierwsza. Wiem, że ten zakaz nie byłby w pełni skuteczny, bo to funkcjonuje na poziomie światowym, ale na pewno byłby ważnym sygnałem ze strony państwa.

Czy ci, którzy brali pieniądze od pana Przemysława Krala, popełnili błąd? Mamy tu na myśli fundację Zbigniewa Ziobry.

Zbigniew Ziobro przyznał, że to był z jego strony błąd. Natomiast, trzeba to mocno podkreślić, nie było to przestępstwo. Poza tym jako chyba jedyny zadeklarował zwrot tych środków. Prorządowe media, fundacja WOŚP takiej deklaracji nie złożyły. Najwyraźniej im to nie przeszkadza, co nie najlepiej o nich świadczy. Z drugiej jednak strony nikt nie miał wówczas pełnej wiedzy, że Zondacrypto to oszustwo. Służby państwowe podlegające Tuskowi nikogo o tym nie informowały, choć wiele wskazuje na to, iż już po stronie rządzących była wiedza o nadużyciach tej firmy. Pytanie, dlaczego nie reagowano i nie ostrzeżono 30 tys. poszkodowanych? Premier Tusk uczestniczył w wydarzeniach sponsorowanych przez tę firmę, a jego politycy spotykali się w Sejmie z przedstawicielami Zondy i pracowali nad poprawkami korzystnymi dla pana Krala.

eprasa.pl bd0b11d332



Jakie będą skutki polityczne afery Zondakrypto? Czy ta sprawa może być holowana, podsycana, aż do wyborów?

Codziennie pokazujemy dowody, że oni po prostu bezczelnie kłamią. Cała ta opowieść Tuska i Żurka jest jednym wielkim kłamstwem. Pomijają jedne fakty, inne przedstawiają fałszywie, w sposób zmanipulowany. Tak to układają, żeby wychodziło, że to za naszych rządów umarzano kluczowe śledztwa. A jest odwrotnie: to oni umarzali sprawy zasadnicze. W naszym przypadku chodziło o drobną sprawę zezwolenia prawnego, licencji, choć i tak Zondacrypto mogła legalnie w Polsce działać na podstawie zezwolenia estońskiego. Inne sprawy, w tym dotyczące zniknięcia Sylwestra Suszka, były wszczynane i były prowadzone. Kluczowe dwa postępowania w sprawach kryminalnych, dotyczące oszustw i wszczęte za naszych czasów, zostały umorzone przez prokuratora awansowanego przez pana Bodnara w 2024 i 2025 r. To był prokurator jawnie zaangażowany w różnego rodzaju inicjatywy stojące w kontrze do naszego środowiska politycznego. Kuriozalnym był zarzut pana Żurka, iż to człowiek Ziobry. Ewidentne kłamstwo.

Władza liczy, jak sądzimy, na swoją przewagę medialną. Będzie prowadziła tak silny ostrzał, aż coś się przylepi.

Na tym polega ten mechanizm. Jest pewna część społeczeństwa, która jest gotowa uwierzyć we wszystko. Także w to, że to nasza afera, podczas gdy jest to afera Tuska. To zresztą nic nowego: robiono nam opinię aferzystów od samego początku, jeszcze w czasach Porozumienia Centrum. To był fenomen: nie miałem wtedy dosłownie nic, żadnego majątku, żadnych oszczędności, mieszkałem przy rodzinie. A mimo to byli ludzie, którzy wierzyli, że mam ogromny majątek, zaczepiali, wyzywali od złodziei.

Trwa atak na niezależne media, trwa także atak na Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. Władza nie jest w stanie zaakceptować istnienia jakiejkolwiek instytucji poza swoją pełną kontrolą. W czasie gdy rozmawiamy, spodziewana jest brutalna rozprawa z Trybunałem Konstytucyjnym. W sumie wygląda na to, że władza dąży do pełnej, wręcz fizycznej pacyfikacji opozycji, do zastraszenia społeczeństwa.

Taki scenariusz musimy brać pod uwagę. Pamiętajcie panowie, że cel główny wyznaczają tu Niemcy. Jeśli Klaus Bachmann mówi o użyciu wszystkich środków państwa policyjnego, to znaczy, że Berlin tego się domaga. Bo nie wierzę, żeby to było tylko dziennikarstwo. A wszystko po to, by plan zjednoczenia Europy pod kierownictwem Niemiec mógł być zrealizowany. Już nie w formie jawnego traktatu, bo to zawieszono na razie, ale poprzez wdrażanie różnych rozwiązań.

Fot. Michał Korsun x2

eprasa.pl bd0b11d332

Powstała niedawno koalicja Niemiec, Francji i kilku innych państw domaga się rezygnacji z prawa weta w polityce zagranicznej.

Zdjęcie weta jest na pewno bardzo ważnym elementem tej konstrukcji, ale są dalej idące pomysły. Plan oszczędnościowo-inwestycyjny, o którym mówiła Ursula von der Leyen, oznacza ściągnięcie kapitału do Frankfurtu. Ma tam powstać nowa europejska giełda. To spowoduje natychmiastowy odpływ kapitału z takich krajów jak Polska, będziemy bardzo dużo tracić. Znów staniemy się krajem bez kapitału, choć i dziś mamy go znacznie mniej niż kraje na podobnym poziomie rozwoju. Oni nie mogą się pogodzić z tym, że Polska tak bardzo się rozwinęła, głównie za naszych rządów. Tu miał być przecież polski bałagan, Polnische Wirtschaft.

Polska zagroziła tej konstrukcji, którą nakreślono po upadku komunizmu?

Tak, zagroziliśmy tym planom, które sięgają znacznie głębiej wstecz, odwołując się do „Mitteleuropy" Friedricha Naumanna. Już na przełomie lat 80. i 90. pytano mnie często, co sądzę o takich koncepcjach. One nie umarły.

Czy pana zdaniem jest możliwe, że premier Tusk będzie próbował uciec od wyborów pod jakimś pretekstem? W tym kontekście zwraca uwagę gra zagrożeniem wojennym. Pada dużo mocnych słów, ale bez konkretów.

Pewien poziom zagrożenia jest bezdyskusyjny. To fakt obiektywny. Ale do podjęcia działań politycznych nie trzeba wielkich zagrożeń. Wystarczą jakieś zdarzenia w dwóch powiatach, nawet zdarzenia wykreowane, i można wprowadzić stan nadzwyczajny, a to daje szczególne, dodatkowe uprawnienia rządzącym. Nie zdziwiłbym się, gdyby chcieli podjąć działania delegalizacyjne wobec jedynej siły prawdziwie opozycyjnej, czyli wobec Prawa i Sprawiedliwości. Widzieliśmy już nie raz, jak przekraczali granice, łamiąc prawo i stosując przemoc.

Wobec PiS, które jest, nie ma co ukrywać, osłabione ostatnim rozłamem. Czy jest pan zaskoczony, że Rozwój Plus zabiega o wyborcę prawicowego, a nie centrowego?

Nie jestem, bo cała ta opowieść o centrum była po prostu opowieścią, która miała nas zmylić, miała pozwolić na podział spokojny, niemalże uzgodniony. Wszyscy jednak wiemy, że to odejście to decyzja tych, którzy założyli swoją partię, wychodząc z PiS i próbując rozbić nasze środowisko

> Cała ta opowieść o Zondacrypto Tuska i Żurka jest jednym wielkim kłamstwem. Pomijają jedne fakty, inne przedstawiają fałszywie, w sposób zmanipulowany. Tak to układają, żeby wychodziło, że to za naszych rządów umarzano kluczowe śledztwa. A jest odwrotnie: to oni umarzali sprawy zasadnicze

w znacznie większym zakresie niż im się to udało. Dzisiaj widzimy, że ten projekt nie cieszy się specjalnym poparciem, nie widzę też jakiś przełomowych pomysłów czy inicjatyw, które miałyby poprawić ich odbiór społeczny. Zresztą to było do przewidzenia.

Z perspektywy czasu: dlaczego pana zdaniem oni w ogóle wyszli z PiS? Co było zasadniczą przyczyną?

Oprócz motywów, o których nie chcę teraz mówić, był fakt, że były premier nie został kandydatem na prezydenta. A nie został, bo on po prostu nie mógł tych wyborów wygrać. Później z kolei ktoś inny został wskazany jako kandydat naszej partii na premiera. To były podstawowe przyczyny. Choć, podkreślam, kierowali się na pewno nie tylko ambicjami.

Czy Tobiasz Bocheński przesadził, sięgając po porównanie z Kornelem Morawieckim, który także założył swoją Solidarność – Solidarność Walczącą?

To na pewno są dwie różne sytuacje. To jest także niezrozumienie człowieka z zupełnie innej epoki, z innego kontekstu historycznego. Ale to było powiedziane bez jakiejś szczególnie złej woli, w ferworze walki.

Jak struktury PiS zareagowały na powstanie nowej formacji?

Zareagowały różnie. Na przykład w Małopolsce, gdzie w zasadzie nie powinniśmy stracić dużo, straciliśmy dziewięciu posłów. W innym miejscach nie straciliśmy nic. Ta struktura wokół byłego premiera, najpierw luźna, później już sformalizowana, obejmowała ok. 20 posłów, ale dołączyli ci posłowie, którzy byli skonfliktowani w swoich okręgach, którzy sądzą, że z naszej listy do Sejmu nie wejdą. Sondaże pokazują, że szanse na ich wejście są jeszcze mniejsze w ugrupowaniu Mateusza Morawieckiego. Ogólnie nasze struktury nie podchodzą entuzjastycznie do tego nowego projektu. Jest oczywiście próba stronników byłego premiera do przekonywania niektórych naszych działaczy w terenie, iż współpraca zarówno z PiS, jak i z ugrupowaniem powstałym z rozłamu nie jest zakazana. Oczywiście każdy decyzje podejmuje samodzielnie, ale trudno się spodziewać, iż ci, którzy wspierają konkurencję, będą premiowani w ramach naszego środowiska. Uważnie to obserwujemy i będzie to miało swoje skutki. Poza tym każdy powinien spojrzeć prawdzie w oczy: początek partii Morawieckiego jest dość nieudany, patrząc na sondażowe wyniki.

Liczyli na więcej?

To oczywiste. A przecież w niektórych badaniach spadają nawet poniżej 5 proc.

eprasa.pl bd0b11d332

Wynik w przedziale od 5 do 7 proc. da jednak nowej partii co najwyżej dziesięcioro posłów, może trochę więcej. Gdyby to była jedna lista, PiS i Rozwoju Plus, te parę punktów procentowych przynosi bardzo duży zysk.

To prawda. „Wydajność" jednego procenta głosów wynosi jeden lub dwa mandaty w przypadku małych ugrupowań. Z kolei w przypadku naszej listy 1 proc. daje 5-7 głosów w Sejmie. I te parę procent może rozstrzygać o większości albo zdecydować, kto będzie siłą dominującą w koalicji. To jest zasadnicza różnica, czy ma się 130 posłów, czy też 185, a może powyżej 230. Z kolei nasz wynik ma zasadnicze znaczenie dla nowego rozdania politycznego. Jeśli nie będziemy najsilniejszą formacją, będzie bardzo trudno o stabilny, dobry rząd.

Zapytamy wprost: czy możliwa jest budowa nowej Zjednoczonej Prawicy? PiS i Rozwój Plus, a może i ktoś jeszcze?

Będziemy gotowi do rozwiązań, które zwiększą prawdopodobieństwo na zwycięstwo prawej strony, ale proszę pamiętać, że politykę robią jednak konkretni ludzie. A musielibyśmy spychać na dalsze miejsca listy, lub nawet zupełnie eliminować, ludzi lojalnych, by zrobić miejsce tym, którzy odeszli i poważnie zaszkodzili. To byłoby niezwykle trudne do przeprowadzenia. Mateusz Morawiecki, decydując się na odejście, tego czynnika ludzkiego w ogóle nie brał pod uwagę. On jest sprawny w wielu kwestiach, ale mimo wszystko brakuje mu wyczucia politycznego i słuchu społecznego.

A po wyborach, zakładając, że będzie prawicowa większość: jakie są pana warunki brzegowe przy budowie koalicji rządowej?

Warunek zasadniczy to racjonalny charakter rządu. Nie zgodzimy się na jakieś wielkie akcje prywatyzacyjne, obejmujące służbę zdrowia, oświatę i inne dziedziny, bo to nieuchronnie będzie się wiązało z wprowadzeniem płatności, co uderzy bardzo mocno w ogromną część społeczeństwa. Nie zgodzimy się też na politykę, która będzie w ten czy inny sposób prorosyjska. Nie zaakceptujemy także pomysłów, które będą albo rozbijać państwo, albo doprowadzą do tego, że będzie ono bardzo, ale to bardzo nieefektywne. Trzeba po prostu odrzucić opcję liberalną, która dzisiaj jakby troszeczkę odżywa, bo ona zupełnie się nie sprawdziła.

Warunek zasadniczy przy budowie koalicji rządowej to racjonalny charakter takiego rządu. Nie zgodzimy się na jakieś wielkie akcje prywatyzacyjne, obejmujące służbę zdrowia, oświatę i inne dziedziny, bo to nieuchronnie będzie się wiązało z wprowadzeniem płatności, co uderzy w ogromną część społeczeństwa. Trzeba po prostu odrzucić opcję liberalną, która dzisiaj jakby troszeczkę odżywa, bo ona zupełnie się nie sprawdziła

Na prawicy są jednak partie, które państwo postrzegają jako niemal wroga, i to głównego.

W każdym społeczeństwie jest pewien odsetek ludzi, którzy uważają, że nic nikomu nie muszą dawać, że sami wszystko zdobyli, a inni właściwie ich nie obchodzą. Tacy ludzie nie powinni jednak decydować o losie wspólnoty. Oni do polityki po prostu się nie nadają.

Czy prof. Przemysław Czarnek pozostaje „bezpiecznym" kandydatem na premiera w perspektywie wyborczej? Czy jest jakiś znak zapytania?

Nie rozumiem, dlaczego dziennikarze ciągle mnie o to pytają. Prof. Czarnek działa bardzo energicznie i intensywnie pracuje w terenie, widzimy tego efekty. To bardzo dobra kandydatura.

Jak pan widzi rolę prezydenta w budowaniu zdolnej do życia koalicji rządowej, zarówno przed wyborami, jak i po nich?

To jest pytanie do prezydenta, nie potrafię odpowiedzieć, jaką prezydent ma koncepcję.

Możliwy jest premier z kancelarii prezydenta? Np. minister Zbigniew Bogucki? Albo ktoś inny?

Panie redaktorze, mamy sprecyzowany scenariusz. Naszym kandydatem na premiera jest prof. Czarnek i nic się tutaj nie zmienia.

Chciałby pan, by prezydent jednoznacznie zaangażował się w poparcie listy PiS w wyborach parlamentarnych?

Mamy prawo liczyć na duże zaangażowanie, bo przecież wszyscy wiedzą, że to był nasz kandydat. Całą kampanię wyborczą, całe otoczenie, także pieniądze, także komitet obywatelski – to wszystko organizowaliśmy my. Mamy prezydenta, który chce dobrze dla Polski, ale powinien jednocześnie pamiętać, że są siły, z którymi nie da się rządzić. To trzeba rozumieć. Że to będzie szarpanina, ciągłe negocjacje o wszystko, awantury. Plus ideologia antyspołeczna, z którą też trzeba będzie walczyć.

Wiemy, że decyzję o wystawieniu Karola Nawrockiego podjął pan osobiście, wbrew najbliższym współpracownikom. Premier Jacek Sasin opowiadał nam, jak łamał go pan kołem, a on nadal się nie zgadzał. W końcu po kilkudziesięciu godzinach powiedział pan: „Ktoś musi zdecydować. Kandydatem będzie Karol Nawrocki".

eprasa.pl bd0b11d332

To było troszeczkę inaczej. Powiedziałem: „Przecież u nas jest demokracja, więc ja zdecyduję: kandydatem będzie Karol Nawrocki” [śmiech].

Czy koncepcja paktu senackiego prawicy pod patronatem prezydenta wciąż jest realna? Grzegorz Braun mówi, że już nie bierze w tym udziału.

Pakt senacki pod patronatem prezydenta to jedna z koncepcji, ale jaki będzie jego ostateczny kształt, to się okaże.

Czy uważa pan, że to ważna sprawa?

Większość w Senacie jest oczywiście ważna, bo daje prezydentowi możliwość przeprowadzenia referendum, przyspiesza również prace nad ustawami. Więc bardzo bym chciał, by pakt senacki został zawarty. Ale cały w tym ambaras, żeby dwoje chciało na raz.

Środowiska bliskie Grzegorzowi Braunowi – i nie tylko – twierdzą, że to sprzeciw ambasadora USA wobec sojuszu z Konfederacją Korony Polskiej jest kluczowy. Ile w tym prawdy?

Ambasador Thomas Rose rzeczywiście ma takie obyczaje, że pewne rzeczy mówi wprost, ale żadnych zakazów nie wydaje, nie może wydawać. Zresztą rozmawiałem z nim tylko raz. Ale nie będę ukrywał, że reakcję amerykańską w różnych sprawach musimy brać pod uwagę. Dopóki nie zbudujemy prawdziwej armii – który to proces za obecnego rządu bardzo spowolnił – Stany Zjednoczone są jedyną solidną gwarancją naszego bezpieczeństwa.

Skoro już jesteśmy przy armii, to zapytamy, dlaczego pana rząd zaplanował takie, a nie inne zakupy? Kto to szacował? Z czego wynikają konkretne liczby? Czy to było przemyślane?

Od dawna wiedziałem, że owe 2 proc. PKB na armię to śmiech. Kupowano po kilka helikopterów, stare niemieckie czołgi, które nawet po modernizacji niewiele mogły zdziałać. Potrzebny był radykalny przełom i dlatego wszedłem do rządu jako wicepremier do spraw bezpieczeństwa. Potem razem z ministrem obrony narodowej Mariuszem Błaszczakiem zadaliśmy sztabowi generalnemu pytanie, co jest potrzebne, żeby Polska mogła obronić swoją granicę wschodnią. I to przy założeniu, że walki będą trwały nie tygodnie, ale miesiące. Czyli dopóki nie pobijemy przeciwnika albo dopóki NATO nie będzie w stanie udzielić znaczącej pomocy.

Jaka była odpowiedź?

Pojawiły się dwie koncepcje. Jedna zakładała więcej żołnierzy, druga – więcej sprzętu. Wybrali więcej sprzętu, bo w dzisiejszej sytuacji demograficznej nie jest łatwo o żołnierza. To wszystko było skonkretyzowane, podane w liczbach.

> Życzyłbym sobie, abyśmy w przyszłym roku uzyskali wynik nie gorszy niż w poprzednich wyborach, a więc ok. 35 proc. To by nam dało bardzo dużo. Ale będziemy walczyć o jeszcze więcej

Stąd się wzięło owe 500 Himarsów?

Tak, taka liczba miała być bardzo silnym argumentem, by nas nie atakować. Element odstraszenia. Atak się nie opłaca, bo się nie uda. Do tego podobna broń koreańska w liczbie 200 sztuk. Czołgi Abrams, samoloty F-15, samoloty F-35, masa innego sprzętu. Potężna siła artylerii, siła lotnictwa. Miało być 300 tys. żołnierzy. Chciałem, aby to było nawet 350 tys. Gdyby ten program zrealizowano, bylibyśmy bezpieczni. Już wtedy – mówię o 2020 r. – sygnały, że będzie wojna, miały poważny charakter. Niestety dziś te zbrojenia stanęły, a w najlepszym razie się ślimaczą.

Wojna wywołana napaścią Rosji na Ukrainę trwa już cztery lata i siedem miesięcy. Dłużej niż rosyjska wojna ojczyźniana, dłużej niż I wojna światowa. Może potrwać dłużej niż II wojna światowa. Jaka powinna być optymalna reakcja Polski?

Nasz plan obejmował – i obejmuje – całościowe wzmocnienie państwa polskiego oraz radykalną poprawę poziomu życia. I to się w dużej mierze udało. Także naprawę oświaty. To zadanie okazało się bardzo ciężkie. Poziom nauczania dramatycznie spadł i dalej spada. Z podstawówek wychodzą młodzi ludzie bez podstawowych kompetencji. Trzeba patrzeć bardzo szeroko: odpowiedzią na zagrożenie zewnętrzne musi być poważne państwo, jak to ujmował prezydent Lech Kaczyński. Do tego koncepcje środkowoeuropejskie, zwłaszcza Międzymorze. To wymagało potężnych inwestycji infrastrukturalnych. System dróg, system połączeń kolejowych, rurociągowych, światłowodowych, także tam, gdzie jest to możliwe, rzecznych, czyli kanałów. Tak, by ten region stanowił pewną jedność ekonomiczną. To koszt ok. 600 mld zł. Dziś na świecie jest dużo wolnego pieniądza i można to było zrobić.

Jak pan ocenia sukces AfD w Saksonii-Anhalt? Jakie to może mieć konsekwencje dla Polski i Europy? Czy bać się, czy cieszyć, że jednak ktoś stawia tamę lewicowemu szaleństwu?

Trudno mi powiedzieć, czy AfD może zdobyć władzę w Niemczech. Wygrywa jednak na wschodzie kraju. Z drugiej strony poziom szaleństwa tamtejszej klasy politycznej jest tak wysoki, że wszystko staje się możliwe. Starają się pomagać AfD, jak umieją, bo to dotychczasowa polityka władz niemieckich *de facto*

eprasa.pl bd0b11d332

przyczyniła się do wzrostu AfD do takiego poziomu. Należy też pamiętać – nie jest to moja teza, ale chętnie ją przywołam – że współczesne Niemcy są krajem postnazistowskim, trochę w takim samym znaczeniu, jak my jesteśmy krajem postkomunistycznym. Tam nigdy nie rozprawiano się z nazistami, stworzono wręcz cały mechanizm ich osłony. Mimo że dopuścili się niebywałych zbrodni.

Sukces AfD to na pewno sygnał wyczerpywania się pewnego modelu.

Wygląda na to, że może dojść do głębokich zmian w kilku najważniejszych krajach Europy, w tym w Polsce. Efektem finalnym może być nowy kształt Unii Europejskiej, a to z pewnością służyłoby Rzeczypospolitej. Oczywiście jest pytanie, jak AfD zamierza ułożyć stosunki z Polską. Jest to partia zróżnicowana, ale element posthitlerowski również jest tam widoczny. Nie na pierwszym planie, ale on jest i to nas niepokoi.

Wracając do spraw krajowych. Do wyborów jest trochę ponad rok. Czy pana partia ma plan na te kilkanaście miesięcy? Będzie ofensywa?

Mamy plan, ale – proszę mi wybaczyć – nie będę go dokładnie przedstawiał, nie będę ujawniał. Powiem tylko, że obejmuje on obszary najważniejszych spraw państwowych, a przede wszystkim tego obszaru, który jest trudny do uchwycenia, enigmatyczny, ale jednocześnie niezwykle ważny. Mam na myśli obszar świadomościowy związany z tym, że dzisiaj świat jest stawiany na głowie. Chcemy te sprawy jasno postawić, a także nadać temu wymiar prawny. Bo świat ma jednak chodzić na nogach, a nie na uszach. Szaleństwa lewicowych ideologii muszą być powstrzymane. To jest jedna sprawa. Druga to oczywiście rozwój społeczno-ekonomiczny. Nasze działania adresujemy zarówno do dorosłych, aktywnych zawodowo obywateli, jak i do tych, którzy wchodzą na rynek pracy – ludzi młodych. Nie zapominamy także o tych, którzy przeżywają jesień życia.

Obietnica powrotu do państwa, które naprawdę troszczy się o ludzi?

Powrót do koncepcji państwa dobrobytu, którą realizowaliśmy w trakcie naszych rządów, tylko w nieco innych warunkach ekonomicznych. Proponujemy powrót do normalności i jednocześnie powrót do demokracji, która powinna być nieporównanie bardziej zabezpieczona niż ta, którą mamy. Szukamy czegoś, jakiejś instytucji, która mogłaby zapobiec temu, co dziś dzieje się w Polsce, niezależnie od wyników wyborów. Szukamy i jesteśmy już blisko znalezienia. Z tym że to nie może być prezydent, bo można też wybrać złego prezydenta. To musi być taka Straż Praw.

> Mamy prezydenta, który chce dobrze dla Polski, ale powinien jednocześnie pamiętać, że są siły, z którymi nie da się rządzić. To trzeba rozumieć. Że to będzie szarpanina, ciągłe negocjacje o wszystko, awantury. Plus ideologia antyspołeczna, z którą też trzeba będzie walczyć

Da się ją zbudować bez zmiany konstytucji?

Konstytucja nie stawia przeszkód dla tego rodzaju działania, ale oczywiście dobrze byłoby zmienić ustawę zasadniczą. Proszę pamiętać, że w tej chwili konstytucja praktycznie nie obowiązuje. Obowiązuje, kiedy władza uzna, że jej to nie przeszkadza, że to leży w jej interesie.

A co się stanie, jeżeli Prawo i Sprawiedliwość wygra wybory, prawica wygra wybory, a Donald Tusk powie, że on tego nie uznaje i nie odda władzy?

Nie sądzę, by lojalizacja aparatu państwa wobec obecnej ekipy zaszła tak daleko, by byli w stanie to zrobić.

Na koniec zapytamy – oczywiście nieco prowokacyjnie – ile procent poparcia dostanie Prawo i Sprawiedliwość w wyborach?

Jedna teoria mówi, że obecnie sondaże są mniej więcej tak wiarygodne, jak zawsze były wiarygodne. Niektóre są bardzo mylne, inne nie. Druga teoria głosi, że sondaże są w tej chwili zupełnie niewiarygodne.

Dlaczego?

Ponieważ liczba odmów odpowiedzi jest tak wielka, że badań nie robi się właściwie na próbach wylosowanych, bo to się po prostu kompletnie nie udaje. Czyli robi się na modelach. A modele są oczywiście arbitralne, skonstruowane. W jakimś stopniu nawiązują do rzeczywistości, ale ogólnie rzecz biorąc są konstruktem i tak naprawdę niewiele wiemy.

To ile procent dostanie PiS?

W historii naszej partii jest wiele przykładów wyników wyborczych lepszych niż sondaże. W 2007 r., gdy zastosowano wobec nas technikę paniki moralnej, dostaliśmy o 13 proc. więcej, niż wynikało z badań. A gdybym nie wziął udziału w debacie z Tuskiem w czasie, gdy bardzo źle się czułem, gdy byłem przemęczony, byłoby jeszcze lepiej. Życzyłbym sobie, byśmy w przyszłym roku uzyskali wynik nie gorszy niż w poprzednich wyborach, a więc ok. 35 proc. To by nam dało bardzo dużo. Ale będziemy walczyć o jeszcze więcej. Dlatego niezwykle ważna jest mobilizacja i zaangażowanie nie tylko samej partii, lecz także wszystkich sympatyków, zwolenników, patriotów. To w interesie nas wszystkich jest jak najszybszy powrót do normalności i odsunięcie obecnego rządu od władzy.

eprasa.pl bd0b11d332

Krytyczny moment dla naszego bezpieczeństwa

Pogarszające się położenie walczącej Ukrainy wymaga nowej strategii Warszawy, nowej postawy polskich elit państwowych, nowego konsensusu społecznego, którego przedmiotem miałaby być nasza polityka wobec Ukrainy. Czas na jej formułowanie nastał właśnie teraz!





MAREK BUDZISZ

PRZEMYSŁAW ŻURAWSKI vel GRAJEWSKI

Rosja jest najrozleglejszym terytorialnie państwem na świecie i ziemi ma pod dostatkiem. Nie o terytorium toczy więc obecną wojnę, Ukraina nie może jej zatem zakończyć ustępstwami terytorialnymi. Polskie doświadczenie historyczne podpowiada nam, że zgoda na pierwszy rozbiór nie chroni przed drugim, a zgoda na drugi przed trzecim. Pierwszy Ukraina zaakceptowała *de facto*, choć nie *de iure*, po przegranej kampanii 2014 r. Na drugi nie chce się zgodzić i walczy, ale gdyby musiała go zaakceptować, nie uchroni się przed trzecim – co najwyżej odwlecze go w czasie.

NOWY PORZĄDEK WIEDEŃSKI

Cele Rosji są dwa – wewnętrzny i zewnętrzny. Wewnętrzny wynika z tego, że w 2019 r. Ukraińcy zmienili prezydenta i 77,4 proc. deputowanych do Rady Najwyższej za pomocą kartki wyborczej. Dla systemu politycznego Rosji była to sytuacja nie do zaakceptowania w propagandowo-mitycznej przestrzeni kulturowej „ruskiego miru", niczym Konstytucja 3 maja Rzeczypospolitej dla ościennych monarchów absolutnych. Tym bardziej gdyby się okazało, że poziom życia tak rządzonych Ukraińców rośnie w widoczny w sposób.

Cele wojenne Rosji w zakresie jej polityki zagranicznej, które są rzeczywistym powodem wojny, zostały zaś sprecyzowane w memorandach z grudnia 2021 r. skierowanych do USA oraz NATO i były wielokrotnie podtrzymane przez Kreml w ostatnich czterech latach. Zawarte w nich żądania – gdyby zostały spełnione – wypychałyby Polskę z systemu zbiorowej obrony Zachodu przez faktyczne cofnięcie granic NATO do stanu z 1997 r. Innymi słowy, Rosja żądała porzucenia całej Europy Środkowej aż po duński Bornholm na pastwę szantażu militarnego, a gdy ten zawiedzie – agresji wojskowej. Celem Rosji jest bowiem coś, co można by nazwać nowym porządkiem wiedeńskim (na wzór tego ustanowionego na słynnym kongresie z 1815 r.) – koncert mocarstw europejskich bez USA i z Rosją dominującą w Europie Środkowej w roli mocarstwa hegemonicznego.

Realizacja tego scenariusza wymaga skłócenia Polski z Ukrainą, zniechęcenia Europy Zachodniej do kontynuowania wsparcia materiałowego dla Kijowa i choćby czasowego dealu z USA, polegającego na ofiarowaniu Waszyngtonowi miraży korzyści na kierunkach irańskim i chińskim (co Rosja obieca, ale czego nie dotrzyma). Wymaga także wypchnięcia USA z Europy, co jest wszak również programem unijnego establishmentu, śniącego o „UE jako mocarstwie globalnym".

Polska pomoc w broni i materiałach wojennych oraz wsparcie polityczne (organizowanie koalicji samolotowej, czołgowej, logistyki



eprasa.pl bd0ba1fbf32

i inne) ocaliły Ukrainę w 2022 r. – nie tylko zatrzymały Rosję, lecz także czasowo zmarginalizowały Niemcy. Nie zapomniano nam tego ani w Moskwie, ani w Berlinie, choć w Kijowie już się o tym nie pamięta. W 2023 r. ekipa Zełenskiego wraz z unijnym mainstreamem wzięła udział w presji na Polskę z zamiarem zmiany jej rządu. Operacja ta zakończyła się „sukcesem". Rząd został zmieniony, a w Polsce wzbudzone nastroje antyukraińskie, gwarantujące Berlinowi, że przykre dlań (i oczywiście dla Rosji) polsko-ukraińskie współdziałanie z 2022 r. już się nie powtórzy.

Współdziałanie to jest zaś niezbędne, a brak rozsądku po stronie ukraińskiej nie stanowi dobrego powodu, by samemu czynić rzeczy nierozsądne. Polska broń przekazana Ukrainie posłużyła dokładnie do tego, do czego została stworzona – do niszczenia wrogów Rzeczypospolitej, tyle że nie zginął przy tym żaden polski żołnierz. Dla tych, którzy pytają, co z tego mamy, trzy pytania: czy broń ta lepiej służyłaby interesom Polski, starzejąc się w magazynach? Czy wolelibyśmy, by to polscy, a nie ukraińscy chłopcy siedzieli w tych czołgach i walczyli nie na linii Dniepru i Sejmu, lecz Bugu i Sanu? Co by się stało, gdyby wówczas – w 2022 r. – Ukraina padła? Nie padła i to jest nasz kolosalny zysk, warty poniesionych kosztów. Za zatrzymanie Moskali po raz pierwszy płaciliśmy pieniędzmi, nie krwią.

Ukraina dysponuje obecnie ok. 110 brygadami, wykrwawionymi, ale doświadczonymi w walce. Polska może ich w przeliczeniu wystawić ok. 25. Do sił rozejmowych (które nie powstaną) Wielka Brytania zadeklarowała dwie, Francja – dwie, Niemcy od 2023 r. usiłują wystawić jedną do służby na Litwie. Państwa bałtyckie i Finlandia w razie wojny będą trzymać front u siebie. Czym zastąpimy te 110 ukraińskich brygad, jeśli Ukraina upadnie? Tak, są Amerykanie, ale czy wystarczy ich na Iran, Chiny i Rosję? Wszak to Moskwa wybierze moment ataku.

W mediach społecznościowych można niekiedy przeczytać, że Ukraina nie oddziela nas od Rosji, bo graniczymy z Moskalami przez obwód królewiecki i Białoruś. To prawda, ale ten argument ma taką wartość analityczną jak twierdzenie, że upadek Czechosłowacji w latach 1938–1939 nie miał znaczenia dla położenia geostrategicznego Polski, gdyż II RP i tak miała granicę z III Rzeszą. Czy ktoś śmie bronić tak absurdalnej tezy?



Fot. @Mikołaj Bujak/KPRP

NOWA „TEORIA ZWYCIĘSTWA"

Piszemy o tym wszystkim, by przypomnieć, o co toczy się walka i dlaczego dotyczy najżywotniejszych interesów Rzeczypospolitej. Jest tak, mimo że ekipa Zełenskiego lekceważy Polskę i nie szanuje jej. Ta samobójcza w istocie polityka Kijowa nie zmienia jednak żadnego z wyżej zaprezentowanych faktów. W ostatnich dniach dochodzą do nich nowe, coraz bardziej niepokojące.

Ostatnie rosyjskie ataki wymierzone bezpośrednio w Rzeczpospolitą, jak i obiekty znajdujące się na polsko-ukraińskiej granicy, nie są kwestią przypadku. Mamy do czynienia z nową rosyjską taktyką, nową „teorią zwycięstwa", której realizacja nie tylko nie wyklucza, lecz wręcz zakłada atakowanie celów w sąsiednich państwach. Potwierdzeniem tej tendencji są nie tylko akty sabotażu na terenie Niemiec, lecz także co najmniej cztery bezpośrednie ataki w ostatnich dwóch tygodniach, których celem były przejścia na granicy Ukrainy z Mołdawią i Rumunią.

Sytuacja walczącej Ukrainy staje się krytyczna, a wymuszone „zakończenie wojny" (tzn. w istocie pauza między drugim a trzecim zaborem) na warunkach Putina znacznie pogorszy geostrategiczną sytuację Polski i całej wschodniej flanki NATO.

Zrekonstruujmy rosyjską taktykę w obecnej fazie wojny. Front nie tylko zamarł, lecz także lokalnie siły ukraińskie odzyskują inicjatywę. Kilka miesięcy temu oczyściły miejscowość Kupiańsk i przylegające tereny, a ostatnio z powodzeniem przeprowadziły kontruderzenie na kierunku Łymanu. W tym roku Rosjanie stracili w Donbasie więcej terenów, niż zdobyli, a to oznacza oddalającą się perspektywę „wyzwolenia" tych obszarów.

Realia panujące na froncie skłoniły Rosjan do przeniesienia presji na ukraińskie tyły. Kreml wykorzystuje niedobory ukraińskiej obrony przestrzeni powietrznej i wprowadza do użycia nowe systemy broni. Mają one zwielokrotnić liczbę ofiar wśród ludności cywilnej, pozbawić Ukrainę sanktuariów, obszarów, w których można się bezpiecznie schronić, wywołać panikę i osłabić wolę oporu. Rosjanie chcą wygrać wojnę, terroryzując ludność cywilną i wymuszając chaotyczną samoewakuację dużych miast. Ich intencją jest doprowadzenie do „wypchnięcia" ludności cywilnej z aglomeracji takich jak Kijów i Charków oraz zmuszenie jej do chaotycznej ucieczki w stronę zachodnich granic. Ta ucieczka ma pogłębiać wrażenie chaosu i utraty kontroli państwa ukraińskiego nad zachodzącymi procesami, bo będą jej towarzyszyły ataki na infrastrukturę kolejową, stacje paliwowe i przemieszczających się ludzi. W miastach ma nie tylko nie być światła i ogrzewania – Kreml dąży również do niszczenia systemu zaopatrzenia w wodę i podstawowe artykuły żywnościowe. Zima w ukraińskich miastach ma być zimą w chłodzie, głodzie i bez obrony.

Co więcej, Rosjanie zmienili metodę uderzeń. Teraz przeprowadzają więcej ataków z powietrza, które trwają dłużej, nawet kilkadziesiąt godzin. Ma to zdezorganizować zarówno życie miast, jak i zlokalizowanych w nich firm sektora zbrojeniowego. Uciekający z Kijowa i innych ośrodków miejskich ludzie mają mieć problemy

pl bd0b11d332

z zakupami paliwa, stąd ataki na stacje paliwowe. Ukraińska kolej – będąca kośćcem oraz „ratunkiem" dla przemieszczającej się ludności – również stanowi cel uderzeń. Zarówno węzły komunikacyjne, jak i przede wszystkim trudny do szybkiego odtworzenia tabor (lokomotywy) jest planowo i metodycznie niszczony przez Rosjan.

Wprowadzenie przez nich nowych modeli dronów i rakiet średniego zasięgu umożliwi atakowanie celów w zachodniej Ukrainie, tak aby nigdzie nie było schronienia. Przekroczenie granicy też ma być ryzykowne i dlatego Rosjanie atakują przejścia graniczne, na dodatek „po drugiej stronie" uchodźców ma spotkać przyjęcie nie takie jak w 2022 r., lecz mur wrogości i obojętności. To jeden z celów operacji psychologicznych Rosjan oraz ich polskich poputczików z ostatnich miesięcy.

Pozbawiona energii elektrycznej Ukraina ma również nie mieć możliwości jej importowania. Aby zdestabilizować rynek i doprowadzić do wzrostu cen, w Niemczech przeprowadzono serię akcji sabotażowych wymierzonych w system przesyłowy wysokiego napięcia. Nie wykluczalibyśmy podobnych akcji także w Polsce czy na Słowacji. Atakowane mogą być także interkonektory gazowe czy zdolności dostarczania paliwa płynnego.

Ukraińska gospodarka już odczuwa ciężary rosyjskiej strategii. W sierpniu dochody budżetowe znacząco spadły, co zmusiło premiera Serhija Koreckiego do zamrożenia „niekluczowych" wydatków do końca roku. W świetle deklaracji ministra obrony, aby kontynuować wojnę – przy obecnym poziomie „udronowienia" – Kijów potrzebuje nawet 26 mld dol. do końca roku. Tych pieniędzy nie ma, a sabotażowe operacje Rosjan mają „zniechęcić" sojuszników Ukrainy do kontynuowania pomocy.

> Ostatnie ataki rosyjskie wymierzone bezpośrednio w Polskę, jak i w obiekty znajdujące się na polsko-ukraińskiej granicy, nie są kwestią przypadku. Mamy do czynienia z nową rosyjską „teorią zwycięstwa", której realizacja zakłada atakowanie celów w państwach sąsiadujących z Ukrainą

Tym bardziej że rysuje się polityczny front, skupiający choćby w Niemczech przedstawicieli zarówno prawicy z AfD, jak i lewicy z BSW, którzy deklarują potrzebę wznowienia współpracy energetycznej z Moskwą. Pamiętając, że Nord Stream 1 budowano za rządów SPD, a Nord Stream 2 za rządów CDU, nie trudno zgadnąć, że nie tylko w AfD są zwolennicy takiego rozwiązania. Wyścig o wyborców terroryzowanych wizją starcia z Rosją i wysokimi cenami energii będzie im sprzyjał. Na Ukrainie jeszcze tego nie widzą, ale my już powinniśmy. Zwrot w polityce Berlina ku „strategicznemu partnerstwu z Rosją", szczególnie jeśli zawarty „rozejm" czy „pokój" dadzą do tego pretekst, jest więcej niż prawdopodobny.

Mandat Zełenskiego do rządzenia jest dziś – co potwierdzają wszystkie ostatnie sondaże – znacząco osłabiony. Kolejne afery korupcyjne obejmujące ludzi z bezpośredniego otoczenia prezydenta Ukrainy nie poprawią jego notowań. To przekłada się z jednej strony na narastającą niechęć społeczeństwa do rządzących, czego najboleśniejszym przejawem jest fiasko prób mobilizacji, a z drugiej – zwiększają prawdopodobieństwo radykalnych i ryzykownych posunięć tracącego poparcie Zełenskiego.

Jednym z nich było celowe wywołanie kryzysu z Warszawą – po tym, jak w kwietniu Andrij Jermak, były szef administracji prezydenta Ukrainy, szukał poparcia politycznego u młodych dowódców ukraińskich korpusów. Odcinanie przez Rosję czarnomorskich szlaków eksportu ukraińskiego zboża ponownie otwiera problem jego tranzytu przez Polskę, a zatem również wdzięczne pole do konfliktów. Moskwa i Berlin byłyby niedorajdami, gdyby go nie eksploatowały. Zełenski może zaś próbować budować na tym sporze swój prestiż w oczach ukraińskiej opinii publicznej, co wszak już czynił.

NOWA STRATEGIA DLA POLSKI

Sytuacja Ukrainy zmienia się szybko, niestety w kierunku niekorzystnym dla Polski. W czasie nie dłuższym niż najbliższe sześć miesięcy zdestabilizowana Ukraina może podjąć – przymuszana choćby przez amerykańskich sojuszników – próby „wyjścia z wojny", nawet na niekomfortowych warunkach. Jeśli ten scenariusz się ziści, to będziemy graniczyć z osłabionym, wewnętrznie zdestabilizowanym i rozgoryczonym państwem. Ryzyko wzrostu napięć na linii Kijów–Warszawa jest w takich warunkach realne, tym bardziej w okresie przedwyborczym w Polsce. Alternatywa to kontynuująca wojnę, ale słabnąca Ukraina i coraz radykalniejsza Rosja, przekraczająca kolejne „czerwone linie", w tym polegające na atakowaniu celów na terenie państw ościennych.

Obydwa scenariusze oznaczają dramatyczne pogorszenie się pozycji geostrategicznej Polski i całej Europy Środkowej, od Finlandii po Rumunię. Podkreślamy to, by wskazać, że nie jesteśmy osamotnieni w diagnozie zagrożeń. Dostrzegają je wszyscy – od Helsinek i Sztokholmu po Bukareszt. Ta sytuacja wymaga nowej strategii Warszawy, nowej postawy polskich elit państwowych, nowego konsensusu społecznego, którego przedmiotem miałaby być nasza polityka wobec Ukrainy. Czas na jej formułowanie nastał właśnie teraz! Zaniechania mogą nas drogo kosztować, podobnie jak podziały i konflikty osłabiające nasz potencjał. Dynamika wojny na Ukrainie i procesów politycznych w rdzeniu UE (Niemczech i Francji) oraz uwikłanie wojskowe USA w Iranie, a potencjalnie na Dalekim Wschodzie grozi Europie Środkowej osamotnieniem strategicznym. Czy chcemy, czy nie największymi i najsilniejszymi podmiotami w tym regionie są Polska i Ukraina. Bez naszego współdziałania o naszym losie zadecydują inni. W Kijowie jeszcze tego nie rozumieją i nie mamy żadnych gwarancji, że zrozumieją na czas. My jednak musimy wykonać swoją część zadania. Wyborczy interes partyjny powinien ustąpić przed interesem państwowym Rzeczypospolitej, ten zaś od dawna jest niezmienny – złamać rosyjski imperializm.

eprasa.pl bd0b11d332

Desant na Trybunał

Rząd Donalda Tuska planuje fizyczną napaść na najwyższy konstytucyjny organ władzy sądowniczej



STANISŁAW JANECKI

Mogliby poczekać na to, aż „nasi sędziowie” – jak nazwał ich premier Donald Tusk – uzyskają większość w 15-osobowym składzie Trybunału Konstytucyjnego, ale nie chcą. 18 września 2026 r. skończyła się kadencja sędziego Justyna Piskorskiego (na jego miejsce Sejm wybrał Macieja Berka), a 30 stycznia 2027 r. dobiegnie końca kadencja sędziego Jarosława Wyrembaka – wówczas w Trybunale będzie już zatem tylko sześciu „starych” sędziów. Ale jedynie trzech „nowych” podjęło obowiązki – pięciu wciąż nie ma do tego uprawnień, bo legalnie nie złożyli ślubowania wobec prezydenta. Użycie siły w takiej sytuacji wydaje się więc aberracją, mimo to Tusk i spółka prą do takiego rozwiązania. Dlaczego?

Po pierwsze dlatego, by straszyć prezesa Bogdana Święczkowskiego (mimo że nie jest strachliwy) i sędziów TK powołanych przed utworzeniem trzeciego rządu Donalda Tuska (tu ktoś mógłby się złamać). Po drugie, chcą udowodnić opozycji, że jedyne, co może, to oburzać się i protestować, ale realnie nie jest w stanie zapobiec siłowej interwencji w Trybunale. Po trzecie, chcą pokazać swoim „Silnym Razem” i innym twardogłowym, że nie są mięczakami, a nawet są gotowi wiele zaryzykować, by się zemścić – tak jak chcą tego wyznawcy Romana Giertycha. Po czwarte, rok przed głosowaniem pragną narzucić ton kampanii wyborczej w 2027 r., sprowadzając ją do totalnej wojny z zastosowaniem brutalnych form przemocy. Po piąte, chcą zyskać przychylność wszystkich uzależnionych finansowo od wypłat z Trybunału, którzy byliby pozbawieni świadczeń, gdyby trwał klincz. Po szóste, liczą na wzmocnienie własnego zaplecza parlamentarnego, sfrustrowanego bezradnością wobec wet prezydenta Karola Nawrockiego, bo przejęty Trybunał będzie próbował uznać go za niezdolnego do wykonywania obowiązków.

Rządzący chcą rozwiązania siłowego, dlatego ministrowie Waldemar Żurek i Marcin Kierwiński w porozumieniu z ministrem koordynatorem tajnych służb Tomaszem Siemoniakiem dostali od Donalda Tuska zadanie fizycznego opanowania siedziby Trybunału Konstytucyjnego w Al. Szucha w Warszawie. Pretekstem ma być uniemożliwienie podjęcia obowiązków przez pięcioro „sędziów” wybranych przez Sejm, co ma być przestępstwem z art. 231 par. 1 Kodeksu karnego (nadużycie władzy przez funkcjonariusza publicznego). Ma to być również przestępstwo przeciwko działalności instytucji państwowych (art. 249 Kodeksu karnego). Przepis ten dotyczy przemocy, groźby bezprawnej lub podstępu w celu zakłócenia czynności konstytucyjnego organu Rzeczypospolitej Polskiej. Uniemożliwianie pięciorgu „sędziom” udziału w Zgromadzeniu Ogólnym TK i rozprawach rządzący uznają za paraliżowanie oraz zniekształcanie pracy organu konstytucyjnego, jakim jest Trybunał. Rząd Donalda Tuska powołuje się również na zabezpieczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, który nakazał władzom RP oraz prezesowi TK Bogdanowi Święczkowskiemu niestawianie przeszkód sędziom wybranym przez Sejm oraz przydzielenie im spraw.

Grunt pod fizyczny desant na Trybunał Konstytucyjny został więc przygotowany, a ćwiczeniem jego wariantu była akcja w siedzibie Akademii Wymiaru Sprawiedliwości przy ul. Karmelickiej w Warszawie.

PRÓBA GENERALNA

W opinii prokuratora generalnego Waldemara Żurka „uporczywe ignorowanie” środka tymczasowego ETPC stanowi „jawne, świadome i ciągłe naruszanie prawa”. Aby wszystko odbywało się legalnie i prokuratura mogła postawić prezesowi Święczkowskiemu zarzuty karne, niezbędne jest uchylenie mu immunitetu sędziowskiego przez Zgromadzenie Ogólne TK. Początkowo rząd przygotowywał strategię doprowadzenia do głosowania nad immunitetem prezesa po odejściu w stan spoczynku sędziego Justyna Piskorskiego. Obiektywnie wariant ten jest nierealny, ponieważ swoje obowiązki wypełnia tylko trzech „nowych” sędziów. Ale chodzi przede wszystkim o to, że uznano to rozwiązanie za zbyt miękkie i nieakceptowalne dla najtwardszych wyborców Koalicji Obywatelskiej oraz Nowej Lewicy. Oni domagają się radykalnej rozprawy i właśnie tym ma być fizyczne zdobycie siedziby Trybunału, co potem zostałoby odpowiednio „sprzedane” propagandowo.

eprasa.pl bd0b11d332



11 września 2026 r. prezes Prawa i Sprawiedliwości Jarosław Kaczyński – dopytywany przez dziennikarzy, czy fizyczny atak koalicji rządzącej na Trybunał Konstytucyjny jest nieunikniony i czy należy się go spodziewać w dalekiej przyszłości – powiedział: „Uważam to za bardzo prawdopodobne. Nie sądzę, żeby to była odległa przyszłość. Jeżeli, to będzie raczej w bardzo nieodległej przyszłości. Zresztą ten termin został opisany, sformułowany, tylko bardziej ogólnie: »na wrzesień«. W tej chwili ataku na Trybunał Konstytucyjny pewnie nie będzie z tego względu, że tam jest konferencja międzynarodowa, tam są przedstawiciele różnych krajów. Ale czy nie będzie go wieczorem albo jutro? Tego nie wiemy. […] Wygraliśmy te wybory prezydenckie i powinny być tego skutki. Gdyby Trybunał mógł uchylić, a nawet na jakiś czas zawiesić prezydenta, to już będzie całkowita zmiana sytuacji i domknięcie systemu, o które im chodziło” – podsumował lider PiS.

Na konferencji prasowej Jarosław Kaczyński wprost wyjaśnił, „o co tutaj chodzi”. Stwierdził: „Z całą pewnością mamy tu do czynienia z celem samym w sobie, czyli chodzi o tę akademię [Wymiaru Sprawiedliwości – przyp. red.]. Ale ważniejszą przyczyną jest przeprowadzenie próby generalnej przed próbą przejęcia Trybunału Konstytucyjnego. […] To jest próba domknięcia systemu w bardzo określonym celu. Tu nie tylko chodzi o stworzenie sytuacji sprzyjającej wygraniu zbliżających się wyborów parlamentarnych, lecz chodzi także o to, by możliwie szybko, pewnie jeszcze w tej kadencji, zrealizować plany szersze, odnoszące się do różnych inicjatyw brukselskich, a w istocie niemieckich. […] To jest m.in. pakt oszczędnościowo-inwestycyjny, który w ostatecznym rachunku doprowadzi do wielkiego odpływu kapitału z Polski oraz prawdopodobnie z innych krajów, które nie tak dawno znalazły się w Unii Europejskiej. […] Ma powstać giełda europejska, co stworzy mechanizm, że od nas będzie wypływał kapitał, a wszystkie decyzje będą w gruncie rzeczy podejmowane w Niemczech. […] Trybunał Konstytucyjny w legalnym składzie byłby w tym przeszkodą. Dlatego [w Akademii Wymiaru Sprawiedliwości – przyp. red.] mamy próbę generalną w wymiarze organizacyjno-policyjnym”.

OBSESJA SZUKANIA DOWODÓW

Plany ataku poprzedziły przesłuchania w prokuraturze sędziów i pracowników Trybunału Konstytucyjnego. Mają one tylko taki sens, że służą do sprawdzenia, którzy sędziowie zdecydowaliby się współpracować, by można było zwołać Zgromadzenie Ogólne. Ono mogłoby zdecydować o pozbawieniu prezesa Święczkowskiego immunitetu, choć nie byłoby w stanie doprowadzić do usunięcia go ze stanowiska, bo to jest prawnie niemożliwe. Także w wykonaniu prezydenta, więc tym bardziej uzurpatora w postaci marszałka Sejmu pełniącego obowiązki głowy państwa. Pozbawiony immunitetu, a nawet aresztowany Bogdan Święczkowski (na co też musiałoby się zgodzić Zgromadzenie Ogólne i co byłoby znacznie trudniejsze niż pozbawienie immunitetu) nadal byłby prezesem. A tylko prezes może zwołać Zgromadzenie Ogólne. Gdyby władza próbowała ustanowić p.o. prezesa w osobie sędziego o najdłuższym stażu, nic by nie wskórała, jeśli prezes sam wyznaczyłby zastępcę, bo ten miałby pierwszeństwo. Fizyczny atak na siedzibę Trybunału sparaliżowałby tę instytucję, ale nie doprowadziłby do jej przejęcia. I może na razie tylko o ten paraliż chodzi. W przypadku przesłuchiwania pracowników TK chodziło zaś o to, by ich zastraszyć, zasiać niepewność co do wypłacania poborów oraz namówić kogoś do ujawnienia jakichś tajemnic.

Fizyczne zdobycie siedziby Trybunału jest potrzebne Tuskowi i spółce przede wszystkim do pozyskania „dowodów” obciążających prezesa Bogdana Święczkowskiego, a władza wymyśliła sobie, że są one przechowywane w sejfie w gabinecie prezesa. Jest też potrzebne, by zainstalować piątkę, której prezes nie powierzył żadnych zadań ze względu na niezłożenie ważnego ślubowania. Zostaliby ulokowani w pokojach i udawaliby, że są już prawomocni w kontekście ewentualnego zwołania Zgromadzenia Ogólnego. Chodzi również o uniemożliwienie funkcjonowania Trybunału w dotychczasowym kształcie, gdyż uczestnicy desantu zostaliby dłużej w budynku „ze względów bezpieczeństwa” oraz uniemożliwiliby prezesowi swobodne dysponowanie pomieszczeniami, w tym własnym gabinetem.

eprasa.pl bd0b11d332



Fot. Andrzej Wiktor

SCENARIUSZE ZAMACHU

Pierwszy scenariusz desantu na siedzibę przy Al. Szucha zakładał opanowanie budynku nocą, gdy pilnuje go tylko dwóch funkcjonariuszy Straży Trybunału Konstytucyjnego. Policja lub jednostka antyterrorystyczna interweniowałyby na podstawie rzekomego (zainscenizowanego) zgłoszenia o zagrożeniu lub naruszeniu bezpieczeństwa. Wtedy można by zająć budynek i przejąć upragnione „dowody". Nocny scenariusz upadł z tego powodu, że działają wtedy zabezpieczenia, np. automatycznie zamykają się wszystkie drzwi. Aby dezaktywować zabezpieczenia, trzeba by zmusić do współpracy funkcjonariuszy Straży Trybunału Konstytucyjnego, ale oni musieliby się skontaktować ze swoim szefem, a ten – z prezesem Święczkowskim. Desantu nie dałoby się więc ukryć przed opinią publiczną i jeszcze w nocy wybuchłaby wielka afera. Uczestnicy akcji znaleźliby się zatem w pułapce, bez szans na zrealizowanie planu szybkiego i cichego opanowania budynku. Dlatego nocny scenariusz zastąpiono dziennym.

Desant odbyłby się w biały dzień i przy użyciu dużych sił po rzekomych alarmach o zagrożeniu terrorystycznym, w tym zagrożeniu życia sędziów i innych osób pracujących w Trybunale. Działanie w nadzwyczajnych warunkach i w obecności sporej liczby osób w siedzibie TK byłoby ułatwione, gdyż wtedy nie działałyby zabezpieczenia automatycznie uruchamiane nocą. W dzień można by też sforsować sejf w gabinecie prezesa, np. pod pretekstem zneutralizowania jakiegoś ładunku. I nikt postronny czy reprezentujący TK nie byłby świadkiem takiej akcji – „ze względów bezpieczeństwa".

Po opanowaniu i „zabezpieczeniu" budynku Trybunału zostałby on zamknięty jakiś czas, a sędziowie i inni pracownicy przeniesieni do jakichś pomieszczeń tymczasowych, najprawdopodobniej w siedzibie MSW lub Ministerstwa Sprawiedliwości, co pozwoliłoby kontrolować niemal wszystko, a władzę legalnego prezesa TK nad pomieszczeniami, organizacją itp. – mocno ograniczyć. Wtedy własne pokoje dostałaby piątka tych, którym prezes Święczkowski ich nie przydzielił ze względu na niespełnienie warunków. W tym nowym miejscu zaczęłaby się też akcja wyłaniania większości – nieważne, że nielegalna, bo z udziałem nieuprawnionych „sędziów", w tym Macieja Berka, po pospiesznym złożeniu przez niego jakiegoś ślubowania, nie wiadomo „wobec" kogo. Ta większość mogłaby odebrać immunitet prezesowi Święczkowskiemu. Mimo że wszelkie dalsze działania byłyby naznaczone piętnem nielegalności, ale tym akurat Donald Tusk, Waldemar Żurek i Marcin Kierwiński kompletnie się nie przejmują.

> Fizyczny atak na siedzibę Trybunału sparaliżowałby tę instytucję, ale nie doprowadziłby do jej przejęcia. I może na razie tylko o ten paraliż chodzi. Zostałby też doceniony przez twardy elektorat KO, któremu Tusk pokazałby siłę swojej woli

„NA RYMPAŁ"

Nie dziwi, że najmniej poparcia wśród rządzących ma scenariusz będący prostym nawiązaniem do opanowania przez policję siedziby Akademii Wymiaru Sprawiedliwości. Nawet gdy najmniej naciągany byłby powód interwencji, czyli działanie na rzecz „prawidłowo wybranych przez Sejm sędziów", którym prezes Święczkowski uniemożliwia sprawowanie funkcji. W tym przypadku wystarczyłoby się powołać na tymczasowe zabezpieczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, choć ono – podobnie jak inne orzeczenia tego trybunału – nie wchodzi do obiegu prawnego w Polsce. Tylko że Tuskowi i spółce taka akcja niewiele da, bo zaraz pojawią się interweniujący posłowie opozycji, dziennikarze oraz każdy, kto poczuje się zobowiązany, by bronić Trybunału. Za marny efekt trzeba by więc było zapłacić wielką komplikacją sytuacji, społecznymi protestami, nagłośnieniem sprawy w mediach.

Działanie „na rympał", tłumaczone względami bezpieczeństwa oraz ratowaniem życia i zdrowia wielu osób, byłoby natomiast otoczone odpowiednią mgłą tajemnicy, bo siły specjalne po prostu nie wpuściłyby nikogo w pobliże siedziby Trybunału, a dodatkowo Tusk i spółka zyskaliby uznanie z powodu stanowczego i skutecznego działania. Organizacje międzynarodowe „zrozumiałyby" sytuację nadzwyczajną, zdobycie Trybunału stałoby się więc faktem, nawet gdyby ostatecznie Tuskowi nic by to nie dawało, bo prezesem pozostawałby Święczkowski (aż do 9 grudnia 2030 r., bo kadencja trwa sześć lat i bez zmiany ustawy nie można jej skrócić). Ale Tusk pokazałby siłę swojej woli. I wielkość własnego ego.

eprasa.pl bd0b11d332



Uczciwość budzi nadzieję w Krakowie

Pora skończyć z myśleniem, jakby Kraków dalej był peryferyjnym grodem pod zaborami. W niczym nie jesteśmy gorsi od Warszawy, Wrocławia, Poznania i Gdańska. Musimy mierzyć wysoko, a nie stawiać jedynie na turystykę i być polem do działania dla deweloperów. Kraków nie może być wyzyskiwany przez wąskie grupki interesu, które traktują miasto jak cytrynę do wyciśnięcia

Z Michałem Drewnickim, absolwentem Akademii Górniczo-Hutniczej, kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta Krakowa, rozmawia Jerzy Szmit

Pochodzi pan z Nowej Huty, która była symbolem socjalistycznej Polski, a potem oporu wobec władzy komunistycznej. Czy historia nadal jest tam żywa?

Michał Drewnicki: Tak, Nowa Huta jest bardzo niepokorną dzielnicą Krakowa. Ja też mam zamiar być prezydentem niepokornym. Będę bronił wartości, tak bardzo wpisanych w naszą historię: wielkiej Solidarności, walki o krzyż, postaci ks. Kazimierza Jancarza, pamięci o Bogdanie Włosiku. To była obrona naszych wartości przed tym, co chciał nam narzucić komunizm. Dzisiaj Kraków potrzebuje prezydenta, który będzie umiał postawić się zarówno niebezpiecznym prądom ideologicznym, jak i twardo prowadzić politykę rozwojową miasta.

Jak przełoży pan to na urząd prezydenta?

Prezydent nadaje ton, przygotowuje strategię i realizuje ją. Chcę ambitnej wizji rozwoju. Dla mnie kluczowe są dobre miejsca pracy, sprawny transport, a także to, co dobrego ma Nowa Huta – zieleń, parki i usługi publiczne. Tego brakuje w wielu dzielnicach Krakowa, dlatego ważny jest zrównoważony rozwój miasta. Każdy mieszkaniec – niezależnie od tego, gdzie mieszka – powinien korzystać z porządnej infrastruktury, usług blisko swojego miejsca zamieszkania. Dziś w Krakowie nowe osiedla nie mają parków i mieszkańcy są zmuszeni, by jeździć do nich samochodami. Jako przyszły prezydent miasta przygotowałem twarde zapisy w strategii rozwoju, a w planie ogólnym konkretne wymogi, by deweloperzy mogli budować osiedla tylko wtedy, gdy zapewnione są miejsca pod szkoły, parki, przychodnie, rekreację, sport, religię. To minimum cywilizacyjne, którego dzisiaj potrzebujemy.

Dorastał pan w blokowisku, podobnie jak prezydent Karol Nawrocki.

Fot. Michał Drewnicki/facebook

eprasa.pl bd0b11d332

Potem ciężka praca, bardzo dobre wykształcenie.

Wychowałem się w rodzinie, która nie miała nadmiaru pieniędzy, mimo że rodzice ciężko pracowali. Tata nadal jest muzykiem Filharmonii Krakowskiej, a mama w czasie komunizmu była członkiem Solidarności. Rodzina nauczyła mnie, że trzeba mieć wartości i nie tylko o nich mówić. Wyznaję wartości katolickie, konserwatywne, prawicowe, wobec tego czuję się w obowiązku, by je po prostu realizować. Jeżeli jestem w tym podobny do prezydenta Karola Nawrockiego, to dla mnie wielkie zobowiązanie.

W wieku 20 lat został pan wybrany do Rady Dzielnicy Mistrzejowice. Od dwóch kadencji jest pan wiceprzewodniczącym w Radzie Miasta Krakowa. Co pociągnęło pana do polityki?

Zaczynałem od pracy najbliżej człowieka i dlatego wybrałem działalność samorządową. Jestem zarówno romantykiem, jak i pozytywistą: wyznaję romantyzm celów, bo trzeba mieć wielkie ambicje i walczyć o nasze wartości (w tym jestem bezwzględny). Jednocześnie widzę, że droga dojścia często jest mało spektakularna, mało przyjemna, a czasem i bardzo męcząca. Oznacza to np. żmudną pracę w Radzie Dzielnicy, na osiedlu i w Radzie Miasta bez spektakularnych występów – jak ma to miejsce w parlamencie czy ogólnopolskich telewizjach.

A co to oznacza w Krakowie?

Np. koalicja rządząca chce wykluczać ludzi i wprowadziła strefę czystego transportu, czemu dwukrotnie sprzeciwiłem się jako radny. Skutecznie sprzeciwiałem się, gdy deweloperzy chcieli zabetonować miasto bez opamiętania – kosztem mieszkańców osiedli czy zieleni, obniżając komfort życia ludzi, którzy mieszkali na tych osiedlach od pokoleń. Bronię również mieszkańców przed arbitralnymi zakazami budowy domów na własnych działkach. Chcę jasnych zasad ochrony zieleni, obowiązujących przede wszystkim lobby deweloperskie. W takich konkretnych sprawach trzeba walczyć o ludzi, o równość, o sprawiedliwość i o prawo. Stąd też moja droga od radnego dzielnicy, poprzez radnego miasta, skończywszy na kandydacie na prezydenta Krakowa.

Jako radny składa pan bardzo dużo interpelacji, zapytań. Co udało się załatwić?

Jestem radnym opozycyjnym – tak było zarówno w stosunku do prezydenta Majchrowskiego, jak i Miszalskiego. Ale za punkt honoru przyjąłem sobie obronę Krakowa i jego mieszkańców przed złymi decyzjami władzy, marnotrawstwem publicznych pieniędzy i niszczeniem przestrzeni miasta przez samowolę deweloperów. Skutkami złych decyzji są ogromne korki i olbrzymie zadłużenie Krakowa. Zdecydowanie przeciwstawiałem się i dwukrotnie głosowałem przeciw strefie czystego transportu. Kontrolowałem prezydentów i ich wydatki. Wystąpiłem do Najwyższej Izby Kontroli o sprawdzenie miejskiej spółki Kraków5020. Po kontroli sprawa trafiła do prokuratury, a dziś są akty oskarżenia. Interweniuję również w sprawach indywidualnych. Władza chciała się pozbyć jednego z lokatorów mieszkania komunalnego, a on chciał zgodnie z prawem wykupić mieszkanie. Gdy nagłośniłem sprawę, władza się wycofała.

Co chciałby pan zmienić?

Kraków nie może być wyzyskiwany przez wąskie grupki interesu, które traktują miasto jak cytrynę do wyciśnięcia. Czasami mówi się, że Kraków stał się piękną scenografią dla zabawy turystów. Jesteśmy bardzo dumni z naszego pięknego Krakowa, serca i dawnej stolicy Polski, miasta królów i świętych. Jednak nie chcę, by skończyło się na tym, że jesteśmy jednym wielkim skansenem. Niestety poprzedni prezydenci nie robili wiele, by to zmienić. W skansenie są godziny otwarcia, pobiera się bilety za wejście od zwiedzających, a mieszkańcy nie są potrzebni. W centrum miasta, w pięknych, cudownie zachowanych domach, już mało kto mieszka. Ludzie nie mają tam życia: nocne hałasy, awantury, zabrudzone i zaśmiecone chodniki, przestępczość – a ja mam plan i wolę, by przywrócić w mieście normalność!

Czasami tak działa pieniądz.

Powtórzę – Kraków jest miastem królów oraz świętych i nie można tego ot tak zmonetyzować. Dziedzictwo to wyzwanie i my też musimy robić wielkie rzeczy ze względu na naszych przodków i naszą historię. Nie możemy tylko odcinać kuponów. Skoro kiedyś Kraków był wielkim, kulturotwórczym miastem, oddziałującym na całą Polskę, to chcemy takiego Krakowa również dzisiaj. Dlatego moją ambicją jest, aby Kraków był miejscem ambitnych inwestycji z nowoczesnymi miejscami pracy. Mam wielki plan przygotowania 200 ha gruntów strefy aktywności gospodarczej pod takie projekty. Kraków musi zatrzymać studentów i absolwentów. Jesteśmy z nich dumni, ale dzisiaj często są podkupywani przez Warszawę, Gdańsk czy Wrocław, bo wielu młodych ludzi nie widzi tutaj przyszłości.

Poprzedni prezydent zasłynął skandalami i gigantycznym zadłużeniem, a także zupełnie nieakceptowanym doborem kadr.

W ostatnim czasie Kraków dotknęła epidemia kolesiostwa. Prezydent Miszalski przekroczył próg bezczelności: zatrudniał m.in. swoich byłych asystentów z biura poselskiego. Zostawił po sobie gigantyczny dług. Kraków zaciągał nowe kredyty, by spłacać stare. Niestety były to również kredyty konsumpcyjne (np. na pensje pracowników). Tak działo się przez lata. Jak próbował ratować sytuację? Podwyżkami! Koalicja Obywatelska sięgnęła do kieszeni mieszkańców, podnosząc ceny biletów, podatki lokalne, opłaty za śmieci. Równocześnie Miszalski zwiększył nakład propagandowej gazety miejskiej z 30 do 220 tys. egzemplarzy, co będzie kosztowało rocznie 2,5 mln zł. Instytucje miejskie podpisywały umowy ze spółką tzw. złotego chłopca PO na setki tysięcy złotych. Ale marnotrawstwu publicznych środków nie było końca. W tym czasie brakowało środków na pensje nauczycieli.

Kampania wyborcza dobiega końca. Czego pana nauczyła?

eprasa.pl bd0b11d332

Ciężka praca daje efekty. W ludziach jest duża nadzieja, że wreszcie przyjdzie ktoś, kto naprawdę zna Kraków i jest wiarygodny. Nie przyjechałem tutaj tylko na kampanię, jak niektórzy, i nie wyjadę zaraz po niej. Wychowałem się tutaj, tu mieszkam i założyłem rodzinę. Od 12 lat jestem radnym i znam problemy ludzi w mieście. Ludzie widzą, co robiłem i jak głosowałem. Dzisiaj chcą ambitnych działań i mają nadzieję, że Kraków stanie się wiodącą polską metropolią.

Które punkty pańskiego programu wzbudzały największe zainteresowanie?

Ograniczenie i likwidacja Strefy Czystego Transportu. Dzisiaj zgodnie z prawem możemy ją zmniejszyć i deklaruję, że ograniczę ją do ścisłego rynku oraz kilku ulic wokół niego. Jestem jedynym kandydatem, który poza mówieniem o tym, podjął konkretne działania – dwukrotnie głosowałem przeciwko niej i mam przygotowane projekty uchwał. Mam również kompleksowy program „Transport, który oszczędza czas" – to budowa brakujących dróg, zwiększenie połączeń komunikacji miejskiej, budowę parkingów i węzłów przesiadkowych. Ale bardzo często słyszałem też dwa słowa: uczciwość i wiarygodność. Kolesiostwo nie powinno definiować polityki, bo niszczy możliwość aktywnego i skutecznego rozwoju miasta. Jednocześnie deklaruję, że za mojej prezydentury będę zatrudniał tych, którzy mają wiedzę oraz chęć i ambicje, by rozwijać miasto. Te same wymagania będą dotyczyły ludzi z mojego środowiska. Partyjna legitymacja nikomu nie da pierwszeństwa.

Może wobec bierności i braku wizji rozwojowej Warszawy Kraków ma szansę włączyć się w walkę już nie o polską, lecz o europejską ekstraklasę?

Mamy szansę, ale do tego potrzebna jest wizja rozwoju i osoba, która będzie miała wolę, aby ją zrealizować. Działania poprzednich prezydentów w tej kwestii były nieskuteczne. Np. w strefie aktywności gospodarczej w Nowej Hucie marnowano potencjał miejsca, sprowadzając firmy budujące magazyny zamiast firm produkcyjnych i przemysłowych. Sądzę, że my, Krakowianie, mamy większe ambicje niż budowa magazynów. Niestety z Krakowa wyprowadzają się kolejne firmy. W ostatnich 18 miesiącach 6,5 tys. miejsc pracy zostało zgłoszonych do zwolnień grupowych. Mam jednak konkretny plan gospodarczy. Marszałek Łukasz Smółka zadeklarował wsparcie mojego projektu przygotowania 200 ha pod nowoczesną produkcję. Zaproponowałem Małopolski Pakt Przemysłowy, łączący działania miasta, województwa i sąsiednich gmin w celu przyciągnięcia najlepszych inwestorów.

A ma pan taką siłę?

Tak. Wspólnie z mieszkańcami obroniliśmy Łąki Mistrzejowickie przed zabudową. Doprowadziłem do postawienia spółki marnotrawiącej publiczne środki w stan likwidacji. Broniłem ludzi przed absurdami urzędniczymi. Wiem, jak realizować projekty i podejmować konkretne decyzje. Pora skończyć z myśleniem, jakby Kraków dalej był peryferyjnym grodem pod zaborami. W niczym nie jesteśmy gorsi od Warszawy, Wrocławia, Poznania i Gdańska. Musimy mierzyć wysoko, a nie stawiać jedynie na turystykę i być polem do działania dla deweloperów.

Jak toczy się ta kampania wyborcza? Nie ma nieczystych zagrań?

Na razie kampania jest bardzo spokojna i nie obserwujemy rażącego hejtu i kłamstw. Mam nadzieję, że tak będzie do końca. Chcę grać uczciwie, bo uważam, że jeżeli ktoś wygrywa w nieuczciwy sposób, to takim będzie prezydentem.

W dotychczasowych wyborach do Rady Dzielnicy i Miasta osiągał pan znakomite wyniki.

Ludzie oceniają nie deklaracje, lecz konkretne działanie. Widzą, że angażuję się w sprawy mieszkańców i jestem w tym szczery oraz autentyczny. Pierwsze pieniądze – a było to 30 zł – zarobiłem, mając 13 lat, za roznoszenie ulotek osiedlowego sklepu z jajkami. Mając 19 lat, po maturze wykładałem piwo na półki w wakacje. A kiedy miałem 20 lat, wygrałem wybory do Rady Dzielnicy. Później skończyłem studia na AGH i wygrałem wybory do Rady Miasta. Ludzie mnie znają i głosują na mnie, bo jestem jednym z nich i reprezentuję wartości, według których żyją również oni.

Jest pan kandydatem Prawa i Sprawiedliwości. To pomaga czy szkodzi?

Nie ukrywam tego – w odróżnieniu od niektórych kandydatów, chowających w tych wyborach swoje znaczki partyjne. Jednocześnie nie zamierzam być prezydentem „partyjnym". Przynależność do ugrupowania to pokazanie systemu wartości, które się wyznaje. Dlatego prezydent Krakowa może być członkiem partii, ale to nie może blokować rozmów z innymi ludźmi. Chcę podchodzić merytorycznie, zatrudniać kompetentnych ludzi i rozmawiać ze wszystkimi. Jeżeli chodzi o miejskie sprawy: tereny zielone, mieszkalnictwo, rozwój gospodarczy, w Radzie Miasta Krakowa potrafię współpracować zarówno z klubem Łukasza Gibały, jak i z radnymi z Partii Razem, mimo różnic w podejściu do polityki krajowej czy światopoglądu. Tutaj nigdy nie zmienię zdania.

Wisła czy Cracovia?

W liceum chodziłem na Wisłę Kraków, ale mamy trzy kluby w ekstraklasie i jestem z tego dumny. Każdemu z nich życzę sukcesów. Pamiętam również o Hutniku Kraków, drużynie z tradycjami. Są plany rozbudowy jego stadionu i bazy szkoleniowej dla młodzieży i całej dzielnicy, co wspieram i będę wspierał.

Pierwsza decyzja po wejściu w rolę prezydenta miasta Krakowa?

Projekt uchwały ograniczającej SCT i likwidacja miejskiej gazety propagandowej. Równocześnie rozpocznę prace nad przygotowaniem 200 ha pod nowe miejsca pracy. Najważniejsze jest jednak to, by przywrócić w Krakowie normalność i ja to zrobię.

eprasa.pl bd0b11d332

Po co był ten rozłam?



Rozwój Plus miał być „lepszym PiS". Sprawniejszym i przyciągającym nowych wyborców. A według przeciwników miał to być kolejny antypis, koncesjonowana prawica kolaborująca z Donaldem Tuskiem. Nie spełniło się ani jedno, ani drugie. Rozwój Plus to „PiS obok". Druga wersja tego samego projektu

Fot. Rozwój Plus/Facebook

Tak samo nie spełniły się inne proroctwa. Ugrupowanie Mateusza Morawieckiego nie przepadło i nie rozsypało się – wbrew twierdzeniom tych, którzy zostali w Prawie i Sprawiedliwości i poświęcają wiele energii na zwalczanie swojego niedawnego premiera. Ale jednocześnie nowy projekt rozwija się bardzo wolno, i to mimo rzeczywiście sporej aktywności Morawieckiego oraz jego stronników.



PIOTR GURSZTYN

Nie ma, jak mawia młodzież, „efektu ław". Przy czym także stare PiS nie ma powodów do satysfakcji, bo miało być jak w przysłowiu, że „baba z wozu, koniom lżej". Po odejściu Morawieckiego Prawo i Sprawiedliwość nie ruszyło z kopyta. Prawicowy wyborca nadal ma pełne prawo, by zadawać pytania, po co był ten rozłam oraz jaki sens mają wzajemne oskarżenia i złośliwości.

SAMORZĄDOWCY PLUS

Nowy projekt, czyli Rozwój Plus, jest na swoim już dwa miesiące – jeśli liczyć od

eprasa.pl bd0b11d332

24 lipca, czyli momentu, w którym Jarosław Kaczyński ogłosił, że grupa posłów PiS złożyła rezygnację z członkostwa w partii, ponieważ odmówiła podpisania deklaracji o nieprzynależności do stowarzyszeń. Wtedy było to 30 posłów. Potem dołączyli kolejni. Teraz grupa Morawieckiego, ciągle niesformalizowana jako partia, liczy 41 posłów, 2 senatorów, 3 eurodeputowanych i 3 radnych sejmikowych.

Po dwóch miesiącach działania tej grupy nie można jeszcze formułować definitywnych ocen, ale trzeba zauważyć następującą rzecz – doświadczenie pokazuje, iż nowe inicjatywy polityczne muszą startować z dużym impetem. Wręcz fajerwerkami, aby osiągnąć efekt kuli śniegowej. Tu tego nie ma. Jedyne, co najbardziej przyciąga uwagę mediów, to chyba tylko pyskówki między PiS a Rozwojem Plus. O rzeczy w sumie drugorzędne, jak rozkład miejsc na sali plenarnej Sejmu.

Ciekawą rzeczą – choć nie przyciągnęła ona uwagi większości opinii publicznej – jest znaczący akces do Rozwoju Plus samorządowców, w tym sporej grupy prezydentów miast średniej wielkości. Dołączyli dwaj związani z PiS prezydenci Tomaszowa Mazowieckiego i Tarnobrzega, a także bezpartyjni prezydenci Kalisza, Sieradza, Świętochłowic i Mysłowic. Niektórzy z nich to ludzie związani z Bezpartyjnymi Samorządowcami, środowiskiem ważnym na tym szczeblu polityki, z którym grupa Morawieckiego od dawna utrzymuje dobre kontakty. Ciekawostką jest akces Krystiana Kinastowskiego z Kalisza. To człowiek kojarzony bardziej z Konfederacją, bo z jej poparciem wygrał wybory. Można to uznać za dobry znak dla Morawieckiego, gdyż kierując się sondażami, Kinastowskiemu bardziej by się opłacało związać z partią Sławomira Mentzena i Krzysztofa Bosaka. Wybrał Morawieckiego. Z jakichś strukturalnych przyczyn Konfederacja w ogóle nie potrafi zaistnieć na szczeblu samorządowym, a Morawiecki jako premier uruchomił szeroki program wspierania inwestycji lokalnych, bardzo dobrze oceniany przez samorządy średnich i małych ośrodków. Dzisiejsza władza, rząd Donalda Tuska, obcięła te środki, a to, co zostało, przesunęła do kilku największych metropolii, gdzie KO ma najwięcej wyborców. Dzisiaj tamte działania Morawieckiego procentują na korzyść jego nowego projektu.

Pytanie jednak, czy samorządowcy są wartością dodaną w konkurencji odmiennej niż samorząd, czyli wyborach parlamentarnych. Tylko jeden z prezydentów – Łukasz Nowak z Tarnobrzega – rządzi pierwszą kadencję. Pozostali za chwilę będą bezrobotnymi politykami. Nie wiadomo, czy sprawdzą się w roli kandydatów na posłów. Na dodatek samorządowcy są tymi, którzy prą do zniesienia ograniczenia liczby kadencji prezydentów miast, burmistrzów i wójtów. To był pomysł PiS, skądinąd nadal popierany przez większość społeczeństwa. Obecni politycy Rozwoju Plus głosowali za tym, ale słychać, że część z nich jest podatna na naciski ze strony samorządowców.

> Sondaże Rozwoju Plus są takie, że nie można ich nazwać przełomem. Wprawdzie nie spełniają się zapowiedzi przeciwników o totalnej klapie, ale olśniewającego sukcesu również nie ma

Warto również zauważyć, że wspomniani prezydenci zasiadają w Radzie Samorządu przy Prezydencie RP. To ważne, bo to jak gdyby zaświadczenie mające chronić przed oskarżeniami o przejście na drugą stronę i zdradę. Dobry kontakt z Karolem Nawrockim rzeczywiście uwiarygadnia w oczach szerokiego elektoratu prawicowego, a przy okazji może dawać nadzieje na dotarcie do młodszych wyborców, bo wśród nich prezydent jest najpopularniejszym politykiem. Czego nie da się powiedzieć ani o PiS, ani o Rozwoju Plus.

POLITYCZNY BYPASS?

Dotarcie do nowych wyborców było obietnicą wiązaną z utworzeniem Rozwoju Plus. Niektórzy obserwatorzy mieli nadzieje, że rozłam może stanowić – paradoksalnie – zysk dla całej prawicy. Na zasadzie powtórzenia tego, czym była Trzecia Droga w 2023 r., czyli politycznego bypassu, który przejmie głosy ludzi niezadowolonych z rządów Tuska, ale niegotowych, by zagłosować na PiS. Na taką możliwość wskazywał m.in. Bronisław Wildstein na łamach naszego tygodnika.

Na razie tego nie widać. Sondaże Rozwoju Plus są takie, że nie można ich nazwać przełomem. Wprawdzie nie spełniają się zapowiedzi przeciwników o totalnej klapie, ale olśniewającego sukcesu też nie ma. Notowania Rozwoju Plus to zazwyczaj 1 lub 2 pkt powyżej progu wyborczego, ale były też poniżej progu. Także PiS nie odbudowało poparcia po rozłamie, bo notowania tej partii oscylują wokół 20 proc. Częściej powyżej, ale zdarza się, że również poniżej. A to znaczy, że zwrot w prawo nie wywołał przepływu z Konfederacji lub ugrupowania Grzegorza Brauna.

Obie partie podzieliły się dotychczasowymi wyborcami Prawa i Sprawiedliwości. Widać, że Morawieckiego popierają ci, którzy głosowali na PiS. Można to również poznać po mediach społecznościowych. Ich najbardziej aktywni politycznie użytkownicy, wspierający teraz Rozwój Plus, niedawno agitowali za PiS. Również tu nie ma zatem przepływów z nowych kierunków.

Morawiecki i jego ludzie rzeczywiście są pracowici. Starają się mieć ciekawe pomysły. Niedawno Łukasz Schreiber – jedyny polityk, o którym Jarosław Kaczyński powiedział, iż żałuje jego odejścia – przedstawił listę inicjatyw ustawodawczych, którą nazwał ofensywą sejmową. Mamy tu projekt ustawy o lojalnym rozwoju, którego celem ma być rozpoczęcie inwestycji samorządowych zablokowanych przez rząd Tuska. Jest uchwała o powołaniu komisji śledczej ws. Zondacrypto. I dalej: projekt ustawy o e-dziennikach, tak aby były bezpłatne dla rodziców, projekt ustawy o tzw. wuzetkach, czyli warunkach zabudowy,

eprasa.pl bd0b11d332

zakładający ułatwienia dla osób budujących domy jednorodzinne, uchwała o poszerzeniu prezydium Sejmu o dwóch wicemarszałków, co można uznać za gest w stronę PiS.

To na pewno projekty ciekawe i wartościowe, ale znowu przez nikogo niezauważone. W tematach, które rezonują w debacie publicznej, Rozwój Plus posługuje się tym samym językiem co PiS. Mowa tu np. o szybujących cenach paliw, zamachu na Trybunał Konstytucyjny, bezkarności lekarza Kacprzyka czy szeroko pojętej tematyce bezpieczeństwa Polski (niezależnie od osobistych wycieczek między Michałem Dworczykiem a Mariuszem Błaszczakiem).

Eksperckość Mateusza Morawieckiego nie jest chyba postrzegana jako cecha przywódcza. Błyszczała na tle całego PiS, a bez tego ma mniejszą moc. To jednak moment, w którym widać, że również Prawo i Sprawiedliwość na tym traci. Prezentowane obecnie propozycje programowe PiS przechodzą bez większego echa. Czy tylko dlatego, że prestiż partii mocno ucierpiał na rozłamie? Opinia publiczna nie wsłuchuje się zatem w jej propozycje programowe, gdyż nie wierzy, że PiS wygra wybory i będzie mogło je zrealizować? A może również dlatego, że takie propozycje lepiej wybrzmiewały, gdyż obok siebie stali przywódca polityczny, czyli Jarosław Kaczyński, i najważniejszy ekspert – Mateusz Morawiecki? Executive i creative, używając korporacyjnego slangu.

Jednocześnie główni oponenci Morawieckiego, czyli tzw. maślarze i ziobryści, nie weszli w miejsce pozostawione przez harcerzy. Nawet najwierniejsi wyborcy PiS, również ci wściekli na Morawieckiego, nie patrzą na nich jak na środowisko rokujące nadzieje na przyszłość. Obie grupy są uważane raczej za partyjnych zagończyków, wręcz intrygantów, a nie ekspertów i liderów zmiany w polityce.

ROZTERKI ELEKTORATU

Prawicowy wyborca jest w rozterce. Wie, że trzeba się przeciwstawiać zamachom obecnej władzy, np. na Akademię Wymiaru Sprawiedliwości. Ale bez entuzjazmu spogląda na metody obrony stosowane przez posłów PiS. Przepychanki z policją wyglądają źle, a skoki przez płot posła Mateckiego – wręcz niesmacznie. Akcja Janusza Cieszyńskiego z Rozwoju Plus wyglądała bardziej elegancko. Przeprowadził kontrolę poselską, udowadniając kłamstwa ministra Żurka i wiceminister Ejchart. Ale co z tego? Zaszkodziło władzy tyle samo co skoki Mateckiego.

Możliwy jest ostry konflikt między starym PiS a Rozwojem Plus o stanowisko wicemarszałka. Będzie to celowo podsycane przez obecną władzę. Dużo zależy od mądrości kierownictw obu ugrupowań, zwłaszcza od tego, czy powstrzymają swoich zagończyków. Tych akurat bardziej widać w PiS. Ma to związek z tym, że pewna grupa posłów próbuje na tym budować osobiste kariery, co często nie jest zgodne z interesem całego ugrupowania (nie mówiąc już o całym nurcie prawicowym). To z ich strony padają oskarżenia o to, że grupa Morawieckiego przeszła na drugą stronę i wspiera rząd Tuska. Czy sprawiedliwe są zarzuty, że Rozwój Plus stał się kolejnym antypisem?

Na początku w mediach liberalnych – a zdaje się, że również w rządzie – pojawiła się jakaś nadzieja, że Rozwój Plus zacznie głosować inaczej niż prawica, np. w zakresie odrzucania wet prezydenckich. To jednak był szczyt naiwności. Można oczekiwać, że w jakichś technicznych kwestiach grupa Morawieckiego zagłosuje z rządem, inaczej niż PiS, natomiast byłoby szaleństwem, gdyby nowy klub poszedł na konfrontację z prezydentem. Po pierwsze, będzie to katastrofa wizerunkowa w oczach wyborców prawicowych, a po drugie, dlaczego wojować z Karolem Nawrockim, skoro ma on życzliwie neutralny stosunek do grupy Morawieckiego, a dodatkowo kilku jego ważnych urzędników wręcz z nią sympatyzuje?

Praktyka – a właściwie rutyna – jest taka, że Rozwój Plus głosuje i postępuje jak Prawo i Sprawiedliwość. Wspomniane wyżej działanie Cieszyńskiego musiało spodobać się wyborcom także „starego" PiS. Zresztą tępa reakcja ministra Żurka pokazuje, że politycy obu ugrupowań i tak jadą na jednym wózku. Żurek oskarżył posła Rozwoju Plus o wyniesienie z ministerstwa poufnych dokumentów, Cieszyński odpowiedział, że dostał kserokopie i jest gotów oddać pieniądze za ksero.

Wyborcy prawicy, których większość przecież została przy PiS (a tak w ogóle to w swej masie oczekują ponownego połączenia obu sił), dobrze odebrali również to, że Rozwój Plus poparł Michała Drewnickiego w wyborach prezydenckich w Krakowie. Wprawdzie nikt nie ma wielkiej wiary w to, że większość sejmowa zgodzi się na komisję śledczą ws. Zondacrypto, ale jest to lepszy pomysł niż zgłoszony przez PiS, aby powołać specjalne apolityczne ciało poza Sejmem. Wiadomo, że to jeszcze mniej możliwe, więc wyglądało na to, że partia Kaczyńskiego odpuszcza sobie ten temat. Morawiecki walczy zaś o komisję śledczą, rozwiązanie nieco bardziej realne, więc tu zapunktował chyba bardziej niż jego stara partia.

Były też nieprzemyślane działania Rozwoju Plus, np. zaproszenie na słynny letni piknik gen. Romualda Andrzejczaka, i to do głównego panelu dyskusyjnego. Wyborcy prawicy przypomnieli sobie wtedy, że generał jest nie tylko gwiazdą Kanału Zero, lecz przede wszystkim także osobą, która w demonstracyjny sposób złożyła dymisję tuż przed wyborami w 2023 r. A szkody zostały wyrządzone całemu rządowi, którego premierem wtedy był Morawiecki. Nowych wyborców obecność generała nie przyciągnęła, a starych rozdrażniła.

Ryzykowne było zachowanie w trakcie głosowania w sprawie obowiązku podporządkowania się orzeczeniom Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Rozwój Plus wstrzymał się od głosu. Jego przedstawiciele tłumaczyli się, że to sprawa techniczna. Są jednak eksperci, którzy twierdzą, że to kolejne ograniczenie naszej suwerenności na rzecz instytucji unijnych. Sprawa nie rozbudziła emocji po prawej stronie opinii publicznej, więc grupa Morawieckiego nie poniosła tu strat. Ale zysków też zabrakło, więc po co było takie potraktowanie tej sprawy?

Brakowi impetu nowej inicjatywy Morawieckiego towarzyszy impas w działaniach PiS. Jednocześnie widać, że również Konfederacja popadła w stagnację. Cała prawica jakby czekała, że jej sytuacja poprawi się sama z siebie. A jeszcze bardziej czeka, że wszystko za nią zrobi Superman z pałacu prezydenckiego. Cała ta postawa przypomina to, co w psychologii jest nazywane syndromem wyuczonej bezradności. Nie jest to cecha dobra w życiu, a tym bardziej w walce o powrót do władzy.

eprasa.pl bd0b11d332

Męczennik „uśmiechniętej Polski”



MARZENA NYKIEL

Ks. Michał Olszewski jest w psychicznej rozsypce. Siedmiomiesięczne piekło aresztowe, które zgotowała mu żądna politycznej zemsty ekipa Donalda Tuska, wpędziło go w stan zaszczucia i lęku. Cierpi na zespół stresu pourazowego, ale jest pozbawiony pomocy medycznej, ponieważ lekarze boją się represji. Centrum pomocy ofiarom przemocy, które budował ze środków Funduszu Sprawiedliwości, niszczeje, ministerstwo żąda zwrotu kilkudziesięciu milionów złotych, a WSA z naruszeniem prawa odrzuca skargę. Przemoc tej władzy nie ma końca!

Charyzmatyczny ewangelizator, ceniony rekolekcjonista, egzorcysta i kapłan, przez lata niosący pomoc pokrzywdzonym, sam stał się ofiarą przemocy aparatu państwa. Ks. Michał Olszewski SCJ doświadczył tak brutalnych działań represyjnych, że do dziś nie może odzyskać równowagi. Wycofał się z życia publicznego i przebywa w izolacji. – Nie wrócił do klasztoru i nie pełni publicznych funkcji kapłańskich – mówi nam jego obrońca, mec. Krzysztof Wąsowski. Ujawnia też kulisy wielopoziomowego uderzenia w Fundację Profeto. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie oddalił w całości skargę na decyzję ministra sprawiedliwości, który nie czekając na rozstrzygnięcia procesowe, nakazał zwrot ponad 66 mln zł dotacji. O szczegółach za chwilę.

SKAZANY NA IZOLACJĘ

Sytuacja ks. Michała jest dramatyczna. Mieszka z psem w jednopokojowej klitce, w której nie mieszczą się nawet podstawowe meble. W codziennym funkcjonowaniu pomaga mu aktywność sportowa – długodystansowe biegi, w których towarzyszy mu pies. Wewnętrznie nadal zmaga się z potężną traumą i poczuciem głębokiej niesprawiedliwości. – Udało im się go zniszczyć, rozwalić psychicznie – mówi mec. Wąsowski. Ks. Michał żyje w ciągłym lęku, że pod jego nieobecność ktoś wedrze się do mieszkania i coś podrzuci, dlatego stale je monitoruje. Z uwagą śledzi również bieżące wydarzenia, ale wciąż nie ma siły, by wyjść do ludzi.

Na izolację został skazany przez sąd. Nie może utrzymywać relacji ze swoimi przełożonymi, ponieważ sąd nałożył zakaz kontaktu ze świadkami. Z tego samego powodu został odcięty od najbliższej rodziny. – Nie kontaktuje się ze swoim przełożonym, bo obsesyjnie boi się, że jeśli złamie zakaz, to pójdzie siedzieć. Nie może też wrócić do domu rodzinnego, bo ma sądowy zakaz kontaktu z ojcem. Sędzia Koska-Janusz nie chce tego zakazu zdjąć – mówi mecenas. Wątpliwości wobec działań sędzi jest znacznie więcej. Nie powinna w ogóle prowadzić tej sprawy. Przed jej rozpoczęciem sama wniosła o wyłączenie ze względu na konflikt ze Zbigniewem Ziobrą, lecz jej wniosek został odrzucony. Biorąc pod uwagę późniejsze decyzje, trudno się spodziewać obiektywizmu. 20 stycznia 2026 r., w przeddzień rozprawy, do składu orzekającego wyznaczono „ręcznie” nowych ławników rezerwowych, którzy dostali dobę na zapoznanie się z ponad 300 tomami akt.



Fot. Anita Walczewska/East News

eprasa.pl bd0b11d332

MEDYCZNA ZMOWA STRACHU

Nie widać też realnego zainteresowania sądu ustaleniem faktycznego stanu zdrowia ks. Michała. Polityczno-medialna nagonka sprawiła, że został całkowicie pozbawiony opieki lekarskiej. Emerytowany psychiatra wojskowy, który początkowo z nim pracował, przestraszył się konsekwencji i przerwał współpracę, gdy poproszono go o wydanie zaświadczenia do sądu o stanie zdrowia. Trzy kolejne gabinety psychiatryczne odmówiły księdzu wykonania testów z obawy przed nalotami policji czy kontrolami.

– Wnioskowałem więc do sądu, żeby wskazał jakiegoś psychiatrę, który zbada, czy ks. Michał może uczestniczyć w rozprawach. Do dziś takiego wskazania nie otrzymaliśmy – przyznaje mec. Wąsowski. To tym bardziej zdumiewające, że po pierwszym przesłuchaniu zakonnika w części niejawnej, sąd, widząc stan, do jakiego został doprowadzony w toku śledztwa, zwolnił go z obecności na rozprawach jako jedynego z oskarżonych.

DRĘCZYCIEL Z PROKURATURY

Wcześniej duchowny złożył jednak oświadczenie, w którym ujawnił skalę prześladowań. Zwrócił uwagę na stronniczość, niechlujstwo prokuratury oraz szokujące akty psychicznego „znęcania się", jakich doznał od prokuratora Piotra Woźniaka. Wskazał, że zarzuty zmieniały się na różnych etapach postępowania: inne przedstawiono mu podczas zatrzymania, pod innymi przedłużano areszt, z innymi opuszczał zakład karny, a jeszcze inne sformułowano w samym akcie oskarżenia.

„Nie popełniłem żadnego z wymienionych przestępstw. […] Cierpię na zespół stresu pourazowego w wyniku zatrzymania i niehumanitarnego traktowania, co zostało stwierdzone przez Rzecznika Praw Obywatelskich. […] Od momentu opuszczenia zakładu karnego jestem nękany przez służby. Nękani są moi rodzice i współpracownicy. Moja mama została przeszukana przez ABW w podejrzeniu o pranie pieniędzy z powodu drobnych kwot, które wysyłała mi jako ofiarę na mszę świętą. […] Większość świadków, którzy byli moimi współpracownikami, przez cały 2025 r. byli regularnie nękani przez ABW przeszukaniami o 6.00 rano. Skończyło się to w jednym przypadku potężnym zawałem serca, problemami rodzinnymi i innymi. Kuriozum tego działania pokazuje fakt, że ABW o 6.00 rano przeszukiwało kobietę, która prowadziła korektę ortograficzną moich książek, czy też człowieka, który raz w życiu przechowywał mi opony zimowe" – wyliczał przed sądem.

Najgorsze skojarzenia budzi postawa prokuratora Woźniaka, który nękał księdza od pierwszych chwil: „Panie Olszewski, bardzo przepraszam za te niewygody w tej klatce, za tę niewygodną pryczę. Na pewno pan trafi po decyzji sądu do więzienia". Pilnował też, by również później ks. Michał czuł się dostatecznie podle: „Gdy w więzieniu przychodzili do mnie funkcjonariusze i mówili, że chcieliby mi ulżyć i przekazać listy od rodziny albo nową książkę, to stwierdzali, że nie mogą tego uczynić, bo są tu kamery, a prokurator zakazał".

SYMBOLICZNY POCZĄTEK PIEKŁA

Wszystko zaczęło się w Wielki Czwartek w 2024 r. Wygląda na to, że ten szczególny dla kapłanów dzień został wybrany z premedytacją. O tym, jak wyglądało piekło pierwszych 60 godzin od zatrzymania, dowiedzieliśmy się dopiero kilka miesięcy później. Groźby, szyderstwa, wystawianie na pośmiewisko, pozbawianie posiłków i wody, brak możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb fizjologicznych – tak państwowe służby traktowały księdza, który cieszył się dotąd powszechnym szacunkiem. „Konwój wjechał na sygnale na ORLEN […]. Mnie w kajdankach zaprowadzono do WC na stacji, a po opuszczeniu WC funkcjonariusze ABW zamawiali sobie hot dogi, a ja stałem skuty na środku sklepu. Ludzie robili mi oraz funkcjonariuszom w kominiarkach zdjęcia. Prosiłem też, by kupiono mi coś do jedzenia (było już po 12.00, ale dowiedziałem się, że oni »nie karmią«). Pierwszy posiłek zjadłem po 60 godzinach, gdy do sądu mecenas przyniósł mi paczkę od brata!" – relacjonował ks. Michał. Gdy poprosił o możliwość skorzystania z toalety, usłyszał: „lej do butelki". Cela pod specjalnym nadzorem, kajdanki przy każdym wyjściu, budzenie światłem co godzinę. Wszystko to wywołało potężny uraz, po którym wciąż nie może odzyskać równowagi.

Mec. Michał Skwarzyński złożył do sądu zażalenie na sposób zatrzymania i nieludzkie metody aresztowe. Choć sprawa wydaje się ewidentna, wszystko wyczyszczono. Nie ma nagrań, dowodów, jest butna bezkarność władzy. Zażalenie zostało oddalone przez sądy krajowe. Sprawa trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

ŁAWNICY Z ŁAPANKI

Główne postępowanie karne toczy się przed Sądem Okręgowym w Warszawie i dotyczy rzekomych nieprawidłowości w przyznaniu środków z Funduszu Sprawiedliwości na budowę ośrodka pomocy ofiarom przemocy Archipelag. Wśród oskarżonych znajdują się byłe urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości – Urszula Dubejko i Karolina Kucharska, które także zostały narażone na traumę aresztu wydobywczego. Dziś jest już jasne, że całą trójkę próbowano bezskutecznie złamać.

Mec. Skwarzyński zwraca uwagę, że „proces na podstawie fałszywych informacji przekazywanych mediom miał wykreować sytuację, że oto kapłan ukradł 66 mln zł". Tymczasem budynek stoi, budowa zatrzymała się na etapie prac wykończeniowych, a doniesienia o wizytach w resorcie sprawiedliwości przed przyznaniem grantu okazały się nieprawdziwe. Oskarżenia opierają się na zeznaniach Tomasza Mraza, byłego pracownika resortu, którego obrońcą jest Roman Giertych i który uzyskał status małego świadka koronnego. Każde kolejne przesłuchanie obnaża jednak fikcję jego zeznań. – W najdrobniejszych szczegółach mamy rozpracowane, gdzie kłamie – mówi mec. Skwarzyński.

Już na tym etapie postępowania widać, że zarzuty nie wytrzymują zderzenia z faktami. Wystarczy je ukontekstowić. Klinika Budzik została zbudowana w tym samym czasie co Archipelag, przyznano jej środki z Funduszu Sprawiedliwości na takich samych zasadach. Postawienie zarzutów jedynie Fundacji Profeto jest dowodem selektywności politycznej.

SZYKANY I POMÓWIENIA

Nagonce sądowej towarzyszy bezpardonowy atak ze strony szefa rządu. W kwietniu 2026 r. Donald Tusk zasugerował

eprasa.pl bd0b11d332

publicznie, że obrona ks. Olszewskiego jest opłacana z pieniędzy Zondacrypto. W odpowiedzi na kłamstwo mecenasi ujawnili źródła finansowania: udział mec. Wąsowskiego pokrywa Zgromadzenie Księży Sercanów, mec. Skwarzyński pracuje *pro bono*, a działania prof. Potulskiego opłacają świeccy przyjaciele kapłana. Prawnicy zapowiedzieli prywatny akt oskarżenia i pozew cywilny przeciwko premierowi o naruszenie dóbr osobistych. – Mamy nadzieję, że Tusk będzie miał tyle odwagi, by zrzec się immunitetu i stanąć przed sądem – mówi nam mec. Wąsowski.

MNOŻENIE DZIAŁAŃ

Wobec Profeto i ks. Olszewskiego jest prowadzonych równolegle kilka postępowań, choć wszystkie dotyczą tego samego przedmiotu. Mec. Wąsowski podkreśla, że organy państwowe traktują jedną sprawę jako cztery odrębne postępowania i żądają zwrotu tych samych kwot niezależnie od siebie, zamiast zawiesić kroki administracyjne do czasu rozstrzygnięcia głównej sprawy karnej. – To typowe nadużycie prawa przez organy administracji publicznej, którego celem jest zniszczenie Fundacji, a także wywołanie efektu mrożącego wobec innych konserwatywnych NGO – ocenia adwokat.

Tusk zapowiedział rozliczenie katolickich organizacji i już w kampanii kreował przekonanie, że współpraca między państwem a Kościołem jest działaniem kryminalnym. Plan „opiłowywania katolików" realizują więc poszczególne resorty. Minister kultury blokuje pieniądze na Muzeum „Pamięć i Tożsamość", a minister sprawiedliwości na Archipelag. Waldemar Żurek idzie jednak dalej, żądając od Profeto zwrotu całości wypłaconych środków. A przecież budynek już powstał i gdyby nie represje, mógłby dziś dawać schronienie potrzebującym.

SKANDAL W WSA

Pełnomocnik Fundacji zaskarżył tę decyzję, jednak to, co rozegrało się w Wojewódzkim Sądzie Administracyjnym w Warszawie, budzi grozę. 27 sierpnia br. WSA oddalił w całości skargę Fundacji na decyzję MS nakazującą zwrot ponad 66 mln zł dotacji. Tego samego dnia wiceminister Pałka poinformował, że „wraz z odsetkami należność przekracza już 76 mln zł", że „równolegle trwa egzekucja należności, a 19 sierpnia Urząd Skarbowy zajął udział Fundacji w nieruchomości".

Mec. Wąsowski uznaje tę sytuację za „ordynarną ustawkę". Doszło bowiem do sekwencji rażących naruszeń proceduralnych, uderzających w fundament rzetelnego procesu. Sprawę rozpatrywali sędziowie, którzy angażowali się w inicjatywy dotyczące „przywracania praworządności", wykonywania orzeczeń TSUE, likwidacji Izby Dyscyplinarnej SN oraz obrony sędziów krytykujących reformy wymiaru sprawiedliwości wprowadzone za rządów PiS. W składzie orzekającym zasiadali Jadwiga Smołucha i Paweł Groński – członek zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Sędziów Sądów Administracyjnych (OSSSA). Pełnomocnik Fundacji złożył wniosek o wyłączenie ich ze składu orzekającego.

Sąd zarządził przerwę „do odwołania", a sala rozpraw została zamknięta od środka. Nie określono, jak długo to potrwa, choć mec. Wąsowski informował, że trzy godziny później musi stawić się na innej rozprawie. I dokładnie tyle czasu przeznaczono na przerwę. W jej trakcie przeprowadzono posiedzenie niejawne trzyosobowego składu sądu, rozpoznającego wniosek o wyłączenie. Dopiero po czasie okazało się, że decyzję tę wydał skład, którego członkowie sami uczestniczyli w tych samych inicjatywach publicznych. O tym jednak obrona dowiedziała się dopiero z dostarczonych później dokumentów. Co więcej, posiedzenie wznowiono, gdy mec. Wąsowski wyszedł, więc odbywało się pod nieobecność pełnomocnika Fundacji, co stanowi drastyczne naruszenie prawa do obrony. Dodatkowo rozpoznanie sprawy i wydanie rozstrzygnięcia nastąpiło bez odczekania na prawomocne zakończenie wątku wyłączenia sędziów. Aż trudno uwierzyć, że WSA może dopuścić się aż takiej kumulacji bezprawia. Mec. Wąsowski złożył już skargę do NSA.

> Sytuacja ks. Michała jest dramatyczna. Mieszka z psem w jednopokojowej klitce. Nie może wrócić do domu rodzinnego, bo ma sądowy zakaz kontaktu z ojcem. – Udało im się go zniszczyć, rozwalić psychicznie – mówi mec. Wąsowski

GRA NA MARGINALIZACJĘ

Mamy do czynienia z wielopiętrową operacją. Władza, która wycisza jawne przestępstwa we własnych szeregach, zaciekle poluje na opozycję i środowiska konserwatywne. Jak każda dyktatura organizuje procesy pokazowe. Właśnie takim jest sprawa ks. Michała. Po niej będą następne. Wszystko po to, by wywołać efekt mrożący, zmarginalizować katolików, wycofać z przestrzeni duchownych, którzy chcą działać społecznie, budować coś dla dobra Polski. Nie trzeba dziś wielkiego wysiłku, by zniszczyć księdza. Wystarczy rzucić oskarżenie.

– Mamy sytuację, którą wytworzyły media poprzez szczucie na kapłanów, że duchowny, który znajdzie się w podobnej sytuacji, często nie może liczyć na obronę przełożonych. Oskarżeni księża albo są silni i dadzą sobie radę, albo kończy się tragedią. Znam przypadki księży, którzy zostali wydaleni przez biskupów ze stanu kapłańskiego, a po latach procesów okazywało się, że są niewinni i zostali kłamliwie oskarżeni. Księża są atakowani, a Kościół nie ma wypracowanych metod – zwraca uwagę ks. Jarosław Wąsowicz, kapelan prezydenta. Ten alarm powinien wybrzmieć szczególnie mocno. Im silniejszy atak, tym większa potrzeba właściwego reagowania. Czas, by Kościół zaktualizował postawę wobec oskarżeń i prowokacji. Bo przecież wycofanie się z czynienia dobra daje przestrzeń do zwycięstwa zła.

eprasa.pl bd0b11d332

Fałszywa obrona fałszywej ofiary



MACIEJ WALASZCZYK

Barbara Mróz-Gorgoń stała się pośmiewiskiem na własne życzenie. Gdy afera ledwo przyschła, postanowiono przedstawić ją jako ofiarę internetowego hejtu, a w roli oprawców obsadzić jej krytyków



Kariera Barbary Mróz-Gorgoń w roli pełnomocnika rządu ds. promocji marki Polska trwała 26 dni, po czym nastąpiła natychmiastowa dymisja i rezygnacja z udziału w prestiżowym dla obozu rządowego Campusie Polska Przyszłości. Kolejne osoby zdystansowały się od wcześniej znanego i ponoć cenionego fachowca od brandingu i strategii budowania marki. Specjalistka od wizerunku spowodowała wizerunkową katastrofę. Uniwersytet Ekonomiczny we Wrocławiu prowadzi postępowanie wyjaśniające, a choć dokładnie nie wiemy, kto utorował jej drogę do nominacji, wszystko wskazuje na to, że to Piotr Borys, dziś wiceminister sportu i turystyki, który zaprosił ją do międzyresortowego zespołu ds. promocji polskiej marki. Nie przypadkiem przecież pracowała przy projektach „Inteligentne miasto", realizowanych dla Kłodzka czy Nowej Rudy, i obsługiwała różne fuchy we Wrocławiu.

Nie wiemy, kto odpowiada za jej blamaż, ale wszyscy, którzy ją krytykowali, są obciążani za jej złe samopoczucie. W ostatnich dniach widzimy próbę przetrząsania sumienia opinii publicznej, kreowanej na sprawcę linczu na bezbronnej kobiecie, a osobom i mediom, które ujawniły sprawę, zarzuca się przekazywanie nierzetelnych informacji.

„Niedługo wyrzucą ją z Uniwersytetu Ekonomicznego, a ona jest w takim stanie, że nie ma siły ruszyć się z łóżka, żeby pójść na uczelnianą komisję bronić się przed zarzutami" – donosi „Gazeta Wyborcza". Jej dziennikarze mówią o „internetowym linczu", przekroczeniu granic krytyki. Dowiadujemy się, że kobieta odbiera „nienawistne maile" z żądaniem zwrotu zarobionych pieniędzy, a dane z raportu Instytutu Monitorowania Mediów, informujące, że w ciągu 11 dni pojawiło się już „89,6 tys. przekazów na temat Barbary Mróz-Gorgoń", mają wzbudzić w nas poczucie winy.

Fot. KPRM

eprasa.pl bd0b11d332

„Od 21 do 30 sierpnia »zasięg publikacji« w tej sprawie wyliczono na przeszło 178 milionów" – pisze gazeta. „Kara, jaka ją spotkała, jest tak ciężka, że trudna do uniesienia" – twierdziła „Kultura Liberalna". Każdy więc, kto zabierał głos w jej sprawie, okazuje się współwinny, choć pośmiewiskiem stała się na własne życzenie i własnym zachowaniem naraziła się na powszechną krytykę.

WINA ROZCIĄGNIĘTA NA WSZYSTKICH

Obrona przeradza się w wyrafinowaną manipulację. Pojęcie „hejtu" zostało rozciągnięte od tych, którzy życzyli jej śmierci – a dzieje się tak w każdej wywołującej poruszenie sprawie, na którą rzuca się internetowa tłuszcza – po jej demaskatorów i krytyków, słowem: wszystkich w wielkiej liczbie słusznie zniesmaczonych próbą wciskania pseudonaukowego bełkotu pod maską strategii budowania narodowej marki.

Pamiętajmy, że jeszcze niedawno autentycznie niewinną ofiarą politycznego linczu stała się kpt Anna Michalska, była już rzecznik prasowa Straży Granicznej. Polka w mundurze, która w znacznie poważniejszej sytuacji, bo kryzysu na granicy państwa i w randze jego autentycznego obrońcy, stawała wobec nienawistnych ataków, torujących w ten sposób drogę do władzy Donaldowi Tuskowi.

Tymczasem w obronie Barbary Mróz-Gorgoń stosuje się narzędzia manipulacji, mające nas rozczulić informacjami o jej kiepskim stanie psychicznym. Ale po prawdzie nie o nią i jej wizerunek tu chodzi, ale o to, że z jej przyczyny zrujnowany został i tak kiepski obraz premiera oraz rządu, kreowanego na zespół profesjonalistów.

W obronie Mróz-Gorgoń stosuje się narzędzia manipulacji, mające nas rozczulić informacjami o jej kiepskim stanie psychicznym. Ale po prawdzie nie o nią i jej wizerunek tu chodzi, ale o to, że z jej przyczyny zrujnowany został i tak kiepski obraz premiera

Obrońcy Mróz-Gorgoń zarzucają krytykom nieodróżnianie „Strategii" od „Raportu", badań od wniosków, jajka od kury. Wszystko zaczęło się od dokumentu „Polaków Portret Własny. Raport z badań DNA marki Polska", opublikowanego w listopadzie 2025 r. Jak się okazało, bezprawnie nosi on logo Ministerstwa Sportu i Turystyki i zawiera wnioski z badań focusowych przeprowadzonych na niewielkiej grupie respondentów przez wolontariuszy Fundacji Marka Polska. Gdy resort sportu zlecił Stowarzyszeniu Konferencje i Kongresy w Polsce zadanie pt. „Marka Polska – podstrategia turystyczna", zaangażował do tej pracy Barbarę Mróz-Gorgoń. Tak powstała „Strategia Marka Polska", której autorka wrzuciła do niej wyniki badań zawartych w raporcie. Stowarzyszenie otrzymało za to z ministerstwa niemal 180 tys. zł.

Już mętlik wywołany historią powstawania „Strategii" pokazuje brak profesjonalizmu. Ale nie tych, którzy wszystko ujawnili, lecz tych, którzy za nią odpowiadają. To nie był również hit sezonu ogórkowego czy rodzaj zastępczej „imby", mającej pobudzić znudzoną wakacjami publiczność. W polskiej polityce od lat nie ma okresów przestojów. Ta historia zaszokowała wszystkich, po obu stronach politycznego sporu.

Tym bardziej że jeszcze w lipcu Donald Tusk przedstawiał Barbarę Mróz-Gorgoń jako „najwybitniejszą w Polsce specjalistkę od kształtowania marki". Postanowiła zakosztować kariery politycznej, stanęła więc w świetle reflektorów i dlatego została zdemaskowana, z hukiem przebijając się w ciągu trzech wakacyjnych tygodni przez informacyjny zgiełk. Wywołała emocje, gdy pojawiły się pytania o wyniki jej pracy z użyciem sztucznej inteligencji, które okazały się intelektualnymi bublami, do tego kupowanymi przez rząd. A także wtedy, gdy z wielkim tupetem manifestowała swą groteskową, paranaukową nowomowę. Wielka w tym zasługa Sebastiana Meitza z Instytutu Sobieskiego, który zwrócił uwagę na dziwaczne sformułowania zawarte w raporcie. Bo również on jako przypadkowy demaskator jest dziś przedstawiany jako „związany z PiS" winowajca jej złego samopoczucia.

OBRONA PRZEZ ATAK, SPRAWCA JAKO OFIARA

Pamiętajmy, że już w momencie dymisji sama Barbara Mróz-Gorgoń sprytnie odwracała sprawę do góry nogami. Broniła się, atakując krytyków oskarżeniem o wywołanie „fali nienawiści" wobec niej. Dziś tę strategię przejęli jej medialni adwokaci.

Oczywiście groźby karalne są godne potępienia i mogą być ścigane przez prokuratora i policję. Rację ma jednak Wojciech Dąbrówka, rzecznik Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, mówiąc, że czym innym jest hejt, a czym innym krytyka, której ciężaru nie potrafiła udźwignąć. Trafił w sedno, podkreślając, że „pytania o jakość raportu, metodologię, źródła, wykorzystanie sztucznej inteligencji, publiczne pieniądze czy odpowiedzialność autorów nie są nagonką". To, co ją spotkało, wcale nie było falą „nadmiernie negatywnych emocji", bez szansy na rzetelne wyjaśnienie okoliczności sprawy, bo takie pojawiły się choćby w telewizyjnych wywiadach, których wszak ochoczo udzielała. Dziś ważniejsze jest pytanie o to, co spotkałoby studenta albo ucznia, gdyby oddał pracę zaliczeniową na poziomie tego liczącego 26 stron materiału pod nazwą „Polaków Portret Własny", którego była kierowniczką merytoryczną i główną autorką.

Plagą szkół i uczelni są plagiaty, wodolejstwo i zalew „silikonowych", często bezwartościowych treści generowanych przez maszynową inteligencję. To dlatego sprawa ta wzbu-

12/0926/F

eprasa.pl bd0b11d332

działa tak wielkie emocje, tym bardziej że każdy z nas wielokrotnie w życiu był oceniany, choćby w szkole czy zdając egzaminy. Ludzie związani z nauką też nie kryją skali patologii na uczelniach, przyznających wątpliwe tytuły naukowe i prowadzących wątpliwe badania.

W sieci zawrzało, bo jeszcze dzień przed dymisją Mróz-Grogoń twierdziła, że pod jej kierunkiem została przeprowadzona „praca badawcza", a do tego – jak zapewniała – „rzetelnie i merytorycznie, w oparciu o opisaną metodologię". Tymczasem odnaleziono w niej dziwne przypisy, wątpliwe informacje, tezy wzięte z sufitu i bełkotliwe zwroty, wyrażane nieczytelnym tekstem, jak gdyby wyplutym przez ChatGPT. Krytycy pisali, że przed publikacją dokumentu prawdopodobnie nikt go nie sprawdził.

A co, jeśli został on przeczytany przez Mróz-Gorgoń? Przecież wielokrotnie wypowiadając się na jego temat przed kamerami, mówiła językiem niemal żywcem z niego wyjętym, żonglując neologizmami czy dziwacznymi zbitkami z użyciem anglicyzmów w rodzaju „despite rzeczywistych osiągnięć".

Radosław Zenderowski, socjolog z UKSW ze sporym dorobkiem, bezceremonialnie oświadczył, że odebrał to wszystko jako „spektakularne obsranie jego tytułu naukowego". I zapowiedział, że jeśli pani Mróz- Gorgoń pozostanie z tytułem doktora habilitowanego, daje sobie 30 dni na zrzeczenie się profesury. Termin mija 22 września.

SZOK PO WYJŚCIU Z CIEPLARNI

Burza w sieci nie wzięła się znikąd, tak jak nie bez powodu Prokuratura Okręgowa w Warszawie wszczęła śledztwo w sprawie zamówienia na przygotowanie strategii. Nie przypadkiem Fundacja Marka Polska Think Tank wyciszyła swoją aktywność, w pierwszych chwilach ogłaszając nawet zakończenie działalności, a faktycznie odcinając się od raportu. Nie bez przyczyny prof. Czesław Zając, rektor Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu, przyznał, że sprawa odbiła się na wizerunku uczelni. Nie bez powodu pracuje tam komisja, która zajęła się weryfikacją pracy habilitacyjnej Mróz-Gorgoń, by sprawdzić, czy rzeczywiście doszło do złamania standardów rzetelności naukowej.

Barbara Mróz-Gorgoń wyszła z cieplarni i zderzyła się z rzeczywistością, ale i tak znajduje się w znakomitej sytuacji zawodowej. Formalnie wciąż jest zatrudniona, a do tego – jak słyszymy – udała się na urlop zdrowotny, dający jej prawo do pełnego wynagrodzenia.

„Można być krytycznym wobec czyjejś pracy, ale w pewnym momencie warto się zatrzymać" – napisała Dominika Wielowieyska. Przeciwnie, tę absurdalną nominację zatrzymała dopiero fala krytyki. Gdyby nie ona, Mróz-Gorgoń wciąż pełniłaby rządową funkcję, żyjąc – jak ujął to właśnie jeden z internautów – „w bańce pochlebstw". Gdyby nie krytyka, macierzysta uczelnia nie przyglądałaby się jej pracy naukowej.

REKLAMA



eprasa.pl bd0b11d332


Izabela Majewska

Gdy pewnego dnia ktoś będzie analizował patologię rządów koalicji 13 grudnia, niestety będzie musiał przypomnieć sobie o kilku osobach, o których można napisać, że padły ofiarą – i to dosłownie – zamordyzmu tego reżimu



Następna ofiara zamordyzmu Tuska



GORAN ANDRIJANIĆ

Mówimy o ludziach, których śmierć została, jeśli spowodowana niebezpośrednio, to na pewno przyspieszona przez sposób, w jaki traktował ich system polityczny stworzony przez Donalda Tuska.

Wśród nich na pewno znajdzie się Barbara Skrzypek, wieloletnia współpracownica prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego. Zmarła w marcu ub.r. w wieku 66 lat z powodu rozległego zawału serca, zaledwie trzy dni po przesłuchaniu w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie w sprawie tzw. dwóch wież – nieistniejącej afery, za pomocą której koalicja 13 grudnia próbuje „dopaść" Jarosława Kaczyńskiego. Przesłuchanie prowadziła prokurator Ewa Wrzosek, a według wszystkich relacji zrobiła to w sposób, który mógł mieć wpływ na pogorszenie się stanu zdrowia już i tak schorowanej kobiety, a ostatecznie jej śmierć.

Potem mamy śmierć Michała Sołdana, 25-letnego rolnika z Nakła nad Notecią. W marcu 2024 r., podczas wielkiego protestu rolników zorganizowanym przez NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych, doszło do konfliktu między demonstrantami i policją. A precyzyjniej – policja spacyfikowała demonstrację i zaatakowała rolników. Zatrzymany został m.in. pan Michał, mimo choroby (miał tętniaka). Nagranie tej brutalnej interwencji było szeroko komentowane w mediach społecznościowych. Kilka miesięcy po wyjściu z aresztu mężczyzna popełnił samobójstwo. Tomasz Obszański, przewodniczący związku, powiedział, że „Michał w areszcie przeżył gehennę" i „nie mógł sobie z tym poradzić".

ŚMIERĆ PANI IZABELI

A teraz kolejna tragedia. Izabela Majewska, 67-letnia emerytka z Torunia, skazana w styczniu br. za wpisy w mediach społecznościowych na temat Jerzego Owsiaka, głównego „dobroczyńcy" III RP, zmarła kilka dni temu w wyniku postępującej choroby. Pani Izabela została zatrzymana w lutym ub.r. po tym, jak w mediach społecznościowych pod jednym ze statusów szefa WOŚP napisała zdanie: „Giń człeku i to jak najszybciej, dość okradania".

Za te słowa, które z pewnością nie są szczególnie dobrym sposobem komunikacji, ale są czymś powszechnym w internecie, emerytka, walcząca z rakiem piersi i problemami z sercem, została potraktowana jak najgorszy przestępca. Po spektakularnym porannym nalocie policji na jej małe mieszkanie w Toruniu została zatrzymana i przesłuchana. Postawiono jej zarzuty m.in. groźby karalnej i publicznego nawoływania do popełnienia zbrodni.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl bd0b11d332

Prokurator Sylwia Czarnecka nałożyła na Majewską obowiązek stawiania się na komisariacie policji nawet trzy razy w tygodniu. Zakazała jej opuszczania kraju, a także zabroniła publicznego wypowiadania się o sprawie. Jakbyśmy mówili o przywódcy siatki handlarzy narkotyków, a nie o schorowanej emerytce, która napisała jakiś niefortunny komentarz w mediach społecznościowych. Prokurator Czarnecka zobowiązała Izabelę Majewską do wpłaty 300 zł poręczenia majątkowego i zakazała jej zbliżania się do Jerzego Owsiaka.

W styczniu br. Sąd Rejonowy w Toruniu nieprawomocnie uznał kobietę za winną. Skazał ją na sześć miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu na rok i zapłatę 1 tys. zł (kwota przekraczająca jej miesięczną emeryturę) zadośćuczynienia Owsiakowi oraz zakazał kontaktowania się z nim i zbliżania do niego przez trzy lata.

Pani Izabela i jej adwokat Magdalena Majkowska z Ordo Iuris zaskarżyły wyrok. Emerytka nie doczekała się rozpoznania apelacji. Zmarła po tym, jak – co wynika ze wszystkich zeznań jej bliskich – przeżyła cały proces przeciwko niej w ogromnym stresie, co oczywiście dodatkowo pogorszyło jej i tak już trudną sytuację zdrowotną.

OPRESYJNY SYSTEM

Wszystko w tej sprawie od samego początku do końca budzi wiele wątpliwości. W swojej analizie Patryk Słowik i Paweł Figurski, ówcześni dziennikarze portalu Wirtualna Polska, udowodnili, że sprawa pani Izabeli ma jedną główną cechę: zachowanie systemu prawnego było całkowicie niewspółmierne do czynu, który popełniła emerytka z Torunia.

Przede wszystkim nie jest do końca jasne, kto tak naprawdę wszczął całe postępowanie przeciwko Izabeli Majewskiej. Czy Jerzy Owsiak poinformował policję o wpisie w mediach społecznościowych, czy policja poinformowała go o tym, po czym pełnomocnik szefa WOŚP wszczął postępowanie. Z analiz dziennikarzy, którzy mieli wgląd w dokumentację całego postępowania, pewniejsza jest druga wersja, co stanowi precedens prawny.

Wątpliwości budzi również szybkość, z jaką przeprowadzono całą procedurę. Jak piszą dziennikarze, „od złożenia zawiadomienia i reakcji toruńskich policjantów oraz postawienia przez prokuraturę zarzutów" minęło kilkanaście godzin. Nie wspominając już o tym, że podczas pierwszej wizyty w małym mieszkaniu emerytki Majewskiej był obecny nikt inny jak pierwszy zastępca komendanta miejskiego policji w Toruniu w asyście naczelnika wydziału kryminalnego. Pani Izabeli nie było w mieszkaniu, więc policja wróciła następnego dnia.

– Pani Izabela, osoba starsza i schorowana, została zatrzymana przez policję o 6.25 rano, zanim przesłuchano samego pokrzywdzonego – mówi nam mec. Magdalena Majkowska, była adwokat Izabeli Majewskiej. – Zastosowano wobec niej środki rzadko spotykane w sprawach tej wagi: poręczenie majątkowe, zakaz opuszczania kraju, obowiązek stawiennictwa na komisariacie trzy razy w tygodniu i zakaz publicznego komentowania sprawy. Tymczasem Jerzy Owsiak i jego współpracownicy przesłuchiwani byli w drodze pomocy prawnej, zdalnie, bez konieczności stawiennictwa w Toruniu – wyjaśnia pani mecenas.

W całej sprawie jest jeszcze masa absurdalnych szczegółów, zarówno na etapie składania pozwu, jak i w samym procesie sądowym. Dr hab. Szymon Tarapata, karnista z Uniwersytetu Jagiellońskiego i adwokat, opisał procedury przeciwko pani Izabeli jako „odlot". „Prokuratura i policja popłynęli tu w niesłychany sposób" – komentował Tarapata w analizie WP.

Z tej perspektywy sprawa wydaje się całkiem jasna. Rząd Donalda Tuska wykorzystał w zasadzie nic nieznaczący komentarz emerytki w internecie, by wysłać sygnał o nietykalności pupilów premiera. A po wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku lat, stało się jasne, że właśnie Owsiak jest protegowanym struktur III RP. Człowiek, który niegdyś nieodwracalnie skompromitował szlachetną inicjatywę jednoczącą wszystkich Polaków, oddając ją na służbę jednej grupy politycznej i jej interesów. Człowiek, który wykorzystał pieniądze Polaków przeznaczone na poprawę służby zdrowia, aby sfinansować perfidną antypisowską kampanię polityczną, fałszywie przedstawianą jako humanitarną. Mowa oczywiście o plakatach, które pojawiły się na polskich ulicach w przededniu wyborów parlamentarnych w 2023 r., na których WOŚP głosił: „Polacy! Pokonajmy to zło", twierdząc, że chodzi o sepsę.

I na koniec – zrobił to człowiek, który przez lata przedstawiał się jako zwolennik miłości i tolerancji, a potem milcząco obserwował, jak w jego imieniu reżim Tuska znęca się nad starszą i schorowaną kobietą.

WALKA O DOBRE IMIĘ PO ŚMIERCI

– Tej sprawy nie sposób sprowadzać do rutynowego stosowania przez organy ścigania dostępnych im instrumentów procesowych. Dysproporcję sił było widać na każdym etapie postępowania – mówi mec. Magdalena Majkowska.

Mecenas wyjaśnia, jak cała sytuacja mocno odbiła się na zdrowiu Izabeli Majewskiej. – Towarzyszyłam jej na rozprawach. Postępowanie było dla niej źródłem stałego stresu i realnej obawy o utratę wolności. Widziałam, jak drżała przy ogłoszeniu wyroku i jak długo nie mogła dojść do siebie. W sądzie była wyraźnie przestraszona. Jerzy Owsiak, w przeciwieństwie do niej, wypowiadał się swobodnie, z charakterystyczną dla siebie butą i arogancją – opowiada adwokat z Ordo Iuris. I dodaje, że będzie domagać się uniewinnienia w ramach trwającego postępowania apelacyjnego. – Jako wyraz szacunku dla pamięci i walki pani Izabeli, którą do końca toczyła o swoje dobre imię – tłumaczy.

Jak podkreśla mec. Majkowska, ta sprawa dobitnie pokazuje, że w starciu z osobą publiczną, cieszącą się przychylnością władzy, zwykły obywatel nie może liczyć na równe traktowanie.

Tak w tym momencie jest, ale nie musi tak zostać. Państwo polskie nie musi być takie, jak teraz – okrutne wobec najsłabszych. Wystarczy zastąpić tych, którzy w aparacie państwowym widzą narzędzie do osiągania swoich celów, a przy okazji niszczą każdego, kto stanie im na drodze.

eprasa.pl bd0b11d332



Model, w którym oddajemy nasze życie korporacjom, a one czerpią z tego zyski, jest rozciągany na kolejne branże. Stajemy się „poddanymi chmurowymi", którzy generują bezpłatny kapitał dla platform cyfrowych, płacąc im równocześnie trybut za dostęp do towarów, usług, a nawet pracy

Uberyzacja nasza powszechna



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Wyobraźmy sobie przedstawiciela wielkomiejskiej klasy średniej, młodego – ok. trzydziestki. Specjalisty, dajmy na to, od grafiki komputerowej. Prowadzącego własną firmę na zasadach jednoosobowej działalności gospodarczej, pracującego zdalnie, najczęściej z domu. Takich ludzi jest w polskich metropoliach mnóstwo.

W rzeczywistości, do której zmierzają dziś liberalne społeczeństwa Zachodu, w tym polskie, ktoś taki jest ideałem pracownika. Samozatrudniony, a więc konkurencyjny i relatywnie tani, a przy tym elastyczny i pozbawiony zobowiązań. Nie ma nad sobą żadnego pracodawcy, lecz wyłącznie kontrahentów, od których przyjmuje zlecenia. Można powiedzieć – prawdziwie wolny człowiek, który sam sobie jest sterem, żeglarzem i okrętem.

To obrazek, który sprzedaje nam liberalna propaganda. W rzeczywistości bowiem taki „samotny żeglarz" jest niewolnikiem swoich bogatych klientów i hossy na rynku. Dopóki ma zlecenia i dobre kontakty, wszystko posuwa się w jego życiu do przodu, wystarczy jednak załamanie i w jednej chwili może stać się bankrutem pozbawionym przyszłości.

Ktoś powie, że to przesada, bo przecież, zarabiając lepsze pieniądze, każdy zdoła zgromadzić jakieś rezerwy i majątek, który pozwoli mu przeczekać chude lata. W tej chwili jeszcze tak jest, ale niepostrzeżenie wkraczamy w zupełnie nową rzeczywistość, w której żadnej amortyzacji nie będzie.

CYFROWI PODDANI

Na razie wciąż jesteśmy społeczeństwem właścicieli. Mamy na własność domy, mieszkania, kawałki ziemi, samochody, książki, przedmioty codziennego użytku. Ten majątek jest wypadkową możliwości finansowych

eprasa.pl bd0b11d332

każdego z nas i w razie pojawienia się trudności pozwala nam utrzymywać się na powierzchni. Gdy wiedzie się gorzej, możemy coś sprzedać i wypatrywać na horyzoncie pomyślniejszych wiatrów. W ten sposób własność – choćby drobna – daje nam poczucie wolności, bo drobne zawirowania w życiu nie odbierają swobody działania.

Na tę naszą własność – i zarazem na wolność – łapczywym wzrokiem spoglądają jednak inni. To wielki kapitał, międzynarodowe korporacje i pazerne fundusze inwestycyjne, które nieustannie wypatrują nowych możliwości zarobku. A ponieważ tych jest coraz mniej, bo rynek nasycił się wszelkimi dobrami, dążą do stopniowego wywłaszczenia pospólstwa i przetransferowania jego majątku do swoich kieszeni.

Najlepiej widać to na rynku usług cyfrowych. Rozejrzyjmy się i zastanówmy nad tym, czy naprawdę jesteśmy właścicielami wszystkiego, co zakupiliśmy. Czy np. aplikacje i programy komputerowe naprawdę są nasze? A może tylko tak się nam wydaje, bo przecież wykupiliśmy jedynie subskrypcję – ograniczony czasowo dostęp do różnych usług?

Wystarczy spóźnić się z opłatą i cała ta – rzekomo nasza – własność, gromadzona latami w cyfrowej chmurze, zniknie w mgnieniu oka. Chcesz dalej słuchać ulubionej muzyki? Szukasz dokumentu lub rodzinnego zdjęcia? Proszę bardzo, ale najpierw zapłać. Tak samo jest z programami komputerowymi, serwisami filmowymi i mnóstwem innych aplikacji, które mają nam jakoby ułatwić życie.

W tym nowym układzie nie jesteśmy już klasycznymi konsumentami dysponującymi rzeczą kupioną na własność. Staliśmy się „poddanymi chmurowymi", którzy swoim czasem, uwagą i interakcjami generują bezpłatny kapitał dla właścicieli infrastruktury, płacąc im równocześnie trybut za prawo do funkcjonowania w sieci.

Ten model, w którym sami oddajemy nasze życie korporacjom, a one czerpią z tego zyski, jest rozciągany na kolejne branże. Pojawiają się aplikacje sterujące naszą karierą zawodową, naszym rozkładem dnia, a nawet wyposażeniem zakupionego samochodu. Wszystko oczywiście za drobną opłatą.

FINANSOWY RESET

Wróćmy teraz na chwilę do naszego wielkomiejskiego hipstera, który przygotowuje projekt dla swojego kontrahenta. W tej nowej rzeczywistości korzysta on z aplikacji i programów, na które wykupił subskrypcję. Jest niezależnym, młodym profesjonalistą i nie ma rodziny. Zakupy robi zdalnie, przez aplikację. W podobny sposób zamawia obiad, który przywozi mu z pobliskiej restauracji egzotyczny kurier na skuterze.

Gdy skończy pracę, wsiądzie na wypożyczony rower lub hulajnogę i pojedzie do klienta. Jeżeli będzie mu się spieszyło, to zamówi taksówkę na aplikację lub – w ostateczności – wynajmie samochód. Potem wróci do domu, który też nie jest jego własnością. Wynajmowany przez niego apartament należy bowiem do wielkiego funduszu inwestycyjnego, tzw. REIT, który wykupił setki mieszkań pod wynajem.

Na razie wszystko idzie zgodnie z planem i nasz hipster cieszy się pełnią życia. Jest wolny od balastu własności i etatowej pracy, niczym się nie martwi i nic nie rozprasza jego uwagi. Płaci za swoją swobodę wielkim firmom, które zajmują się wszystkimi uciążliwymi ciężarami wiążącymi się z posiadaniem czegokolwiek – naprawami, konserwacjami, podatkami, urzędową makulaturą.

Gdy jednak nagle straci klientów i utraci płynność finansową, jego dotychczasowe życie przestanie istnieć. Nie ochroni go żadne prawo, bo przecież był samozatrudniony. Utraci dostęp do narzędzi pracy, do dotychczasowych wygód i usług, a na końcu zostanie wyrzucony na bruk. W jego interesie okaże się zatem trzymanie się klientów za wszelką cenę, nawet jeśli będzie to dla niego oznaczać niewolniczą harówkę za marne pieniądze.

Nic więc dziwnego, że wielkie korporacje – przy wtórującym im pisku liberalnej lewicy – dążą do liberalizacji rynku pracy i do powszechnego wywłaszczenia. Człowiek pozbawiony stałego zatrudnienia i własności staje się bowiem marionetką bez żadnych praw, w pełni zależną od swoich bogatych panów. Prowadzi to do wykształcenia się nowego, parafeudalnego ustroju społecznego, w którym większość jest całkowicie podporządkowana nielicznej, uprzywilejowanej klasie posiadającej. Tworzy się społeczeństwo bez żadnych praw, bez podmiotowości i – w efekcie – bez wolności.

Na prawicy zwykło się postrzegać to zagrożenie wyłącznie w kategoriach ideologicznych i kulturowych, ale to tylko jego jedno – choć bardzo ważne – oblicze. Trzeba zauważyć również drugie, związane z ekspansją wielkiego kapitału, który całkiem otwarcie dąży do finansowego resetu społeczeństwa.

To niebezpieczeństwo w oczywisty sposób uświadamia nam, że własność prywatna jest koniecznym warunkiem wolności. I choć konserwatywni liberałowie często się mylili, to akurat w tym przypadku trzeba przyznać im całkowitą rację.

POZORNA WŁASNOŚĆ

Współczesny kapitalizm dokonał przewartościowania klasycznego pojęcia własności prywatnej. Tradycyjna wymiana towarowa została przekształcona – jak zauważył amerykański ekonomista Jeremy Rifkin – w system dostępu do dóbr. W rezultacie dotychczasowy akt zakupu i przeniesienia własności zastąpiono niekończącą się pętlą zadłużenia i licencjonowania.

Paradoks tej sytuacji polega na tym, że wielkie prywatne firmy, w których interesie powinna leżeć nienaruszalność prawa własności, najbardziej temu prawu zagrażają. Nie oznacza to oczywiście zniesienia własności jako takiej, a jedynie jej przesunięcie do rąk korporacyjnych rentierów. W rezultacie nic tak naprawdę nie jest do końca nasze, bo nawet jeśli za to zapłaciliśmy, to bez dodatkowego haraczu nie możemy zakupionej rzeczy w pełni używać.

Przykłady takiej strategii można zauważyć chociażby na rynku motoryzacyjnym. Niemiecki koncern BMW rozważał niedawno wprowadzenie na rynku amerykańskim opłaty subskrypcyjnej w wysokości 18 dol. miesięcznie za aktywację zamontowanych w aucie mat podgrzewających fotele. Oznaczało to, że nabywca takiego auta musiał wielokrotnie płacić. Najpierw kupił

Fot. Shutterstock

eprasa.pl bd0b11d332

samochód wraz z wyposażeniem, ale potem miał jeszcze dopłacać, żeby zamówione wyposażenie w ogóle działało. Mercedes-Benz poszedł o krok dalej, oferując – za 60 dol. miesięcznie – funkcję acceleration increase w modelach elektrycznych. Dopiero po zapłaceniu tej kwoty zakupiony samochód mógł rozwinąć zadeklarowane osiągi. Podobną drogą poszła Tesla ze swoim acceleration boost za 2 tys. dol., a Volkswagen wdrożył mikropłatności za konie mechaniczne w elektrycznym ID.3 oraz za ogrzewanie foteli w nowym Passacie.

W innych branżach jest podobnie. Do legendy przeszły już atramentowe drukarki firmy Hewlett-Packard, których oprogramowanie po pewnym czasie blokuje działanie tańszych zamienników tuszów, faktycznie odbierając nabywcy kontrolę nad zakupioną drukarką. Z kolei w produkowanych przez koncern Sony konsolach PlayStation usuwano zakupione wcześniej materiały Discovery, a firma Ubisoft skasowała licencję na grę „The Crew".

Aby uniknąć takich nieprzyjemnych sytuacji, w Kalifornii uchwalono przepisy, które – podczas niektórych transakcji internetowych – zakazują słowa „kup", aby było jasne, że nie otrzymujemy prawa własności zamawianego produktu lub usługi, lecz jedynie dostęp do czasowego używania na warunkach ustalonych przez licencjodawcę.

SKOJARZENI ZE SOBĄ

Korporacje cyfrowe nie tylko zarabiają na dostępie do towarów i usług, lecz także ochoczo wkraczają na rynek pracy. Jak wiadomo, wielu pracodawców lubi oszczędzać na etatach. Niektórych naprawdę nie stać na ich utrzymywanie (choć wówczas pojawia się pytanie, czy w takim razie nie powinni zwinąć interesu), a inni tylko udają, bo chcą więcej zarobić. W sukurs idą im różne śmieciowe formy zatrudnienia oraz agencje pracy, które podnajmują pracowników różnym firmom.

Świat jednak ciągle pędzi naprzód i pojawiają się coraz to nowe formy pracy. Ostatnio popularna na świecie zrobiła się praca przez aplikację. Najsłynniejsze platformy to oczywiście amerykański Uber i estoński Bolt, które kojarzą ze sobą taksówkarza z klientem lub knajpę, dostawcę i odbiorcę. Zwrot „kojarzą ze sobą" jest tu kluczowy, bo nie chodzi o żadną regularną pracę, lecz właśnie o umówienie dwóch lub więcej osób, które dokonują między sobą transakcji.

Podobnie działają też aplikacje noclegowe lub turystyczne, kojarząc ze sobą właściciela mieszkania z najemcą lub linię lotniczą z podróżnym. Oczywiście wszystko za drobną opłatą za pośrednictwo.

> Usługi kurierskie prowadzą do zapaści handlu stacjonarnego, likwidując tym samym dziesiątki tysięcy miejsc pracy, które przejęli egzotyczni dostawcy na hałaśliwych skuterkach

Operatorzy takich platform, łącząc ze sobą miliony ludzi, zarabiają krocie, nie ponosząc przy tym żadnej odpowiedzialności ani nie świadcząc pracy. Zysk pochodzi z udostępniania innym narzędzia, jakim jest aplikacja. Przykładowo w ub.r. globalne przychody Ubera osiągnęły rekordową sumę 52 mld dol., a Bolta – 2,2 mld euro i ciągle rosną.

Firmy starają się też kreować nowe rynki, czego doskonałym przykładem jest m.in. Polska, gdzie jeszcze kilka lat temu nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, aby zamawiać jedzenie przez kuriera. Dziś to powszechne zjawisko, zwłaszcza w wielkich miastach, a pracę tę najczęściej wykonują ściągani do naszego kraju imigranci z egzotycznych krajów. Nagle okazali się niezbędni, choć wcześniej nikt ich nie potrzebował.

„Kojarzenie" za pomocą aplikacji stało się również powszechne w ramach wspomnianego już pośrednictwa pracy. Istnieją np. aplikacje do szukania pomocy domowej, a w Ameryce coraz większą popularność zdobywają platformy dla pielęgniarek.

W kraju, w którym praktycznie nie istnieje publiczna służba zdrowia, szpitale często rezygnują z zatrudniania pielęgniarek na stałe. Zamiast tego zgłaszają za pośrednictwem aplikacji czasowe zapotrzebowanie na określoną liczbę personelu. Zainteresowani wpisują swoje kandydatury do grafika, algorytm dokonuje zaś ostatecznego wyboru. Preferowane są osoby, które nie odwołały wcześniej żadnego dyżuru. W niektórych aplikacjach odbywa się jeszcze licytacja – wygrywa ten, kto jest gotów pracować za najniższą stawkę. Na koniec operator aplikacji pobiera opłatę za pośrednictwo.

COFANIE W ROZWOJU

Rozpowszechnienie tego rodzaju usług prowadzi do zaniku tradycyjnych form zatrudnienia oraz związanych z tym praw pracowniczych, takich jak płatne urlopy czy ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne. Napędzając zachłanność wielkiego kapitału, stajemy się nomadami na rynku pracy i stale cofamy się w rozwoju.

Warto również zauważyć, że niezliczone usługi kurierskie przyczyniają się do zapaści rodzimego handlu stacjonarnego, likwidując dziesiątki tysięcy miejsc pracy, które przejęli znacznie tańsi „samozatrudnieni" egzotyczni dostawcy na hałaśliwych skuterkach. Rzecz jasna powstała w ten sposób nadwyżka pieniędzy, która trafiała dotąd do właścicieli i pracowników sklepów, została przetransferowana do dużych firm kurierskich.

Kolonizacja kolejnych sektorów gospodarki przez wielkie korporacje cyfrowe staje się poważnym zagrożeniem dla państwa, które stopniowo traci zdolność narzucania własnych reguł. W konsekwencji bezbronne społeczeństwo zostaje oddane na pastwę bogatych rentierów. Jak widać, rozwój technologii może prowadzić do cywilizacyjnego i społecznego regresu.

eprasa.pl bd0b11d332



Breja globalna

Polska jest jedynym krajem świata, w którym na skalę państwa wprowadzono dietę planetarną, a eksperyment przeprowadza się na dzieciach

Fot. Shutterstock

eprasa.pl bd0b11d332



DARIUSZ MATUSZAK

Jeszcze kilka lat temu nikt o niej nie słyszał. Nie istniała nazwa ani nawet to pojęcie, które można było skryć pod różnymi mianami. Dziś wywołuje w Polsce wielkie dyskusje, oburzenie, protesty, a nawet torsje. To oczywiście dieta planetarna, najnowszy wytwór tych, którzy uważają, że powinni zarządzać całą ludzkością. To są ludzie gatunkowo lepsi – ci, którzy po wyjściu z jaskini zobaczyli świat idei i poznali, czym jest dobro oraz moralność.

U Platona, w jego klasycznym podziale władzy i struktury społeczeństwa, to kasta archontów – władców-filozofów. Ich główną cechą jest mądrość, a przymiotem ich duszy – rozumność. Oni wyznaczają, jak ma żyć klasa roboli, zwana przez Platona żywicielami, czyli wszyscy ci, którzy orzą, sieją, wytwarzają, budują, handlują – zapewniają materialne podstawy państwa. Tej hołoty pilnuje mężna i stanowcza kasta wojowników.

Według Platona główną cechą tego roboczego plebsu jest pożądliwość – chce gromadzić, bogacić się, jeździć, żreć, rozmnażać się. Zadaniem mędrców archontów jest kontrolowanie tych pożądań, utrzymywanie równowagi. Jak hołota ma za dużo, to się leni, wpada w gnuśność. Jak za mało, to się buntuje.

JAK ZDROWO, TO BEZ CIEBIE, KROWO

I tu mamy rozjazd pomiędzy teoriami dotyczącymi funkcji diety planetarnej i platońską wizją idealnego państwa, czyli tyranią. Jedna z teorii (oczywiście spiskowa) mówi, że owa dieta powstała właśnie po to, by utrzymać hołotę w stanie osłabienia, a chroniczny niedobór – np. witaminy B_{12}, żelaza, wapnia – dawał jeszcze większe możliwości zarobku przez właścicieli świata i kontroli przez jego władców.

To oczywiście żart, sprowadziłem wszystko do absurdu, bo nijak nie podejrzewam, że kiedy w 2013 r. norweska doktor Gunhild Stordalen i szwedzki naukowiec Johan Rockström, zajmujący się tzw. zrównoważonym rozwojem, zostali jasno oświeceni przez Platona, gdy zakładali stowarzyszenie EAT i zaczynali myśleć, co dać ludzkości do jedzenia na śniadanie, obiad i kolację. W 2019 r. dołączyły do nich kolejne osoby, medyczne pismo oddało im łamy i tako oto powstała Komisja EAT-Lancet. Prawda, że „komisja" brzmi poważnie, jakby ktoś nadał tworowi przymioty władztwa, obiektywizmu i zbiorowej mądrości?

Siedem lat temu komisarze EAT przedstawili raport dotyczący tego, jak należy wyżywić ludzkość. Wtedy ukuto również pojęcie diety planetarnej, bo jednym z jej celów jest sprawienie, by rozwój był zrównoważony i byśmy nie poumierali w męczarniach globalnego ocieplenia wywołanego m.in. przez krowi metan spod ogona.

Zasadniczą ideą owej globalnej diety jest mniej więcej to, by wszyscy jedli zdrowo, czyli to samo, oraz by to jedzenie, uprawy i zbiory pomogły ratować planetę. Komisarze są przekonani, że wiedzą, co dać do jedzenia 10 mld ludzi na Ziemi, bo tyle ma nas być w 2050 r. Kim są ci geniusze, ci wszechwiedzący mędrcy?

Pani Shakuntala Haraksingh Thilsted badała skład odżywczy pewnego gatunku małych ryb w Kambodży i pracowała w ministerstwie rolnictwa Tobago. Ogólnie dużo jeździ po świecie w ramach akcji ONZ, ale udało jej się zrobić doktorat z fizjologii żywienia na Duńskim Królewskim Uniwersytecie Weterynaryjnym i Rolniczym. Wspomniany przez nas wcześniej Rockström jest dyrektorem Poczdamskiego Instytutu Badań nad Wpływem Klimatu i też zajmuje się zrównoważonym rozwojem. Jemimah Njuki to szefowa sekcji ds. wzmocnienia pozycji ekonomicznej kobiet w UN Women. Jak podaje, jest liderką w dziedzinie równości płci i wzmocnienia pozycji kobiet, bo kierowała pracami na rzecz równości płci w Międzynarodowym Centrum Badań nad Rozwojem (IDRC), w tym projektowaniem programu Wzrost i Możliwości Ekonomiczne dla Kobiet. Dr Line Gordon jest dyrektorką Centrum Odporności w Sztokholmie i na całym świecie, od Afryki po Oceanię, prowadzi badania dotyczące systemów wodnych. Christina Hicks to socjolog zajmujący się środowiskiem, relacjami jednostek i społeczeństw z naturą, profesor ekologii politycznej Uniwersytetu Lancaster. Claire Kremen jest ekologiem, biologiem i zoologiem na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej, założycielem Centrum Zróżnicowanych Systemów Rolniczych i Instytutu Żywności w Berkeley. Ermias Kebreab jest przewodniczącym Technicznej Grupy Roboczej Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Dodatków Paszowych (FAO), członkiem komitetu Panelu ds. Antropogenicznych Emisji Metanu w Stanach Zjednoczonych Narodowej Akademii Nauk (NAS), a także członkiem Komitetu ds. Zapotrzebowania na Składniki Odżywcze Bydła Mlecznego (NAS).

Po co w ogóle podajemy te szczegóły? Otóż na 24 osoby z tej komisji ledwie 5–6 zajmowało się w teorii żywieniem, i to nie ludzi, ale populacji. Za to są tu działacze od klimatu, gender, od walki z tytoniem – cała ta pasożytnicza kasta zaludniająca za nasze pieniądze organizacje, o których istnieniu nie mamy nawet pojęcia. M.in. Globalny Sojusz na Rzecz Lepszego Odżywiania (GAIN), Komisję Ekonomiczną ds. Systemów Żywnościowych (FSEC), Międzynarodowy Instytut Badań nad Polityką Żywnościową (IFPRI), ruch Scaling Up Nutrition (SUN), Stały Komitet ONZ ds. Żywienia (UNSCN), USAID, Bank Światowy, Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Organizacji, których zaliczyli, jest kilka razy więcej. Oni nie zajmują się ludźmi, tylko zasobami ludzkimi, hodowlą populacji.

To specjalna, nowa kasta ludzi, tych wszystkich działaczy od tego i owego, którzy za nasze pieniądze – składki do organizacji międzynarodowych, za środki dla lobbystów – organizują niekończące się projekty, konferencje, sympozja na Madagaskarze, w RPA, Tanzanii Kambodży, Tahiti, Dubaju – gdzie chcecie. Byli wszędzie, tylko nie w Łęcznej, gdzie dzieci miały wymiotować od tej ich diety planetarnej. ONZ, WHO stoją na skraju bankructwa, ale istnieją przecież fundacje właścicieli świata. Prace nad kolejnymi wersjami jadłospisu dla hodowanej ludzkości są finansowane m.in. przez fundację IKEA, Rockefellerów, Gatesa czy Novo Nordisk. Do tej ostatniej należy duńska firma farmaceutyczna, produkująca najbardziej znane na świecie specyfiki na odchudzanie – Ozempic i Wegovy.

eprasa.pl bd0b11d332



CHORA NADGORLIWOŚĆ

Nie trzeba znać się na żywności, zdrowiu, gotowaniu czy uprawach, by wiedzieć, że pomysł diety globalnej, dla całej ludzkości, jest ze swej natury dystopijny. Jest produktem ludzi z zaburzeniami, socjopatów. Kim trzeba być, by pomyśleć o sobie, że jest się w stanie wymyślić, co powinni jeść mieszkańcy Polski, Islandii, Boliwii, Zambii, Dżibuti czy Wysp Fidżi? Jedno, to pomyśleć, a drugie – wdrożyć. Kim trzeba być, by we własnym kraju przeprowadzić eksperyment żywieniowy na dzieciach? Trzeba być Nowacką, Lubnauer i Spurek. Tak, jedynym krajem na świecie, w którym na skalę państwa wprowadzono dietę globalistyczną, jest Polska.

Nie chodzi tu o żadne dzieci. Chodzi o chorą nadgorliwość w kopiowaniu każdej lewicowej, zachodniej tandety. Chodzi o chore poczucie władztwa, o te występy w telewizji i opowiadanie tonem zgorzkniałej ciotki, że warzywa nikomu nie szkodzą, że prawica ma problem z jabłkiem i pomidorami.

Najzabawniejsze i paradoksalne jest to, że w oficjalnych dokumentach Ministerstwa Zdrowia nie pojawia się nawet pojęcie diety planetarnej. To sama szefowa resortu edukacji Barbara Nowacka wywołała ten termin, bo najwyraźniej chciała się pochwalić tym, jaka to ona jest chyża w postępie. Zawsze w awangardzie najgłupszych, niesprawdzonych rzeczy.

IDEA PLANETARNOŚCI ZAPRZECZA LOKALNOŚCI

Podobnych eksperymentów żywieniowych próbowano w niektórych miastach należących do tej szczególnej organizacji – C40, do której Warszawę zapisał Rafał Trzaskowski i na której konferencje latał m.in. do Buenos Aires i Rio de Janeiro.

Idea ta sama, co u Platona: kasta roboli jest zbyt pożądliwa, trzeba więc ograniczać jej konsumpcję, spożywanie mięsa, poruszanie się autem po miastach, posiadanie samochodu na własność, podróżowanie samolotem i inne. To cele klimatyczne, przedstawione przez stowarzyszenia burmistrzów C40 Cities. Do organizacji należy ponad 900 miast, ale tylko 16 podpisało deklarację C40 Good Food Cities Accelerator (Inicjatywa Miast C40 na Rzecz Dobrej Żywności) i ledwie 11 wprowadziło elementy diety planetarnej. Są również takie jak Lyon, w których po ogromnych protestach zrezygnowano z programu.

Sami komisarze EAT od żarcia dla ludzkości dopiero w 2025 r. wpadli na to, że paszę może by trzeba nieco zróżnicować i co innego podawać na talerzu we Włoszech, a co innego w Danii. Minister Nowacka nakłamała, gdy mówiła, że dieta planetarna przewiduje głównie spożywanie produktów lokalnych. Nie wiem, gdzie ta kobieta widziała w Polsce pola ryżowe czy wielkie połacie ciecierzycy. Sama idea planetarności zaprzecza lokalności. Przecież wszystkim na świecie chcesz dać do żarcia właściwe to samo. To były zarzuty, które pojawiły się w bardzo wielu krajach. Państwa Sahelu nie zorganizują sobie tego samego co Tajlandia. Badania wskazują, że dieta byłaby zbyt droga dla 1,5–1,6 mld ludzi, zwłaszcza w Afryce Subsaharyjskiej i Azji Południowej. W niektórych krajach kosztowałaby wyraźnie więcej niż obecne diety ubogich gospodarstw domowych. Ograniczenie hodowli zwierząt (szczególnie przeżuwaczy) mogłoby poważnie uderzyć w rolników, zwłaszcza w krajach, gdzie jest ona kluczowa dla dochodów, bezpieczeństwa żywnościowego i wykorzystania pastwisk, które nie nadają się pod uprawy.

> Nie trzeba znać się na żywności, zdrowiu, gotowaniu czy uprawach, by wiedzieć, że pomysł diety globalnej, dla całej ludzkości, jest ze swej natury dystopijny. Jest produktem ludzi z zaburzeniami, socjopatów

Nie wiemy, czy to, co kazały zapodać dzieciom do jedzenia Nowacka i minister zdrowia, to efekt wytworów sztucznego inteligenta AI, jak w przypadku pomysłów pani Mróz-Gorgoń. Wiadomo, że ową globalistyczną dietę przygotowano z użyciem systemów komputerowych i modelowania matematycznego. Jak to wyglądało w praktyce? Zgromadzono dane o żywieniu, zdrowiu, emisjach gazów cieplarnianych, ziemi, wodzie i bioróżnorodności z całego świata. Wymieszano to wszystko jak w wielkich garach, w których przygotowano dzieciom breję z ciecierzycy, by za pomocą modeli optymalizacyjnych i symulacji komputerowych w teorii znaleźć skład diety, który przyniesie korzyści zdrowotne i zadba o to, by Trzaskowskiemu planeta się nie spaliła.

Modele nie przewidziały jednak ani wyglądu, ani smaku, ani tego, czy dziewięcioletnie dzieciaki dobrze trawią strączki i jak przygotować to wszystko w wielkich garach dla 500 uczniów. Polskie media opisały już protesty rodziców, wielkie marnotrawstwo, masowe wywalanie brei do kubłów i zbiorowe wypisywanie dzieci z obiadów, więc się tym nie zajmujemy.

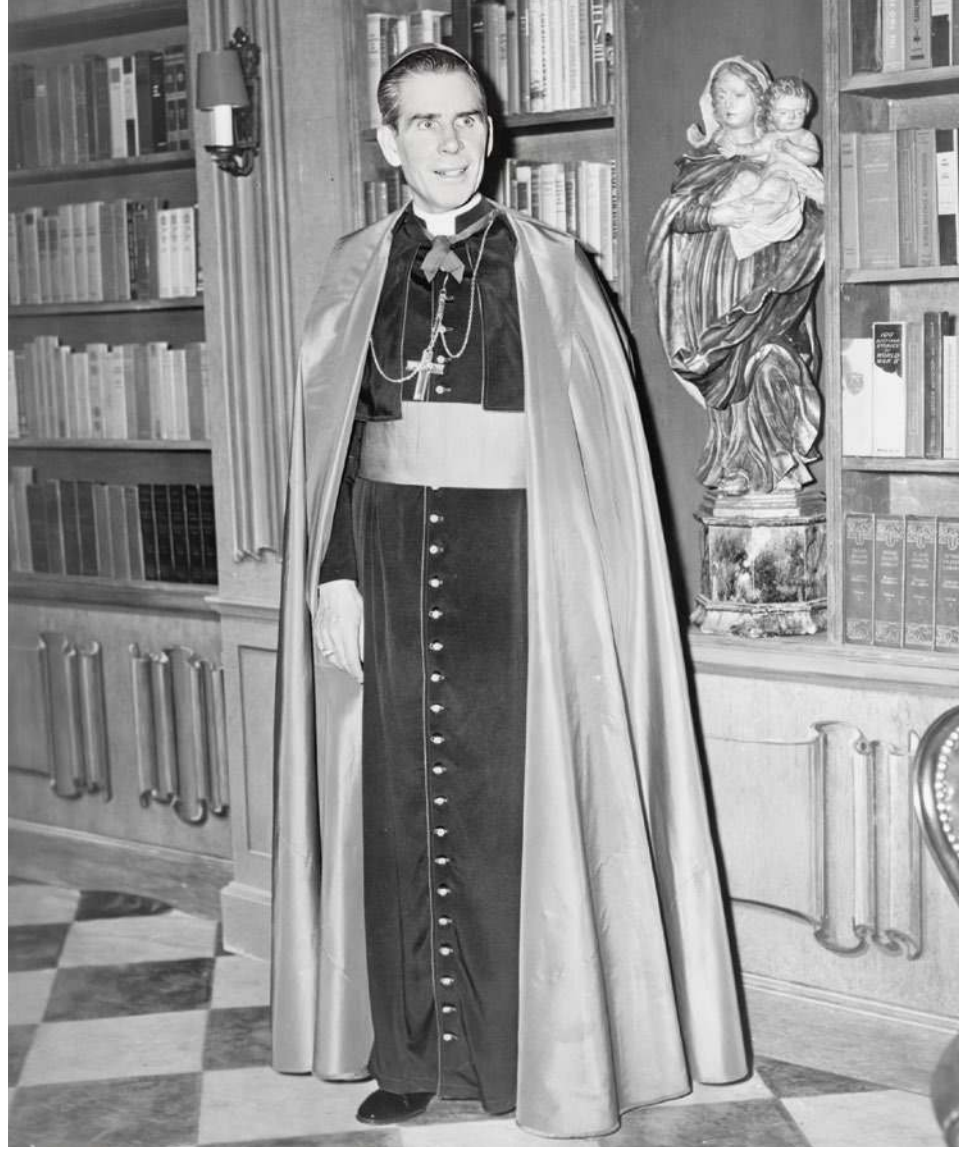
Bardziej interesuje nas to, jakie procesy zachodzą w państwie, że oto jakieś panie mogą sobie urządzać takie eksperymenty. Że razem z grochową breją wywalona jest tradycja, kultura kulinarna kraju, obyczaje, liczące nieraz setki lat przepisy, radość ze wspólnego posiłku, zadowolenie po nim. Jak to jest, że dziecko można zmienić w hodowany organizm, któremu trzeba dostarczyć tylko tyle i tyle kalorii, białka, węglowodanów, błonnika i innych.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl bd0b11d332



GRZEGORZ GÓRNY



Pionier nowej ewangelizacji

24 września w USA odbędzie się beatyfikacja Fultona Sheena. Kim był najbardziej rozpoznawalny duchowny katolicki XX-wiecznej Ameryki?

Peoria to ponad 100-tysięczne miasto w stanie Illinois, leżące ok. 250 km na południowy zachód od Chicago. Nie wyróżnia się niczym szczególnym, dlatego nie przyciąga turystów. W USA upowszechnił się nawet zwrot „will it play in Peoria?", co oznacza: „Czy spodoba się to przeciętnym Amerykanom?". Miasto było bowiem traktowane jako swego rodzaju modelowa, reprezentatywna dla środkowej Ameryki miejscowość. Siedem lat temu pojawił się jednak powód, dla którego przybywa do niej coraz więcej gości. To również przyczyna, dla której również ja pojawiłem się w Peorii.

SPÓR O CIAŁO ZMARŁEGO

W czerwcu 2019 r. do tamtejszej katedry Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny zostało sprowadzone ciało bp. Fultona Sheena. Stojąc przed grobowcem najsłynniejszego kaznodziei katolickiego w XX-wiecznej Ameryce, przypomniałem sobie trwający trzy lata konflikt o jego doczesne szczątki. To był jeden z najbardziej niezwykłych sporów sądowych w historii USA.

Kilka dni przed swą śmiercią w grudniu 1979 r. Sheen sporządził testament, w którym polecił, by pochowano go na cmentarzu w nowojorskim Queens. Zamiast tego wybrano bardziej honorowe miejsce – kryptę w katedrze św. Patryka w Nowym Jorku, na co rodzina zmarłego wyraziła zgodę. Ponieważ odszedł on z tego świata w opinii świętości, wielu katolików spodziewało się rychłego wyniesienia go na ołtarze. Najbardziej odpowiednim miejscem do rozpoczęcia procesu beatyfikacyjnego wydawał się Nowy Jork, gdzie Sheen przez 15 lat był biskupem pomocniczym. Tamtejszy ordynariusz, kard. Edward Egan, oświadczył jednak, że nie ma takich planów.

W tej sytuacji w 2002 r. do akcji wkroczyła kuria diecezjalna w Peorii, a konkretnie bp Daniel Jenky, który postanowił wszcząć proces beatyfikacyjny Sheena. W świetle biografii było to logiczne – w tym mieście się wychował, tam przyjął Pierwszą Komunię, tam został wyświęcony na księdza i rozpoczął posługę duszpasterską. W 2014 r. diecezja Peoria poprosiła o przeniesienie zwłok dostojnika do miejscowej katedry. Archidiecezja nowojorska jednak odmówiła, powołując się na ostatnią wolę zmarłego. Równocześnie zdanie zmieniła rodzina Sheena, uznając, że Peoria będzie bardziej odpowiednim miejscem kultu ich krewnego.

Fot. hdl.loc.gov

eprasa.pl bd0b11d332

Po odmowie z Nowego Jorku bp Jenky zawiesił jednak proces beatyfikacyjny. W tej sytuacji w 2016 r. Joan Sheen Cunningham, siostrzenica zmarłego, pozwała katedrę św. Patryka, domagając się sądowego zezwolenia na ekshumację wuja. Proces trwał trzy lata. W jego trakcie sędziowie postawili przed sobą trudne zadanie przeniknięcia do świadomości nieżyjącego hierarchy. W końcu zapadł wyrok. Sąd przyznał, że co prawda biskup chciał zostać pochowany w Nowym Jorku, ale gdyby wiedział, że rozpocznie się jego proces beatyfikacyjny, to z pewnością wyraziłby życzenie pochówku w Peorii. W ten sposób ciało dostojnika trafiło do rodzinnego miasta. Dziś przed jego grobowcem modlą się pielgrzymi, którzy przybywają tam z różnych stron USA.

WSTRZYMANA BEATYFIKACJA

Nieopodal katedry w Peorii znajdują się budynki kurii diecezjalnej, a w nich kameralne muzeum Fultona Sheena. Siostra zakonna, która jest tam przewodniczką, okazuje się Słowaczką. Opowiada, że spór o ciało biskupa nie zakończył bynajmniej jego pośmiertnych perypetii. W 2019 r. proces beatyfikacyjny został praktycznie zakończony. Ogłoszono, że wyniesienie na ołtarze nastąpi 21 grudnia, a jednak 19 dni przed planowaną uroczystością niespodziewanie papież Franciszek na czas nieokreślony wstrzymał beatyfikację.

W mediach pojawiły się różne spekulacje na temat przyczyn tej decyzji. Okazało się, że inicjatywa wyszła od kilku biskupów amerykańskich, a zwłaszcza od Salvatore Matano. Stał on na czele diecezji Rochester, której ordynariuszem w latach 1966–1969 był Fulton Sheen. W 2019 r. rozpatrywano tam pozwy o wykorzystywanie seksualne przez miejscowych księży. W związku z tym obawiano się zarzutów, iż nieżyjący hierarcha tuszował przypadki molestowania. Ostatecznie udowodniono jednak, że nie ma nawet cienia podejrzeń wobec niego. Leon XIV wydał więc zgodę na beatyfikację Sheena, która odbędzie się 24 września w Saint Louis.

Kim był duchowny, którego proces napotkał na tak nieoczekiwane trudności? Pewne wyobrażenie o jego znaczeniu dają pamiątki zgromadzone w poświęconym mu muzeum. Są tam mikrofony i kamery z pionierskiego okresu radia i telewizji, pokaźny zbiór książek jego autorstwa, zdjęcia z licznych podróży po świecie czy okładka tygodnika „Time" z 1952 r. z podobizną Fultona Sheena na całą stronę.

GWIAZDA KULTURY MASOWEJ

Urodził się w 1895 r. w miasteczku El Paso w stanie Illinois. Jeszcze w szkole dał się poznać jako wybitny mówca, wygrywając wiele konkursów oratorskich. W 1917 r. wstąpił do seminarium, a dwa lata później przyjął święcenia kapłańskie. Studiował m.in. na uniwersytetach w Louvain w Belgii oraz Angelicum w Rzymie. Przez rok pracował jako wykładowca w Anglii, gdzie nawiązał bliskie stosunki z G.K. Chestertonem. Był przenikliwym myślicielem, subtelnym filozofem, finezyjnym teologiem, błyskotliwym biblistą, gorliwym duszpasterzem i charyzmatycznym kaznodzieją. Miał niezwykły dar mówienia o skomplikowanych sprawach w prosty i komunikatywny sposób. Podczas jego wykładów aule uczelni pękały w szwach. Był prawdziwym tytanem pracy – wydał 73 książki, w tym traktaty teologiczne, eseje filozoficzne, dzieła egzegetyczne, zbiory felietonów, przewodniki duchowe czy poradniki życiowe. Jego publikacje nie tylko stawały się bestsellerami, lecz także zachowały aktualność po latach i do dziś są wznawiane w wielu krajach.

Dzięki spotkaniom z Sheenem na katolicyzm nawróciło się wiele wpływowych osób w USA, m.in. producent samochodowy Henry Ford II, pisarz Heywood Broun czy działacze komunistyczni Louis Budenz i Bella Dodd. Największą sławę przyniosła mu jednak ewangelizacja za pomocą mediów elektronicznych. W latach 1930–1950 Sheen prowadził na antenie radia NBC stałą audycję „The Catholic Hour", której regularnie słuchało ok. 4 mln ludzi. Co tydzień rozgłośnia otrzymywała od 3 do 6 tys. adresowanych do niego listów.

Audytorium kapłana powiększyło się, gdy w 1951 r. zaczął prowadzić stały program „Life is Worth Living" – najpierw na antenie stacji DuMont, a później ABC. W 1952 r. zdobył nagrodę Emmy jako największa osobowość telewizyjna w USA. Gromadził przed ekranami 30 mln widzów – więcej niż Frank Sinatra. Był pionierem tego typu ewangelizacji w skali światowej, dopiero później jego śladami podążyli popularni telekaznodzieje protestanccy w stylu pastorów Billy'ego Grahama czy Pata Robertsona.

KONFLIKT Z KARDYNAŁEM

Gdy był u szczytu sławy, nagle jego kariera medialna załamała się. W 1957 r. niespodziewanie zniknął z ekranu. Powodem okazał się spór z jego przełożonym, kard. Francisem Spellmanem z Nowego Jorku, którego był wówczas biskupem pomocniczym. W tamtym czasie archidiecezja otrzymała od rządu USA darowiznę na zakup mleka w proszku o wartości milionów dolarów. Akcję rozdawania produktu ubogim nadzorował właśnie Sheen. Spellman zażądał od niego pieniędzy za mleko, jednak spotkał się z odmową. Telewizyjny kaznodzieja był wtedy szefem amerykańskiego oddziału Papieskiego Dzieła Krzewienia Wiary, finansującego działalność misji katolickich. Spellman domagał się wydania mu środków z tego funduszu, lecz jego podwładny znów odmówił.

Kardynał odwołał się więc do Piusa XII. Był dobrym przyjacielem papieża, więc spodziewał się rozstrzygnięcia na swoją korzyść. Doszło do bezpośredniej konfrontacji dwóch nowojorskich hierarchów w Watykanie. Po wysłuchaniu obu Pius XII opowiedział się po stronie biskupa pomocniczego. Spellman potraktował to jako osobiste upokorzenie i użył swoich wpływów, by usunąć Sheena z anteny. Ten ostatni powrócił na wizję dopiero po czterech latach jako prowadzący audycję „The Fulton Sheen Program". Znów gromadził milionową widownię. W 1968 r. musiał jednak zrezygnować z tej pracy z powodów zdrowotnych. Miał wówczas 73 lata.

Mimo że jego dochody były wysokie, żył bardzo skromnie – 10 mln dol., które zarobił na występach w telewizji i prawach autorskich do książek, przeznaczył na cele misyjne, m.in. budowę szkół i szpitali dla czarnoskórych mieszkańców Alabamy. Powtarzał, że nie osiągnąłby w życiu tego, co mu się udało, gdyby nie Godzina Święta, czyli codzienna, godzinna adoracja Najświętszego Sakramentu, którą praktykował nieprzerwanie przez 60 lat – od dnia święceń kapłańskich aż do śmierci. Przede wszystkim był bowiem człowiekiem wiary, a beatyfikacja jest tego najlepszym dowodem.

eprasa.pl bd0b11d332

Szlak bałtycki



Rosja atakuje hybrydowo kraje bałtyckie także za pomocą migrantów. Zwłaszcza Łotwa mierzy się z rosnącą falą nielegalnych przybyszy na granicy z Białorusią



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Żwirowa droga biegnie między pagórkowatymi polami, a następnie znika w gęstym lesie. Za nią wznosi się wysokie ogrodzenie, zwieńczone grubymi zwojami drutu kolczastego. Czterometrowa konstrukcja z zaledwie kilkoma przerwami biegnie przez cały 1250-kilometrowy odcinek, oddzielający Unię Europejską od Białorusi – od Łotwy na północy po Polskę na południu, z Litwą pośrodku. Litwa była pierwszym krajem, do którego latem 2021 r. wkroczyli nielegalni migranci z Białorusi. Przechodzili przez lasy i przekraczali granicę, którą wówczas oznaczały jedynie słupki wbite w ziemię. Potem przyszła kolej na Polskę i Łotwę. W br. Litwa zmusiła do powrotu na Białoruś prawie 1,1 tys. osób, a od 2021 r. ich liczba sięgnęła nieco ponad 25 tys.

W przypadku Polski dane są jeszcze bardziej zatrważające. W 2021 r. odnotowano blisko 40 tys. prób nielegalnego przekroczenia granicy. Łączna liczba prób od początku działań hybrydowych jest szacowana na setki tysięcy. W tym roku takich prób – do 13 września włącznie – było zaledwie 472, ale to nie oznacza, że presja migracyjna sterowana przez Mińsk i Moskwę zniknęła. Ona się przeniosła – do naszych bałtyckich sąsiadów.

TUNELE I PODKOPY

Władze Łotwy zgłosiły ponad 9 tys. prób przekroczenia granicy w tym roku. W zeszłym roku liczba ta wyniosła ok. 12 tys. Tylko 16 lipca odnotowano 111 prób. Ta sytuacja budzi niepokój w Rydze.

„W jednym roku nacisk kierowany jest na Polskę, w innym na Litwę, a w kolejnym na Łotwę. Obecnie największa presja jest wywierana na nas. Dziś łotewska granica stała się głównym celem" – powiedział minister spraw wewnętrznych Jānis Dombrava w lipcowym wywiadzie dla „Euronews". W konsekwencji Łotwa całkowicie zamknęła granicę z Białorusią, a Estonia, Litwa i Finlandia wysłały funkcjonariuszy straży granicznej, aby zapewnić sąsiadowi wsparcie.

W sierpniu odkryto tunel, którym migranci mogli się przedostać pod ziemią z sąsiedniej Białorusi. Znajdował się on na odcinku granicy w pobliżu zamkniętego przejścia w Silene. „To pierwszy

Fot. Mindaugas Kulbis/AP Photo/East News, Shutterstock 08/0926/F

eprasa.pl bd0b11d332

tunel tego typu na Łotwie" – powiedział Dombrava w Rydze – jak donoszą łotewskie media – i nakazał poszukiwania kolejnych podziemnych przejść.

Litwa również zmaga się ze wzmożonym naporem nielegalnych migrantów. Pod białorusko-litewską granicą odkryto już 12 tajnych podziemnych przejść, a prób przekroczenia granicy było ponad tysiąc. W sierpniu media informowały o incydencie w rejonie łoździejskim, przy granicy z Białorusią. Podczas konfrontacji litewskich funkcjonariuszy z migrantami, którzy wydostali się z tunelu, jeden z pograniczników miał zostać pobity. Dlatego testowane są georadary, które mogą pomóc w wykrywaniu podziemnych tuneli. Trwa również zakup specjalistycznego sprzętu przeznaczonego do wykrywania pustych przestrzeni pod ziemią oraz inwestycje w infrastrukturę do zwalczania dronów przemytniczych.

Można by sądzić, że Polski to nie dotyczy, że jesteśmy bezpieczni. Tak w każdym razie uważa szef MON i wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz, który zadeklarował w kwietniu, iż „uszczelniliśmy granicę państwową". Największą skuteczność miała przy tym mieć budowa bariery perymetrycznej wzdłuż Bugu, który migranci przepływali zwykle na dmuchanych pontonach. Tyle że znaczna część migrantów, którym udaje się dostać na Łotwę, próbuje następne przez Litwę i Polskę dotrzeć dalej na Zachód. M.in. z tego powodu na granicy polsko-litewskiej od ponad roku są prowadzone kontrole. Mają one potrwać co najmniej do 1 października, ale zapewne zostaną przedłużone.

DZIURA W SYSTEMIE

Migranci próbują dostać się z Litwy do Polski przez lasy i pola. Auto, zazwyczaj bus, przejeżdża puste przez granicę i czeka na odbiór już w Polsce. Są to obywatele Sri Lanki lub państw afrykańskich, takich jak Gwinea, Kongo, Mali i Burundi. W pierwszej połowie br. litewskie władze zatrzymały ok. 1,2 tys. osób przybywających z Łotwy. Wielu innym zapewne udało się przecisnąć niezauważonym. 14 września Funkcjonariusze Straży Granicznej z Poznania-Ławicy zatrzymali na autostradzie A2 pod Poznaniem 34 migrantów ukrytych w chłodni, która miała litewskie tablice. Osoby te pochodziły z kilku krajów, w tym z Pakistanu, Egiptu i Somalii. W lipcu ponad 50 nielegalnych migrantów próbował wwieźć w ciężarówce do Polski z Litwy 37-letni kierowca pochodzący z Rumunii. Patrole nierzadko zatrzymują tzw. kurierów przewożących busami nawet do 20 osób. Podczas takich prób często są zatrzymywani cudzoziemcy, przebywający w ośrodkach np. na Łotwie, którzy nie mają dokumentów pozwalających im na przekroczenie granicy i pobyt w Polsce.

Migranci, którzy przedostaną się przez Litwę lub Łotwę dalej na Zachód i zostaną złapani, nie trafiają w ramach readmisji do Polski, ale do krajów, w których przekroczyli granicę po raz pierwszy. Chodzi o ludzi, którzy przechodzą

REKLAMA



eprasa.pl bd0b11d332

najpierw przez łotewską granicę, stamtąd przedostają się na Litwę i zazwyczaj są zatrzymywani dopiero na polsko-litewskiej granicy na Suwalszczyźnie. Zdecydowaną dziurą w systemie jest więc granica łotewska. Dlaczego? Głównie z tego powodu, że straży granicznej brakuje personelu, choć to najkrótszy odcinek granicy UE z Białorusią, liczący zaledwie 173 km (w porównaniu z 418 km z Polską i 679 km z Litwą). Łotwa nie ukończyła jeszcze budowy ogrodzenia wzdłuż tej granicy – fizyczna bariera jest gotowa od lipca 2024 r., ale reszta infrastruktury pomocniczej, w tym systemy monitoringu i czujniki, ma zostać ukończona najwcześniej pod koniec br. Ten odcinek jest trudny do zabezpieczenia również ze względu na rozległe tereny podmokłe i gęste lasy.

LICYTACJA NA SIŁĘ

Na Łotwie kwestia nielegalnej migracji z Białorusi mocno wpływa na kampanię przed wyborami parlamentarnymi, zaplanowanymi na 3 października. 4 sierpnia premier Andris Kulbergs (centrowo-prawicowa Zjednoczona Lista) uchylił decyzję ministra spraw wewnętrznych Jānisa Dombravy (nacjonalistyczny Sojusz Narodowy „Wszystko dla Łotwy!") z 31 lipca o zamknięciu przejścia granicznego Patarnieki. Premier argumentował, że nie konsultowano się z nim, a nielegalni migranci „nie przedzierają się przez dobrze strzeżone przejście, ale teren wokół". Według niego trwałe zamknięcie wiązałoby się z kosztami dla łotewskiego sektora transportu i logistyki, który odpowiada za 6 proc. PKB kraju. Łotwa wciąż eksportuje – choćby produkty rolnicze – do Rosji czy Białorusi. Walka toczy się więc o głosy prawicowego elektoratu, zaniepokojonego sytuacją na granicy i rosnącą liczbą migrantów w kraju.

Dombravy pozuje przy tym na szeryfa, chcąc osłabić Kulbergsa. Pytany przez dziennikarzy o to, jak daleko może się posunąć straż graniczna, aby odstraszyć nachodźców, odpowiedział, że „jeśli ktoś użyje większej siły wobec nielegalnych imigrantów, nie będę temu przeciwny". Wielu Łotyszy zinterpretowało to jako przyzwolenie na strzelanie do nielegalnych przybyszy.

> Migranci próbują dostać się z Litwy do Polski przez lasy i pola. Są to obywatele Sri Lanki lub państw afrykańskich, takich jak Gwinea, Kongo, Mali i Burundi. W pierwszej połowie br. władze litewskie zatrzymały ok. 1,2 tys. osób przybywających z Łotwy. Bo taki jest właśnie szlak bałtycki



Fot. Karolis Kavoliūnas/Shutterstock.com

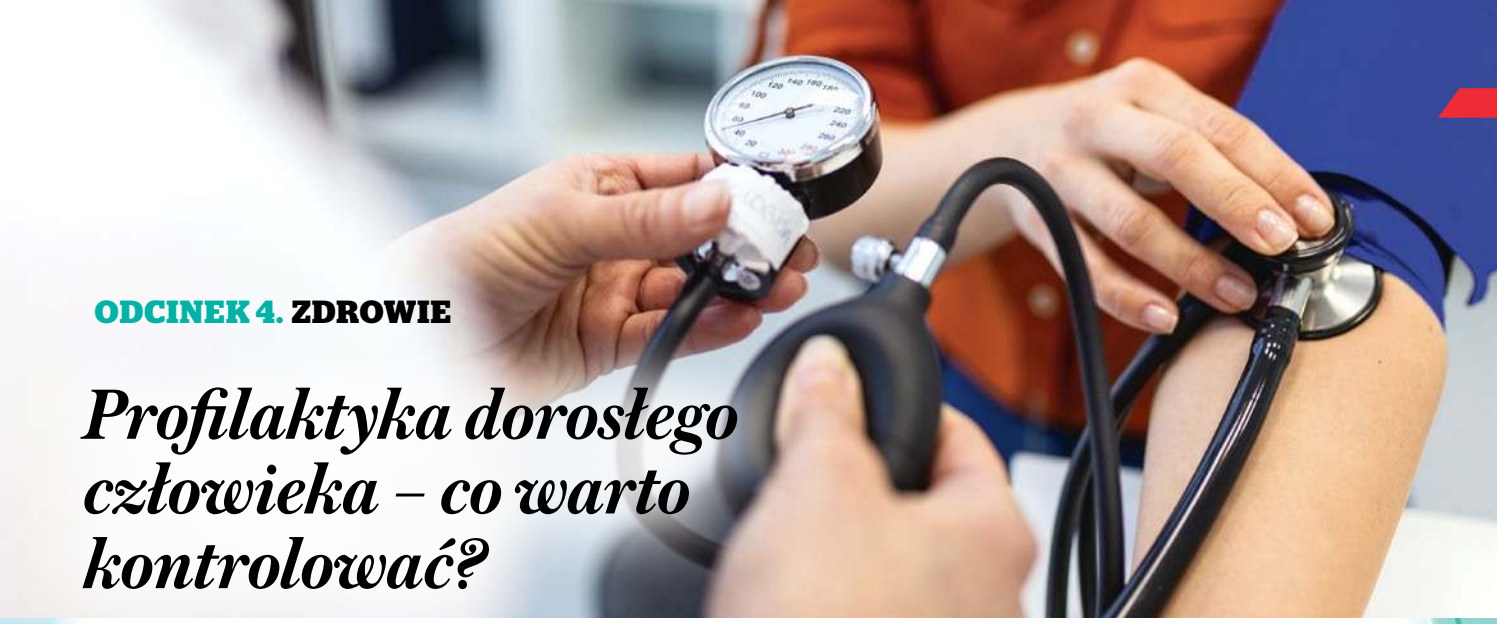
Jak zauważa portal Politico, partia Kulbergsa prowadzi w sondażach, jednak najpewniej będzie musiał on stworzyć koalicję, by utrzymać stery władzy. Tuż za nim plasuje się prawicowa Suwerenna Siła, która jawnie opowiada się za przywróceniem wcześniejszych relacji z Kremlem. Za nią z kolei ulokowała się partia Łotwa Ainārsa Ślesersa, który – mimo „skrajnych" poglądów – jest brany pod uwagę jako potencjalny koalicjant.

UE UDAJE STANOWCZOŚĆ

Tymczasem białoruski satrapa Aleksandr Łukaszenka odczytał ponowne otwarcie przejścia granicznego zapewne jako sygnał słabości. Sytuacja na granicy łotewsko-białoruskiej jasno pokazuje, że Mińsk nie zaprzestał agresywnych działań wobec państw wschodniej flanki NATO i UE. Zmniejszenie presji migracyjnej na Litwę i Polskę może zaś być tymczasowe, zwłaszcza jeśli w lutym przyszłego roku zostaną przedłużone sankcje UE wobec białoruskiego reżimu.

Tymczasem Komisja Europejska rozważa wprowadzenie środków prawnych, które pomogłyby krajom UE szybciej reagować na nagły przypływ dużej liczby migrantów, w tym skoordynowane powroty całych grup osób – powiedzieli Politico trzej unijni urzędnicy i dyplomaci. Te działania są częścią szerszych planów Komisji, mających na celu zademonstrowanie, że jest ona stanowcza w kwestiach migracji, oczywiście w celu osłabienia tzw. prawicowych populistów, którzy spędzają sen z powiek szefowej KE Ursuli von der Leyen. Państwa mogłyby m.in. tymczasowo zawiesić rozpatrywanie wniosków o azyl w określonych okolicznościach. Mowa jest również o potrojeniu personelu unijnej agencji ochrony granic Frontex. Skąd jednak wziąć tylu ludzi, nie wiadomo. W skrócie: choć liczba azylantów spada, migracja nadal jest główną obawą ludzi w Europie. I zapewne długo nią pozostanie.

eprasa.pl bd0b11d332



ODCINEK 4. ZDROWIE

Profilaktyka dorosłego człowieka – co warto kontrolować?

Brak dolegliwości nie zawsze oznacza, że organizm funkcjonuje bez zarzutu. Nadciśnienie tętnicze, zaburzenia gospodarki lipidowej czy cukrzyca typu 2 przez długi czas mogą się rozwijać bez wyraźnych objawów. Dlatego badania profilaktyczne mają tak duże znaczenie. Ich celem nie jest szukanie choroby za wszelką cenę, lecz wykrycie nieprawidłowości na etapie, na którym można skutecznie zareagować

Wczesne wykrycie wielu chorób zwiększa możliwości skutecznego leczenia. Warto jednak pamiętać, że profilaktyka wcale nie oznacza wykonywania jak największej liczby badań, i to na własną rękę. Część testów wykonywanych bez odpowiednich wskazań może prowadzić do wyników fałszywie dodatnich i wywołać niepotrzebny niepokój. Zakres badań powinien być więc dostosowany do wieku, płci, stylu życia, historii rodzinnej oraz indywidualnych czynników ryzyka.

PODSTAWOWE PARAMETRY, KTÓRE WARTO ZNAĆ

Jednym z najprostszych elementów profilaktyki jest regularny pomiar ciśnienia tętniczego. Nadciśnienie często nie powoduje żadnych objawów, a nieleczone zwiększa ryzyko zawału serca, udaru mózgu, niewydolności serca i chorób nerek. U osób zdrowych ciśnienie powinno być kontrolowane regularnie, a częściej, jeśli występują podwyższone wartości lub czynniki ryzyka.

Ważne miejsce zajmuje również ocena gospodarki lipidowej. Cholesterol całkowity, LDL, HDL i triglicerydy pomagają ocenić ryzyko sercowo-naczyniowe.

Kolejnym podstawowym parametrem jest stężenie glukozy we krwi. Cukrzyca typu 2 może rozwijać się skrycie przez wiele lat. Ryzyko rośnie m.in. wraz z wiekiem, nadmierną masą ciała, małą aktywnością fizyczną oraz występowaniem cukrzycy w rodzinie.

CO ZMIENIA SIĘ PO 30., 40. I 50. ROKU ŻYCIA?



- **Po 30. roku życia** szczególnie warto zacząć regularnie kontrolować ciśnienie, masę ciała, glikemię, obwód talii oraz podstawowe parametry metaboliczne, szczególnie przy obecności czynników ryzyka.
- **Po 40. roku życia** znaczenia nabiera systematyczna ocena ryzyka sercowo-naczyniowego. Warto się również upewnić, że wykonywane są odpowiednie dla wieku i płci badania przesiewowe.
- **Po 50. roku życia** rośnie znaczenie profilaktyki nowotworowej i oceny ryzyka chorób przewlekłych. W tym okresie szczególnie ważne stają się badania przesiewowe raka jelita grubego (kolonoskopia), a u kobiet także regularna mammografia zgodnie z obowiązującym programem profilaktycznym. Mężczyźni powinni również omówić z lekarzem badanie w kierunku raka prostaty, w tym oznaczenia PSA.

KONTROLA, NIE LECZENIE

Profilaktyka nie powinna zaczynać się dopiero wtedy, gdy pojawiają się pierwsze dolegliwości. Regularna kontrola ciśnienia tętniczego, glikemii i lipidogramu, a także korzystanie z odpowiednich dla wieku i płci badań przesiewowych pozwalają na wcześniejsze wykrycie wielu poważnych problemów zdrowotnych. Najlepsza profilaktyka to ta dopasowana do konkretnego człowieka – jego wieku, płci, stylu życia, historii rodzinnej i czynników ryzyka.

Filip Siódmiak

Absolwent kierunku dietetyka na Gdańskim Uniwersytecie Medycznym. Dietetyk kliniczny w Uniwersyteckim Centrum Klinicznym w Gdańsku, gdzie zdobywa doświadczenie w pracy z pacjentami wymagającymi specjalistycznej opieki żywieniowej, autor licznych artykułów na temat zdrowego stylu życia dostępnych na portalu wGospodarce.pl

PARTNER CYKLU

FUNDACJA Sanitas

Źródła: • Visseren, Frank L.J. et al., „2021 ESC Guidelines on cardiovascular disease prevention in clinical practice", „European Heart Journal" 2021, vol. 42 (34), s. 3227-3337 • McEvoy, John William et al., „2024 ESC Guidelines for the management of elevated blood pressure and hypertension", „European Heart Journal" 2024, vol. 45 (38), s. 3912–4018 • American Diabetes Association Professional Practice Committee for Diabetes*. „2. Diagnosis and Classification of Diabetes: Standards of Care in Diabetes – 2026". „Diabetes Care" 2026, vol. 49, Supplement_1, s. 27–49.

Artykuł sponsorowany | 01/0526/F/ZAL

eprasa.pl bd0b11d332

Kto naprawdę wygrał bitwę pod Płowcami?

27 września 1331 r. wojska Władysława Łokietka starły się z armią krzyżacką. Bitwa pod Płowcami szybko obrosła legendą polskiego zwycięstwa. W decydującym momencie starcia Krzyżacy odparli jednak atak wojsk Łokietka, a Polacy, ponosząc ogromne straty, wycofali się. Co naprawdę wydarzyło się w najbardziej dramatycznej bitwie ojca Kazimierza Wielkiego i dlaczego to starcie do dziś jest uznawane za polskie zwycięstwo?



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Polska Władysława Łokietka była państwem dopiero odbudowującym swoją jedność. Po okresie rozbicia dzielnicowego władca zdołał zjednoczyć znaczną część polskich ziem i w 1320 r. koronował się na króla Polski. Jego władza pozostawała jednak krucha. Państwo Piasta wciąż było znacznie słabsze od swoich najpotężniejszych sąsiadów, którzy nie chcieli zgodzić się na skuteczne zjednoczenie Polski przez Łokietka.

POLSKA WZIĘTA W KLESZCZE

Największym zagrożeniem pozostawał zakon krzyżacki. W 1308 r. Krzyżacy zajęli Gdańsk, a następnie opanowali Pomorze Gdańskie. Polska została pozbawiona dostępu do Bałtyku, a Łokietek przez kolejne lata bezskutecznie próbował odzyskać utracone ziemie. Niemal równie trudna była sytuacja na południu. Król czeski Jan Luksemburski rościł sobie prawa do polskiej korony. Był wówczas potężnym władcą, co przypieczętował podporządkowaniem sobie części Śląska i Mazowsza. Jego naturalnym przeciwnikiem był Łokietek. Król Czech zawarł z Krzyżakami porozumienie wymierzone w Polskę.

Była to śmiertelnie groźna sytuacja. Polska nie dysponowała siłami pozwalającymi na przeciwstawienie się połączonym armiom obu przeciwników. Gdyby Krzyżacy i Czesi skonsolidowali siły, odradzające się państwo Piastów znalazłoby się w wielkim niebezpieczeństwie. Łokietek musiał działać szybko. W odpowiedzi na podporządkowywanie przez Czechy kolejnych księstw śląskich, w 1327 r. zaatakował Mazowsze, chcąc narzucić mu swoją zwierzchność. Do 1330 r. trwała wojna podjazdowa z Krzyżakami, przerywana krótkotrwałymi rozejmami. Szykowało się ostateczne starcie.



KRZYŻACKA OFENSYWA

Latem 1331 r. Krzyżacy rozpoczęli wielką wyprawę, atakując zarówno Wielkopolskę, jak i Kujawy. Zajęli Bydgoszcz, spustoszyli m.in. Bnin, Środę Wielkopolską, Gniezno i Żnin, a łupy wywieźli do Torunia. Jesienią główne siły zakonu ponownie ruszyły na południe. 21 września ich wojska miały się spotkać z Janem Luksemburskim pod Kaliszem, by wspólnie zająć Wielkopolskę i Kujawy, a następnie całkowicie zniszczyć państwo Piastów. Krzyżacy oblegali Kalisz, licząc na przybycie czeskiego króla. Jan Luksemburski nie pojawił się jednak na czas. Jego wojska były zajęte obleganiem grodów na Śląsku – Niemczy, a potem Głogowa. Dopiero później Czesi ruszyli w kierunku Poznania.

Krzyżacy musieli więc zmienić plany. Zakończyli działania pod Kaliszem i sami skierowali wojska w kierunku Kujaw. Po drodze, w nocy z 23 na 24 września, pod Koninem rozbili polskie oddziały. Następnie 26 września zajęli Radziejów i w sile ok. 7 tys. ludzi rozpoczęli marsz w stronę Brześcia Kujawskiego.

Łokietek nie zamierzał pozwolić im dotrzeć do celu. 24 września zebrał rozbite wojska i również ruszył w kierunku Brześcia. Miał pod swoją komendą ok. 5 tys. ludzi z chorągwi z kujawskich, wielkopolskich, małopolskich oraz ziem sieradzko-łęczyckich.



Fot. SPolona.pl

BÓJ POD RADZIEJOWEM

Rankiem 27 września krzyżacka kolumna ruszyła w stronę Brześcia w trzech grupach. Jako jedna z ostatnich maszerowała straż tylna, dowodzona przez marszałka Dietricha von Altenburga, licząca ok. 2,3 tys. ludzi. Łokietek wykorzystał to, że krzyżacka armia się rozdzieliła, i uderzył na Altenburga. Ok. godz. 9.00 polski hufiec dowodzony przez starostę wielkopolskiego Wincentego z Szamotuł natknął się na Krzyżaków w pobliżu Radziejowa i przypuścił frontalny atak. Poranne działania utrudniała gęsta mgła. Początkowo Krzyżacy byli zdezorientowani i próbowali szybko zmienić szyk, by odpowiedzieć na polskie natarcie. W tym momencie ukryte dotąd w lesie cztery hufce dowodzone przez Łokietka uderzyły na krzyżacką kolumnę z boku i od tyłu. Polacy uzyskali przewagę. W bitewnym zamieszaniu i mgle rycerze rozpoznawali swoich po okrzyku „Kraków".

Zacięta walka trwała ok. trzech godzin. Dwukrotnie przerywano walki i ogłaszano przerwy na odpoczynek oraz opatrzenie rannych. Kluczowy moment nastąpił podczas trzeciego starcia, gdy krzyżacki chorąży Iwan spadł z konia, a wraz z nim upadła wielka chorągiew. Jej utrata wywołała dezorientację i panikę w szeregach Krzyżaków. Polacy zamknęli przeciwnika w okrążeniu i całkowicie go rozbili.

Pierwsza faza bitwy zakończyła się sukcesem Łokietka. Po stronie krzyżackiej zginęło kilku ważnych dostojników, a kolejni dostali się do niewoli, w tym sam Altenburg. Polacy zdobyli również wozy z łupami i krzyżacką chorągiew.

OCALIĆ KRÓLEWICZA

Wieść o rozbiciu części wojsk szybko dotarła do pozostałych oddziałów krzyżackich. Znajdujący się bliżej Brześcia Krzyżacy zaczęli zawracać. Łokietek ruszył im naprzeciw. Ok. godz. 14.00 doszło do kolejnego spotkania obu armii w okolicy wsi Płowce. Głównymi siłami zakonnymi dowodził komtur chełmiński Otto von Lauterberg, który po drodze próbował zawracać uciekających z pola walki Krzyżaków.

Bitwa rozgorzała na nowo. Tym razem była znacznie bardziej chaotyczna. Początkowo również druga faza starcia układała się pomyślnie dla Polaków. Wojska Łokietka zaatakowały nadciągające oddziały i zdołały zmusić część Krzyżaków do odwrotu. Uchodzących rycerzy musiał zatrzymać Henryk Reuss von Plauen, który wraz ze strażą przednią dotarł na pole bitwy ok. godz. 17.00. Krzyżacy uderzyli zwartą kolumną na lewe skrzydło polskiej armii, gdzie walczyli m.in. Wielkopolanie i Kujawianie pod dowództwem Wincentego z Szamotuł i prawdopodobnie królewicza Kazimierza, przyszłego króla Polski.

Natarcie okazało się skuteczne. W ciężkim boju zostały rozbite chorągwie małopolskie oraz hufiec królewski. Krzyżacy przełamali polskie linie i zaczęli wychodzić na tyły lewego skrzydła wojsk Łokietka. W polskie szeregi wkradło się zamieszanie.

Król liczył się ze śmiercią. Miał już ponad 70 lat, a gdyby poległ w walce, przeżycie następcy tronu miało ogromne znaczenie dla przyszłości państwa i dynastii. Kazimierz był więc zbyt cenny, by ryzykować jego śmierć. Gdy sytuacja stawała się coraz bardziej niebezpieczna, Łokietek zdecydował się odesłać syna z pola bitwy. Późniejsze krzyżackie relacje przedstawiały odejście Kazimierza jako ucieczkę, Jan Długosz wiąże natomiast jego wycofanie z rozkazem ojca. Współcześni badacze skłaniają się ku tej drugiej wersji.

DŁUGIE I KRWAWE STARCIE

Rozbite chorągwie małopolskie wycofywały się na południe, w stronę Krakowa. Pozostała część polskich sił, złożona z chorągwi wielkopolskich i łęczyckich, wraz z królem cofnęła się natomiast na zachód, w kierunku Radziejowa. Tam, mimo przewagi przeciwnika, nadal stawiała opór napierającym wojskom zakonnym. Po obu stronach ginęło coraz więcej rycerzy, a losy bitwy wciąż były nierozstrzygnięte. W jednym ze starć poległ komtur toruński Heinrich Rube. Po stronie polskiej największe straty ponieśli Małopolanie – zginęli m.in. chorąży ziemi sandomierskiej Krystyn z Ostrowa i chorąży ziemi krakowskiej Grzegorz Nekada Toporczyk, a także inni przedstawiciele małopolskiej elity możnowładczej, choćby miecznik krakowski Żegota z Morawicy i kasztelan żarnowski Jakub z Szumska.

eprasa.pl bd0b11d332

Krzyżacy odzyskali część jeńców, w tym rannego Dietricha von Altenburga, a także wielką chorągiew zakonu, odbierając ją z rąk Łęczycan. Jednocześnie do polskiej niewoli dostał się Henryk Reuss von Plauen oraz komtur golubski Eliger von Hohenstein wraz z blisko 40 rycerzami zakonnymi. To dobrze pokazuje, jak zmienne były koleje bitwy. W tym samym czasie Krzyżacy wzięli do niewoli ok. 100 znaczniejszych polskich rycerzy oraz wielu innych zbrojnych.

Pod wieczór walki zaczęły wygasać. Wobec zapadających ciemności i coraz większego wykrwawienia swoich wojsk Władysław Łokietek nakazał odwrót w kierunku obozu pod Samszycami. Polacy opuścili pole bitwy, zabierając ze sobą ok. 40 wziętych do niewoli przeciwników, podczas gdy Krzyżacy pozostali na miejscu. Po bitwie wymordowali większość polskich jeńców. Przy życiu pozostawili jedynie 56 najznaczniejszych, przeznaczonych na wymianę lub okup.

NIEOCZEKIWANY ODWRÓT

Straty obu stron poniesione podczas całodziennej walki były bardzo poważne. Jeśli uwzględnić zabitych, rannych i wziętych do niewoli, można szacować, że każda z nich straciła prawie połowę swoich sił. Według przekazu kronikarza Wiganda z Marburga biskup włocławski Maciej z Gołańczy, który zajmował się pochówkiem poległych, naliczył 4187 zabitych po obu stronach, z czego większą część mieli stanowić Krzyżacy. Mimo zachowanej przewagi liczebnej wojska zakonne zrezygnowały z marszu na Brześć Kujawski i w nocy wycofały się do Torunia. Według źródeł zrobiły to w pośpiechu i nie zdążyły nawet pochować swoich poległych. Następnego dnia na pole bitwy powrócił Łokietek i wobec wycofania się przeciwnika ogłosił zwycięstwo swoich wojsk.

Później obie strony starały się wykorzystać wydarzenia pod Płowcami do celów propagandowych. Bitwa znacznie wzmocniła morale Polaków i zrobiła ogromne wrażenie na ówczesnym społeczeństwie. O przekonaniu o polskim triumfie świadczył m.in. uroczysty wjazd Władysława Łokietka do Krakowa. Król przywiózł ze sobą wziętego do niewoli komtura Henryka Reussa von Plauena oraz pozostałych jeńców. Niedługo później, 5 października, do Poznania dotarły spóźnione wojska czeskie i rozpoczęły oblężenie miasta. Jan Luksemburski, na wieść o klęsce Krzyżaków na Kujawach, po sześciu dniach bezskutecznych szturmów i utracie ponad 500 żołnierzy, zrezygnował z dalszej walki i powrócił na Śląsk.

> Można powiedzieć, że bitwa pod Płowcami nie miała zwycięzcy. To jednak Łokietek osiągnął ważny cel strategiczny: nie dopuścił do połączenia sił krzyżackich i czeskich, co mogło mieć katastrofalne skutki dla odradzającego się Królestwa Polskiego. Zadał przeciwnikowi ogromne straty i zmusił jego armię do rezygnacji z dalszego marszu na Brześć Kujawski

WOJNA TRWAŁA

Nie oznaczało to jednak, że Polska wygrała wojnę. Straty poniesione pod Płowcami nie przeszkodziły Krzyżakom w przeprowadzeniu kolejnego najazdu jeszcze w tym samym roku. 20 listopada wojska zakonne pod dowództwem Poppona von Kokeritza i Otty z Bergova ponownie wkroczyły w granice Królestwa Polskiego i przez dwa tygodnie pustoszyły Kujawy. W 1332 r. osłabiona strona polska próbowała wynegocjować rozejm, Krzyżacy odrzucili jednak propozycję, przygotowując kolejną wielką wyprawę. Rozpoczęli ją w kwietniu.

Polska nie była w stanie skutecznie przeciwstawić się działaniom wojsk zakonnych. Krzyżacy ponownie najechali Kujawy i 19 kwietnia, po trzech dniach oblężenia, zdobyli Brześć Kujawski, a następnie, 26 kwietnia, Inowrocław. Później opanowali kolejne zamki – z wyjątkiem należącego do biskupów kujawskich Włocławka – i obsadzili je własnymi załogami. W trakcie walk od strzału z kuszy zginął starosta wielkopolski Wincenty z Szamotuł, który do końca bronił Kujaw przed zajęciem przez państwo zakonne. Jako ostatnia po długiej obronie, 12 lipca, poddała się Pakość, której bronił wojewoda brzeski Wojciech Kościelec. W ten sposób niemal całe Kujawy znalazły się pod kontrolą państwa zakonnego. W odpowiedzi wojska polskie, wsparte przez Węgrów, 15 sierpnia wkroczyły przez Mazowsze do ziemi chełmińskiej. Znalazły się jednak w okrążeniu i zostały zmuszone do podjęcia rozmów o rozejmie.

NIEDOKOŃCZONA HISTORIA

Dziś bitwa pod Płowcami jest przedstawiana jako wielkie zwycięstwo Łokietka nad Krzyżakami. Pełniejszy obraz wydarzeń pokazuje jednak znacznie bardziej skomplikowaną rzeczywistość. Była to krwawa batalia, której stawką było przetrwanie państwa. Pod koniec dnia Krzyżacy zdobyli przewagę taktyczną i pozostali na polu bitwy, podczas gdy wojska Łokietka wycofały się do obozu.

To jednak Łokietek osiągnął ważny cel strategiczny: nie dopuścił do połączenia sił krzyżackich i czeskich, co mogło mieć katastrofalne skutki dla odradzającego się Królestwa Polskiego. Zadał przeciwnikowi ogromne straty i zmusił jego armię do rezygnacji z dalszego marszu na Brześć Kujawski.

Cichymi bohaterami tego starcia byli piastowscy książęta ze Śląska. Nie chcąc podporządkować się Janowi Luksemburskiemu, dali Łokietkowi czas na walkę z samymi wojskami krzyżackimi. Ceną za to było jednak dalsze umacnianie czeskiej władzy nad Śląskiem.

Płowce nie zakończyły wojny i nie odwróciły jej losów. W kolejnych latach sytuacja polityczna Polski pozostawała trudna. Łokietek zmarł w 1333 r., pozostawiając synowi państwo wymagające dalszej odbudowy i wzmocnienia.

eprasa.pl bd0b11d332



Lwy od wschodu po zachód

Nie „Lalka”, a „Dziki, dziki wschód” Jana Holoubka otworzy 51. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. O Złote Lwy powalczy 16 tytułów. Zwycięzcę poznamy 26 września. Głównemu jury przewodniczy Krzysztof Zanussi

Kadr z filmu „Dziki, dziki wschód”

Fot. Warner Bros

eprasa.pl bd0b11d332



Kadr z filmu „Dziki, dziki wschód”



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Choć najgorętszą medialnie kinową produkcją ostatnich miesięcy była adaptacja powieści Bolesława Prusa, to jednak nie „Lalka” – z aktorską obsadą marzeń i inauguracyjnym rozmachem – otworzy najnowszą edycję festiwalu w Gdyni. Film nie został zgłoszony do konkursu.

Wielkoekranowa adaptacja w reżyserii Macieja Kawalskiego – dając przestrzeń wprowadzonej właśnie przez Netflixa serialowej wersji powieści – przedstawi się widzom nietypowo, bo w środę, ostatniego dnia tego miesiąca. Tymczasem już 21 września w Teatrze Muzycznym w Gdyni 51. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych zainauguruje „Dziki, dziki wschód” Jana Holoubka, zapowiadany jako wojenna opowieść w westernowym klimacie.

POTRZĄSNĄĆ WIDZEM

Akcja filmu rozgrywa się podczas „srogiej zimy 1943 r. Do sennego miasteczka na wschodzie Polski przybywa tajemniczy urzędnik z Berlina”. Atmosfera nieufności i zagrożenia narasta. W tle pojawiają się pogłoski o zaginionym złocie.

„Dziki, dziki wschód” opowiada historię, która ponoć zaskakująco mocno rezonuje z teraźniejszością, konfrontując się z klimatem globalnego zagrożenia i niepokoju. W wywiadzie dla „Vogue Polska” (udzielonym przed światową prapremierą, która miała miejsce podczas festiwalu w Toronto) Jan Holoubek mówił: „Zrobiłem ten film, żeby potrząsnąć widzem. Nie mogę liczyć na to, że zmienię świat, ale jeśli uda mi się kogokolwiek skłonić do przemyślenia radykalnych poglądów, to będzie dla mnie sukces”.

Reżyser tak uzasadniał charakter produkcji: „Wybrałem melanż gatunkowy: thrillera, filmu noir i westernu. To połączenie zawarte było w scenariuszu, który trafił w moje ręce już jakieś 12, 13 lat temu, kiedy nawet nie wyobrażaliśmy sobie, że Rosja najedzie Krym, a potem całą Ukrainę”.

KLUCZ DO INTERPRETACJI

Tekst autorstwa Aleksandry Takuskiej sprawił, że reżyser postanowił nakręcić na jego podstawie film już w 2018 r. Niełatwo było jednak zebrać fundusze, również dlatego, że wiele osób nie rozumiało konwencji. „Użycie jej w kontekście II wojny światowej wydawało się ryzykowne czy niestosowne [...]. Tymczasem sprawy na świecie potoczyły się tak, że film nabrał nagle aktualności”.

Holoubek podkreśla, że to, jak wygląda świat na ekranie, jest wspólną wizją stałego zespołu: scenografa Marka Warszewskiego, charakteryzatorek – Mireli Zawiszewskiej i Justyny Osińskiej, odpowiedzialnej za kostiumy Weroniki Orlińskiej, operatora Bartka Kaczmarka oraz drugiego reżysera Brunona Borchólskiego. Założeniem było nakręcenie „upiornej bajki”. Klimatyczne miasteczko z filmowym domem Levych znaleziono na Łotwie, a wnętrza, cmentarz, synagogę i inne lokacje – na Mazowszu i Dolnym Śląsku.

Film został nagrany niemal w całości po niemiecku (ten język pojawił się wcześniej u Holoubka w „Doppelgänger. Sobowtór”). Wolffa zagrał Itay Tiran, który „jest Izraelczykiem, na co dzień pracującym w wiedeńskim teatrze”, esesmana Kurta – Jan Bülow, a Biłasza – ukraiński aktor Oleksandr Yatsentyuk, którego reżyser wypatrzył w filmie „Pamfir”. Polską część obsady stanowią:



Kadr z filmu „Syrenka Picassa”

eprasa.pl bd0b11c



Kadr z filmu „Violetta Villas”

Robert Więckiewicz, Joanna Kulig, Magda Różczka, Piotr Trojan, Jacek Beler, Borys Otawa i Janusz Chabior. Większość z nich musiała się nauczyć sporych partii tekstu po niemiecku.

Obsada to również klucz interpretacyjny, bo w ekranowej historii „nikt nie jest tym, za kogo się podaje, tylko kimś, kto świetnie się zasymilował”.

Na koniec reżyser podkreśla, że nie formułuje oskarżeń wobec ludzi, których ukazuje na ekranie, ponieważ „nikt z nas nie ma pojęcia, jak by żył i jaką postawę by przyjął w warunkach wojennych, w których musi codziennie walczyć o przetrwanie – swoje i swojej rodziny […] Chciałem, żeby nasz film pokazywał różnorodność postaw i żeby każda z nich była jakoś wytłumaczona. Żebyśmy rozumieli, że one nie brały się znikąd i nigdy nie były czarno-białe”.

KONKURSOWE TROPY

„Dziki, dziki wschód” jest drugim filmem – z 16 zakwalifikowanych do głównego konkursu – zagranym po niemiecku. Język ten usłyszymy również w „Ojczyźnie” Pawła Pawlikowskiego. Tu głównych bohaterów grają Hanns Zischler (jako Thomas Mann) i Sandra Hüller (córka pisarza, Erika).

Anglojęzyczny „Dobry chłopiec” Jana Komasy zderza widzów z kontrowersyjną metodą wychowawczą, zastosowaną wobec 19-letniego chuligana.

Ponoć brawurowe, a na pewno międzynarodowe „Hot Spot” Agnieszki Smoczyńskiej – z Reiką Kirishimą, Noomi Rapace i Andrzejem Konopką w głównych rolach – wprowadza do świata rządzonego przez wszechobecną sztuczną inteligencję oraz na jego obrzeża, gdzie żyją uchodźcy, próbujący zachować mentalną niezależność.

Międzynarodową obsadę (Lesley Manville i Tom Burke obok Zofii Wichłacz i Andrzeja Konopki) ma „Zima pod znakiem wrony” – „kreatywny dreszczowiec” o stanie wojennym w reżyserii Kasi Adamik.

Janusz Zaorski przywiezie do Gdyni „Syrenkę Picassa”, czyli międzypokoleniową historię z tytułowym malunkiem na ścianie. W rolach głównych występują Magdalena Koleśnik i Andrzej Seweryn.

Joanna Łapińska, dyrektorka artystyczna festiwalu, tak komentuje konkursową stawkę: „Wracają z nowymi tytułami głośne nazwiska. Czekaliśmy na te filmy. Cieszy również obecność młodego kina [w tym pięć pełnometrażowych debiutów reżyserskich – przyp. red.]. Niech to będzie edycja odkryć”.

RÓŻNORODNOŚĆ GŁOSÓW

O Złote Lwy – poza już wspomnianymi – powalczy również „Czas, który nie nadszedł” w reżyserii Julii Rogowskiej. Główną bohaterkę – kobietę postanawiającą zestarzeć się u boku partnera, który poddał się rewolucyjnej kuracji antygeriatrycznej (zapewniającej miejsce w nowym społeczeństwie) – zagrała Agata Kulesza.

„Exotic” (reżyseria i scenariusz: Sonja Orlewicz-Zakrzewska) to historia 30-latki (w tej roli Jaśmina Polak), która odnajduje nową życiową perspektywę dzięki wyjazdowi na obóz pole dance. „Fluidy” Marii Wider (reżyseria i scenariusz) – z rodzicami zagranymi przez Jacka Borcucha i Romę Gąsiorowską – opowiadają o dorastaniu nastoletniej Niny i „młodszego niebinarnego Miki”.

„Kobieta stanu wolnego” duetu Eliza Godlewska i Alan Ruczyński to historia 50-letniej Romy (gra ją Ewa Konstancja Bułhak), która, znajdując się właśnie na życiowym zakręcie, spotyka 30-letnią Martę (Maria Sobocińska).

Do muzycznych legend odwołują się filmy „Mniej obcy” Kristoffera Rusa (w roli Jana Borysewicza zobaczymy debiutującego na ekranie Mikołaja Bukrewicza) oraz „Violetta Villas” Karoliny Bielawskiej z Sandrą Drzymalską w roli tytułowej.

„Nasza rewolucja” Piotra Domalewskiego przypomina losy małżeństwa Grażyny i Jacka Kuroniów w latach 80. Główne postaci kreują Magdalena Popławska i Arkadiusz Jakubik.

W „Pojedynku” Łukasza Palkowskiego historię z obozu polskich oficerów roku 1940 opowiadają – poza Jakubem Gierszałem i Aidanem Gillenem – m.in. Julia Pietrucha i Bogusław Linda.

Fot. Warner Bros. Kino Świat, TVP

eprasa.pl bd0b11d332



Kadr z filmu „Nasza rewolucja”

„Powiedz mi, co czujesz” Łukasza Rondudy – film zbudowany z autentycznych obrazów, a także z frustracji i traum młodych artystów – trafił do kin tuż przed festiwalem. W świetnych rolach Jan Sałasiński i Izabella Dudziak.

„Przez ścianę” Macieja Sobieszczańskiego to opowieść o niezwykłej więziennej miłości rozwijającej się w rytmie kodu Morse'a. Aresztowaną za działalność antykomunistyczną (w listopadzie 1947 r.) Wiesławę Pajdak gra Maria Dębska, osadzonego w celi obok Jerzego Śmiechowskiego – Jakub Gierszał.

WYRAZISTOŚĆ I ODWAGA

Produkcje rywalizujące w głównym nurcie oceniać będzie jury pod przewodnictwem Krzysztofa Zanussiego. W składzie są również: Przemysław Chruścielewski (montażysta i scenarzysta), Jagna Dobesz (scenografka), Małgorzata Hajewska-Krzysztofik (aktorka teatralna i filmowa), Mikołaj Trzaska (kompozytor), Marcin Wierzchosławski (producent) oraz Ita Zbroniec-Zajt (autorka zdjęć filmowych).

Niezwykle ważnym dopełnieniem stawki walczącej o Złote Lwy są filmy z Konkursu Perspektywy. Aż siedem z ośmiu stanowią w nim pełnometrażowe debiuty, jeden jest drugim filmem reżysera. Co wnoszą do tej edycji propozycje z Perspektyw? Według Joanny Łapińskiej: „Zdecydowanie młodość, wyrazistość stylistyczną i odwagę”. Jest w nich również dystans i poczucie humoru, zauważone i docenione także w ubiegłej edycji festiwalu. A z tej przywołajmy tytuły: „Czarna godzina” Filipa Bojarskiego, „Kalafior przeznaczenia” w reżyserii Anny Urbańczyk, „Ma to sens” (reżyser Paweł Podolski – film właśnie trafił do kin), „Miłe kobiety” (Maria Wojtyszko, Jakub Krofta), „Mroki” (Bartosz Szyszko), „ÒPI” (Marta Giec), „Postój” (Adam Uryniak) i „Sick” debiutującej w reżyserskiej roli aktorki Agaty Trzebuchowskiej.


Kadr z filmu „Czas, który nie nadszedł”


Kadr z filmu „Pojedynek”

Filmy w Konkursie Perspektywy będą się ubiegały m.in. o Szafirowe Lwy i Złoty Pazur (przyznawany w systemie międzysekcyjnym z Konkursem Głównym). Platynowe Lwy, czyli nagrodę za całokształt twórczości, przyznano montażystce Halinie Prugar-Ketling.

Fot. NextFilm, © Jarosław Sosiński / Bow and Axe Entertainment, Łukasz Bąk

eprasa.pl bd0b11d332

Polska chwała i hańba

„Termopile polskie” to narodowe i historiozoficzne misterium o przyczynach upadku I Rzeczypospolitej. Połączenie mistyki z politycznym traktatem, historii z mitologią



MACIEJ WALASZCZYK

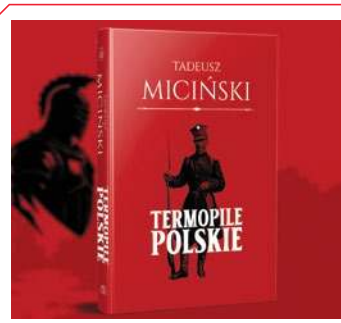
To zupełnie nowe wydanie tej tajemniczej sztuki teatralnej, rozgrywającej się na tle śmierci ks. Józefa Poniatowskiego. Obrazy z jego życia i historii są w niej projekcją świadomości umierającego księcia, a zarazem próbą ukazania przyczyn upadku I Rzeczypospolitej.

Dziś na deskach Teatru Narodowego próbuje je uwspółcześnić Jan Klata, gubiąc jednak cały ich sens w nachalnej grotesce. Nie tylko dzieje samego tekstu, lecz także inscenizacji tego dramatu są interesujące. Tadeuszowi Micińskiemu nigdy się ona nie udała, bo to, co proponował, uważano za szaleństwo. Została zrealizowana dopiero w 1970 r. na deskach Teatru Wybrzeże. Od 1982 r. próbowano ją wystawić w krakowskim Starym Teatrze, pod koniec 1985 r. premiera została jednak wstrzymana. Reżyser Krzysztof Babicki relacjonował, że cenzura zażądała ponad 100 skreśleń, a brak zgody na taką ingerencję spowodował, że do Krakowa przyjechała specjalna 20-osobowa komisja z ówczesnym ministrem kultury Kazimierzem Żygulskim i Kazimierzem Świrgoniem z KC wraz towarzyszącymi im Rosjanami. „Przylecieli specjalnym samolotem. Zamknięto plac Szczepański przed teatrem. W nocy odbyło się dla tych panów specjalne przedstawienie. Było to upokarzające. Na scenie wspaniali aktorzy: Anna Polony, Jerzy Bińczycki, Krzysztof Globisz, Jerzy Trela, a na pustej widowni komisja oglądająca spektakl” – relacjonował reżyser. Premiera się odbyła, ale dopiero rok później.

Tadeusz Miciński to wybitny przedstawiciel literatury młodopolskiej i wizjoner teatru, przyjaciel Witkacego i Karola Szymanowskiego. Chciał, by spektakl przerodził się w misterium ilustrowane jego muzyką. W czasie I wojny pełnił funkcję oficera kulturalno-oświatowego w korpusie gen. Dowbora-Muśnickiego. Zginął tragicznie w czasie rewolucji bolszewickiej, zamordowany przez białoruskich chłopów. Tworzył koncepcje historiozoficzne, przesycone mistycznymi wątkami polskiego romantyzmu, zaczerpniętymi z twórczości Słowackiego, a także filozofią, teozofią i okultyzmem. Na scenie teatralnej chciał realizować pomysły rozsadzające granice normalnego dramatu. Właśnie w „Termopilach” zaaranżowanie trzypoziomowej, niemal sakralnej przestrzeni miało zrodzić nowy mit dla odrodzonej Polski, ukuty z ofiary złożonej przez księcia Pepi. Cały dramat obejmuje dzieje rozgrywające się w latach 1787–1813, gdy Poniatowski tonie w wodach Elstery w bitwie narodów pod Lipskiem. To wydarzenie mitotwórcze, od którego wszystko się zaczyna. Potem jednak natychmiast cofamy się do spotkania Katarzyny II z królem Stanisławem Augustem w Kaniowie, gdzie polski władca próbuje uzyskać od carycy zgodę na wdrożenie reform i zwiększenie stanu wojska. Potem jesteśmy świadkami uchwalenia Konstytucji 3 maja i zawiązania konfederacji targowickiej, wojny 1792 r. i odbytego pod groźbą rosyjskich bagnetów sejmu w Grodnie, insurekcji kościuszkowskiej i rzezi Pragi, sejmu rozbiorowego i ostatecznego upadku państwa, w końcu epopei Legionów i losów polskich „napoleonidów”. Obrazy historyczne tworzą rodzaj sennego widziadła, w którym sąsiadują ze sobą widma żywych i umarłych.

Widzimy też króla, którego wizja panowania odbiega od rzeczywistości, w jakiej przyszło mu rządzić. Od Boskiej opatrzności domaga się cudu, który nie ma szans na spełnienie, co w lucyferycznej wizji Micińskiego prowadzi do sądu nad bezradnym Bogiem. Dramat przeradza się w surowy osąd narodowych wad i wszelkich wewnętrznych czynników, które doprowadziły do ruiny państwa, zapaści politycznej i anarchii, a ostatecznie wielkiej zdrady targowiczan.

Nie bez powodu inspiracją do napisania tej sztuki była lektura „Ostatnich lat panowania Stanisława Augusta” ks. Waleriana Kalinki, klasycznego reprezentanta krakowskiej szkoły historycznej. Miciński ukazuje mielizny mitologii narodowej i jednocześnie bezwzględność realnej polityki, a nawet fatum geopolityki. To dramat Polski bezsilnej, zarówno wobec Rosji, jak i Prus, dodatkowo wplątanej w bezwzględną grę zachodnich dworów i niejawnych sitw masońskich. Czy nie przypomina to naszej współczesności? Warto więc ujrzeć jej odbicie w tym osobliwym, historycznym misterium, opowiadającym o nas samych. O głupocie, obok której tak łatwo umiera wielkie bohaterstwo, a nad wszystkim zwycięża brak politycznej wyobraźni.



Tadeusz Miciński, „Termopile polskie”, Wydawnictwo IX Kraków/Skawina 2026

eprasa.pl bd0b11d332





HITY i KITY ZAREMBY

Śledząc następcę Stefana Karwowskiego

Swój Teatr Telewizji o tytule „Być jak czterdziestolatek" Damian Kocur nazwał „reportażem o współczesności". Mnie ten reportaż wydał się mało porywający. Niemniej powiedział nam coś o kondycji dzisiejszych Polaków – właśnie w zderzeniu z dawnym serialem Jerzego Gruzy

Spektakl telewizyjny Damiana Kocura zaczyna się od nawiązań do sławnego serialu. Bohater remontuje mieszkanie, każe więc ukraińskiemu fachurce wykuwać łuki. Owe łuki w mieszkaniu inż. Stefana Karwowskiego, budowniczego Polski Ludowej, były symbolem jego awansu na dyrektora zjednoczenia. Potem pojawia się piosenka otwierająca każdy odcinek (leci z radia w taksówce), a nawet migawki z serialu. Stefan ze spektaklu Kocura jest filmowym montażystą.

Z postscriptum po przedstawieniu nie udało się dowiedzieć, czy serial, przebój lat 70. ubiegłego stulecia, był dla reżysera – zarazem współautora scenariusza (z Martą Bacewicz) – w jakiś sposób ważny. Ma wszak dopiero 45 lat. Chłodno reagował na wzmianki o nim, ale na rozmowę o własnym dziele także. Damian Kocur to autor dwóch filmów uznanych za ważne: „Chleb i sól" oraz „Pod wulkanem". Telewizyjnym teatrem zajmował się po raz pierwszy.

Pomysł jest taki, że oglądamy dzień 40. urodzin obecnego everymana i zastanawiamy się nad różnicami w stosunku do Karwowskiego. Nie wiem, czy to sam Kocur na niego wpadł, czy telewizyjni decydenci. Słowa o „reportażu ze współczesności" są pewnie prawdziwe. Co jednak poradzę, że ów jeden dzień z życia Stefana (któryż to raz oglądamy podobną konstrukcję?) jest bezbarwny, nieinspirujący, monotonny?

W filmach Damian Kocur łowił potężne pokłady szarzyzny, ale był w nich sugestywnie eskalowany dramatyzm. „Chleb i sól" opowiada o narastaniu przemocy w środowisku prowincjonalnej młodzieży. Stefan wozi w różne miejsca małą córeczkę, ogląda jej szkolne przedstawienie, na koniec kładzie ją spać w swoim domu i wtedy okazuje się, że to film, a nie rzeczywistość.

Ten reżyser lubi obsadzać w swoich filmach amatorów. Są oni obecni również w Teatrze Telewizji, zresztą Mariusz Znaniecki, nieznany mi aktor Teatru Śląskiego w Katowicach, gra Stefana jak amator, monotonnie, bez wyrazu. Jerzy Gruza buszował w codzienności, ale była ona po literacku przerobiona, pełna skrzącego się dowcipu, wyrazistych postaci i sytuacji. W „Być jak czterdziestolatek" jest jeden zabawny moment, kiedy Krzysztof Materna jako odklejony intelektualista, ojciec Stefana, usiłuje zainteresować małą wnuczkę opowieściami o Hamlecie i sypie takimi słowami jak „wertykalny" czy „metafizyka". Trzeba widzieć minę dziewczynki.

Możliwe, że ta szarość i monotonia są zamierzone, co nie znaczy, że nawet one nie mogłyby zostać zademonstrowane ciekawiej. Aczkolwiek nasuwają się jakieś wnioski i nawet znawca filmów Jakub Majmurek, zawsze poprawny politycznie w duchu progresywnym, przyznał, że to opowieść o detronizacji mężczyzny.

Owszem, ten Stefan wygląda młodziej niż Karwowski, ale w następstwie rozbicia własnego małżeństwa i niejasnych trudności w relacjach z innymi kobietami odczuwa swoją pozycję jako niepewną. Peerelowski inżynierek bywał naiwną ofiarą, starał się wierzyć we wszystko, co mu podsuwano, ale oparcie, poczucie stabilizacji, właściwie królewski status zapewniała mu rodzina, jedna i nierozerwalna.

Jerzy Gruza – mimo ograniczeń stwarzanych przez cenzurę – poczynił wiele przenikliwych obserwacji, także na temat awansów Karwowskiego, w których ten nibyoferma odnajdywał się zaskakująco dobrze. Dlatego ten serial do dziś świetnie się ogląda w powtórkach. Stefanowi ze spektaklu Kocura życie przecieka przez palce. Na ile ma to być typowe?

Piotr Zaremba

Fot. TVP



Fot. Galapagos films

„Folwark zwierzęcy” o czym innym?

Kolejna filmowa, animowana adaptacja „Folwarku zwierzęcego” George’a Orwella jest wyświetlana w polskich kinach od 18 września. W powieści bunt zwierząt przeciwko ludziom, a potem ewolucja tworzonej przez nie społeczności to metafora sowieckiego komunizmu. W tej wersji mamy jednak opowieść o czymś zupełnie innym

Producentem jest amerykańska firma Angel Studios, odwołująca się do inspiracji chrześcijańskich. Reżyserem został Andy Serkis, aktor grywający tak niezwykłe role jak King Kong, Gollum z „Władcy pierścieni” czy małpa Cezar z cyklu „Planeta małp”. Dostajemy żwawą akcję, malowniczą animację, niemniej wymowa uległa znaczącej rewizji.

Orwell, lewicowy antykomunista, napisał „Folwark zwierzęcy” w czasie II wojny światowej. Zwierzęta wypędzają z gospodarstwa swojego pana i początkowo delektują się rewolucyjnymi hasłami wraz z najbardziej fundamentalnym: „Wszystkie zwierzęta są równe”. Szybko jednak dostają się pod kontrolę inteligentnych świń, które zmuszają pozostałe gatunki do coraz cięższej pracy i życia w nędzy, nieposłuszeństwo karzą śmiercią, a same mieszkają w domu człowieka. To wypisz, wymaluj dzieje Związku Sowieckiego.

Dyktator Napoleon (Stalin?) pozbywa się swojego rywala, innego knura Piguły (w filmie to samica, nieodgrywająca tak wielkiej roli jak w książce), a na końcu dogaduje się z ludźmi z okolicy. Dla podpatrujących ucztę innych gatunków nie jest już jasne, kto jest zwierzęciem, a kto – człowiekiem.

Jak to pokazano w filmie, w którym postaci mówią współczesną językową papką? Mamy rewolucję przeciw panu Jonesowi oraz spisywanie zasad zwierzęcego świata. Potem jednak nie tyle przedrzeźnia się mechanizmy realnego socjalizmu, ile... No właśnie.

Napoleon jest kimś w rodzaju współczesnego populistycznego demagoga, brylującego od pewnego momentu w świecie social mediów i mechanizmów rynkowych. Jego związki z ludźmi są wcześniejsze niż w powieści, oparte na wspólnym cynizmie. Pojawiają się nawet aluzje wymierzone w „tożsamościowość”, knur zastępuje bowiem ogólnozwierzęcą solidarność poczuciem świńskiej odrębności.

Najzabawniejsze, że grozę finału powieści zastępuje naiwny happy end. Specjalnie po to stworzono nową postać: prosiaczka Farciarza, który zbuntuje się przeciw Napoleonowi.

Taki „Folwark zwierzęcy” nie tylko przestaje być wyprawą w historię, opowieścią o komunizmie (pytanie, na ile nieaktualną). Traci również charakter mocnej, złowrogiej przestrogi. Ot, kolejna przygodowa historyjka.

SONIA I ANDRIEJ – NASI ZNAJOMI Z CZECHOWA

Teatr Współczesny rozpoczął nowy sezon od nieco ponadgodzinnej sztuki „Afterplay” irlandzkiego dramatopisarza Briana Friela. Dostajemy sam dialog dwojga bohaterów najbardziej klasycznych sztuk Czechowa. Słuchamy go z zapartym tchem

Nieżyjący już Friel wydał tę sztukę w 2002 r. Jest oparta na założeniu, że gdzieś w Moskwie (w jakimś zajeździe) spotykają się Sonia Sieriebriakowa, najmłodsza bohaterka „Wujaszka Wani”, i Andriej Prozorow, brat bohaterek „Trzech sióstr”. Od zdarzeń przedstawionych przez Czechowa minęły lata.

Oboje są podupadłymi, samotnymi ludźmi, chociaż los gorzej obszedł się z Andriejem, który z inteligenta zmienił się w ulicznego grajka. Sonia niby radzi sobie lepiej, nadal zarządza majątkiem, w którym strawiła całe życie – a raczej tym, co z niego zostało.

W opowieściach o własnych zmarnowanych życiach oboje nadal poruszają się w personalnych mikrokosmosach zbudowanych przez Czechowa. Andriej ucieka w konfabulację, potem stopniowo przyznaje się do kłamstw. Sonia wydaje się bardziej wiarygodna, chociaż również nie mówi o sobie całej prawdy. Następuje między nimi zbliżenie, a potem...

Dobrze napisane opowieści o życiowych rozbitkach potrafią wzruszyć. Reżyser Bogdan Michalik postawił na aktorski koncert, ujawniany przy okazji opowieści, jedyne zdarzenia na scenie to jedzenie zupy czy rozlewanie wódki. Zdawało mi się, że Monika Krzywkowska, wytrawna dama polskiego teatru, będzie zbyt błyszcząca jak na Sonię, będącą przecież szarą myszką. No, ale przyjmijmy, że Sonia dojrzała. Aktorka buduje tę postać ze smutnych uśmiechów i małych gestów, jest prostolinijna, ale nie naiwna. Andriej Mariusza Jakusa wydaje się bardziej karykaturalny, złożony z nerwowych odruchów, zmiennych nastrojów. To człowiek złamany. Oglądamy dwie piękne kreacje aktorskie, istotnie prowadzące nas w finale do wzruszenia.

Przyszło mi jednak coś do głowy. „Wujaszek Wania” pochodzi z 1897 r., „Trzy siostry” – z 1901 r. Jeśli założyć, że ich akcja rozgrywa się blisko daty wydania, to po co najmniej 20 latach w Rosji było już po wojnie i rewolucji. Autor nie poważył się na tak śmiały pomysł poprowadzenia dalszych ciągów. Nadal mamy realia caratu. Czegoś takiego – przejścia do nowej Rosji – dokonał Sławomir Mrożek w „Miłości na Krymie”, choć opowiadał tylko o czechowowskich typach, a nie o konkretnych postaciach z jego sztuk.



AGATA KOZIERAŃSKA-BURDA*

Co najbardziej kocham w Gdyni

Gdynia – zapraszająca właśnie na 51. FPFF – świętuje w tym roku wyjątkowy jubileusz: stulecie nadania praw miejskich, a także wpisanie historycznej części miasta na listę UNESCO

Mieszkam w Gdyni od 22 lat. Nie jest to moje miasto urodzenia, ale miejsce, które świadomie wybrałam „na życie" i z którego nigdzie się nie wybieram.

Gdynia jest kojarzona z morzem, portem, wyjątkowym modernistycznym śródmieściem. Ma się czym szczycić. Jest w niej co podziwiać, natomiast – i tu może pojawić się zaskoczenie – tym, co najbardziej kocham w Gdyni, są lasy, zieleń, która towarzyszy mieszkańcom we wszystkich dzielnicach.



Mam w Gdyni ukochane miejsca. To m.in. Redłowo i zejście do morza właśnie tam, a nie w Orłowie – to rezerwat Kępa Redłowska, a w nim, poza przyrodą, wąwozy i malownicze klify. To mnie urzeka – przestrzeń, w której nie ma się poczucia bycia w mieście, a jednocześnie jest się w nim.

Mieszkam w dzielnicy Dąbrowa, oddalonej od centrum, położonej przy Trójmiejskim Parku Krajobrazowym. Mam dosłownie dwie minuty do lasu. Chodzę do niego na spacery z psem, a także na grzyby. Jest tam wspaniała wieża widokowa. Stoi na najwyższym szczycie Gdyni (206,5 m n.p.m.) – górze Donas. Wchodzę na nią rzadko, bo mam lęk wysokości, ale zdarza mi się, gdy za bardzo nie wieje, bo pięknie widać z niej panoramę Gdyni i morze, rozpościerające się po horyzont.

Najbardziej znanym wzniesieniem miasta jest Kamienna Góra. Znajduje się tuż przy centrum FPFF. Można na nią wjechać kolejką albo wejść schodami. To bardzo popularne miejsce turystyczne, podobnie jak wspomniane już Modernistyczne Centrum Gdyni, wpisane oficjalnie na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO 27 lipca br.

Jedną z perełek miasta jest dla mnie Oksywie – najstarsza dzielnica, która wyrosła z osady rybackiej. Można tu znaleźć wiele śladów przeszłości, układu dawnych budynków i uliczek.

A wracając w stronę centrum, warto odnaleźć ul. Rajską czy Bursztynową. To bardzo ciekawe, jak w infrastrukturę Gdyni – która wciąż się rozwija, starając się łączyć modernistyczną architekturę z nowoczesnymi budynkami (a także nawiązującymi do modernizmu) – wpisują się takie perełki. Polecam też ul. Waszyngtona. Jeśli ktoś jest stałym gościem festiwalu filmowego, na pewno ją zna, bo biegnie obok miejsca, w którym wcześniej było Multikino. Na końcu tej ulicy, już bliżej portu, znajdują się budynki, które stały kiedyś nad brzegiem morza, bo cały teren Skweru Kościuszki to nasyp stworzony przez człowieka, z przedłużeniem w postaci mola. Można się z niego zapatrzyć daleko na morze.

W czasie spacerów po unikatowym centrum Gdyni zachęcałabym natomiast do częstego podnoszenia głowy i – jak się uda – wchodzenia do budynków, by móc podziwiać także wnętrza klatek schodowych, przeszklenia, przez które pada światło, charakterystyczne gorseciki (czyli kultowe małe ceramiczne płytki), poręcze, balustrady, interesujące detale, np. klamki od okien. Bardzo lubię przyglądać się drzwiom prowadzącym do kamienic, usytuowanym w lekkich podcieniach.

Chciałabym zwrócić uwagę na jeszcze jedno miejsce, oddalone nieco od centrum. To ul. Gołębia, w dzielnicy industrialnej. Zaraz po wyjściu z autobusu widać suwnicę i Bałtycki Terminal Kontenerowy. Można podejść blisko i poczuć również ten portowy, bardzo ważny aspekt Gdyni.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

** Dyrektor Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni*

Fot. Anna Rezulak, Shutterstock

eprasa.pl bd0b11d332



SŁODKO-SŁONY

Czas na polską cytrynę

ANNA MONICKA

O owoce pigwowca zaczynają żółknąć i spadać z krzaków, a to oznacza, że nadchodzi najcięższy czas dla naszej domowej fabryczki przetworów. Trzeba będzie siekać twarde jak kamienie kulki. Ale nie ma wybacz, skoro wszyscy czekają na zimowe soki i nalewki.

Pigwowce są idealne do sadzenia przy płotach, bo tworzą kolczasty gąszcz, przez który trudno się przedrzeć nawet dzikim zwierzętom. Zbieranie owoców wymaga poświęcenia, bo roślina broni ich ostrymi cierniami. Ale zwykle udaje nam się zerwać kilka wiaderek. Przed obrabianiem tych plonów trzeba solidnie naostrzyć noże – najlepiej sprawdzają się moje ulubione nakiri z szerokim, prostokątnym ostrzem, wywodzące się – podobnie jak pigwowce – z Japonii.

Linia produkcyjna wygląda tak: pokrojone owoce trzeba zasypać warstwami cukrem (1 kg pigwy, 0,5 kg cukru oraz 1 l 70-proc. alkoholu), podlać 150 ml i odstawić na miesiąc, a gdy cukier się rozpuści, dolać resztę alkoholu i znowu odstawić na kolejny miesiąc. Potem zlać nalew, owoce znowu zasypać niewielką ilością cukru, a gdy ten się rozpuści, oba soki wymieszać, przefiltrować, przelać do butelek i odstawić na dwa tygodnie. Dla fanów dłubaniny pozostają jeszcze pestki. Z nich można wyczarować amaretto. Przepis jest banalnie prosty: 250 g pestek, 250 ml wody, 250 ml spirytusu i 250 g cukru. Pestki zalewamy ostudzonym syropem z wody i cukru oraz alkoholem. Odstawiamy w słoju na miesiąc, potem wyrzucamy pestki i możemy próbować.

Po całej tej operacji zostają owoce, które warto zamrozić w woreczkach i dodawać do kompotów, zimowej herbaty albo zmiksować, podlać sokiem z jabłek i przesmażyć (można dodać także miód z cynamonem). Wyjdzie pyszny mus do kanapek albo pieczonego czy duszonego mięsa.

Moja siostra wpadła również na pomysł przerobienia posiekanych w paski owoców na czipsy – płucze je, a gdy obcieknę, rozkłada na blasze w piekarniku i suszy w 60 st. Celsjusza z termoobiegiem, przy lekko uchylonych drzwiczkach. Trwa to kilka godzin (trzeba do nich zaglądać i przekładać od czasu do czasu), ale warto. Można je potem zjadać albo dorzucać do parzenia herbaty czy innych rozgrzewających napitków.

Fot. Shutterstock



Głowacica (*Hucho hucho*)



Pstrąg potokowy (*Salmo trutta*)

Pstrąg i głowacica

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy myśli się o rybach górskich rzek Polski, do głowy przychodzi przede wszystkim pstrąg potokowy. I słusznie. Jako jedyny gatunek ryby oprócz głowaczy zamieszkuje najwyższe partie górskich potoków – nieraz tak wąskie, a przy tym tak rwące, przedzielone wodospadami i bystrzami, że wydawałoby się, że w ogóle niedostępne dla ryb. Może dla głowaczy – rybek małych, zadowalających się swoim terytorium, obejmującym dający schronienie głaz i jego otoczenie. Tymczasem pstrąg potokowy, jedyny rodzimy gatunek pstrąga, to ryba dorastająca – w przypadku największych osobników – do ponad 5 kg masy ciała. Oczywiście w górskich potoczkach takie olbrzymy raczej się nie trafiają i dominują pstrągi niewielkie. Niemniej pstrąg swoimi zdolnościami do zasiedlania cieków, wydawałoby się, nieodpowiednich dla ryb, budzi podziw.

Pstrąg potokowy jest elementem naszej ichtiofauny, który można uznać za oczywisty – choć jeżeli zastanowić się nad nim z opisanego powyżej punktu widzenia, jest raczej fascynujący niż oczywisty.

Podobnie oczywiste wydaje się to, że potoki łączą się, wpadają do większych rzek i w końcu uchodzą do Morza Bałtyckiego. Mamy jednak w Polsce rzeki z innego świata, a na pewno z innej zlewni. Niektóre z nich, stosownie do swojej odrębności, są zamieszkane przez ryby zasadniczo przynależne do innych części kontynentu, a mimo to należące również do ekosystemu naszego kraju.

Jedną z takich rzek jest Czarna Orawa. Niewielka rzeka na południu Polski zbiera wody z jeszcze mniejszych potoków, meandrujących wśród góralskich wsi, i łączy się z Białą Orawą, tworząc Orawę, która z kolei jest dopływem Wagu, wpadającego do Dunaju, kończącego swój bieg w egzotycznej rumuńskiej delcie i ostatecznie w Morzu Czarnym.

Jak przystało na wyjątek wśród polskich rzek, Czarna Orawa ma również wyjątkowych mieszkańców. To łosoś Dunaju, jak nazywana jest głowacica. Rzeczywiście należy do ryb łososiowatych, jest jednak znacznie większa od łososia – największa głowacica mierzyła blisko 2 m i ważyła 60 kg.

Czarna Orawa natomiast (i być może niektóre z jej dopływów) jest jedyną rzeką w Polsce, w której głowacica występuje w sposób naturalny.

eprasa.pl bd0b11d332

3 MIŁOŚCI

Wojna dwóch paradygmatów



ROBERT TEKIELI

W dzisiejszym świecie istnieje zorganizowana siła, która usiłuje zniszczyć Zachód przy użyciu niekontrolowanej migracji. Wcześniej w tej wojnie mieliśmy trwającą 15 lat serię krwawych zamachów, dokonywanych przez Al-Kaidę oraz ISIS, która rozpoczęła się 11 września 2001 r. największym atakiem terrorystycznym w historii i trwała do ogłoszenia przez kanclerz Niemiec Angelę Merkel Willkommenspolitik w sierpniu 2015 r. Wtedy to, 11 lat temu, zmieniła się metoda, cel wojny jest jednak ten sam. Falę migracyjną dalej wspierają elity największych krajów Unii Europejskiej.

Komisja Europejska ustanowiła się właśnie paneuropejskim suwerenem. To, czego w 2005 r. nie udało się zrobić poprzez ustanowienie konstytucji dla Europy – w wyniku referendów we Francji i Holandii – zostało przeprowadzone za pomocą strategii „małych liter" przez ostatnie dwie dekady. Polityka Komisji Europejskiej prowadzi UE ku samobójstwu, m.in. poprzez ekopolitykę i politykę migracyjną. Skrajnie lewicowa ideologia zrównoważonego rozwoju oraz nienawiść do chrześcijaństwa pchają lewicowo-liberalne elity do zniszczenia cywilizacji wywiedzionej z Objawienia.

Wojnę na Ukrainie zaczyna wygrywać Rosja i już wiosną 2027 r. możemy mieć nowy system bezpieczeństwa w Europie, który po 35 latach znów będzie współtworzyć Moskwa, co może być dla Polski zabójcze. I nie widać, by pokolenie 40-letnich polskich polityków, mające intuicję archaiczności naszej strategii narodowej, było gotowe i zdolne do przejęcia władzy w Warszawie. Polska ma szansę na suwerenność pod przynajmniej trzema warunkami: musi odrzucić ideologiczny dyktat Brukseli, uniemożliwić nielegalną migrację i stworzyć nad Wisłą znaczący ośrodek siły, co stało się udziałem np. Turcji w ciągu ostatnich dwóch dekad. W innym przypadku staniemy się zglajchszaltowaną i eksploatowaną strefą buforową pomiędzy Berlinem a Moskwą.

Interesy agresywnych nacjonalizmów są realizowane – jak zawsze – za pomocą ataku na wartości patriotyczne narodów słabszych, takich jak polski. Dzieje się to kosztem wspólnot narodowych walczących o podmiotowość w świecie global-

Jeśli Europa chce przetrwać, musi zanieść Afryce Europę. Wystarczy porównać dzietność kobiet, by wiedzieć, że nad Starym Kontynentem zawisło widmo afrykańskiego potopu. Kobiety w Czarnej Afryce rodzą po pięcioro, sześcioro dzieci, Europejki – statystycznie – niewiele ponad jedno. Europa stoi przed wyborem egzystencjalnym

nej polityki. Akceptacja roszczeń nacjonalizmów rosyjskiego i niemieckiego jest w Europie powszechna.

To, że dziś używa się prowokowanej migracji jako broni, nie oznacza, że w niedalekiej przyszłości nieprowokowana już bomba demograficzna nie wybuchnie Europie w rękach. W tej sytuacji niesamobójczy europejski establishment nie może dalej zapraszać miliony nieasymilujących się młodych mężczyzn, musi zaś przygotowywać się na demograficzny armagedon.

Jeśli Europa chce przetrwać, musi zanieść Afryce Europę. Wystarczy porównać dzietność kobiet, by wiedzieć, że nad Starym Kontynentem wisi widmo afrykańskiego potopu. Kobiety w Czarnej Afryce rodzą po pięcioro, sześcioro dzieci, Europejki – statystycznie – niewiele ponad jedno. Europa stoi przed wyborem egzystencjalnym.

Połowa populacji Afryki Subsaharyjskiej nie skończyła 14. roku życia. Oznacza to nieuniknione podwojenie się ludności tego obszaru do 2050 r. Czyli walki plemienne i głód, co oznacza kilkanaście milionów zdeterminowanych ludzi rocznie na południowej granicy Europy.

Bez aktywnej polityki redystrybucyjnej to będzie jej koniec. Sytuacja porównywalna do wieków ciemnych po upadku cesarstwa rzymskiego.

Europa nie jest sumą mieszkańców niewielkiego półwyspu azjatyckiego. Jest projektem, organiczną całością kulturową. Przed Karolem Wielkim była eklektycznym zbiorem plemion. Europę stworzył dopiero chrześcijański uniwersalizm wsparty niezłomną wolą cesarza oraz intelektem najwybitniejszych ówczesnych myślicieli: mnicha Alkuina, Pawła Diakona, Odona z Metzu i Piotra z Pizy. Europa jest wspólnotą wiary i kultury. Poczucie zagrożenia tej wspólnoty pomogło ukształtować europejską tożsamość. Jednak dziś rządzący działają, jakby nie byli świadomi zagrożenia.

Europa może się rozpaść i ponownie stać się przestrzenią walk plemiennych, klanowych i mafijnych. Wystarczy zniszczyć więzi religijne i kulturowe. Dokonuje tego ta sama ideologia, która

eprasa.pl bd0b11d332



dziś cenzuruje portale i gazety, wyrzuca z pracy za poglądy, narzuca się homogolizną na ulicach.

A tu zbliża się demograficzny potop. I to, do czego doprowadziła Angela Merkel, podejmując decyzję o wpuszczeniu do Europy milionów młodych mężczyzn, już za 20 lat będzie się nam jawić jako niewiele znaczący eksces. Zapowiedź.

Europa musi wyeksportować swój dobrobyt do Afryki i do tych części Azji, gdzie rodzą się właśnie przyszli potencjalni emigranci. Zawołanie: „pomagamy na miejscu" to ledwie taktyczna samoobrona. W krajach z nadmiernym dziś potencjałem demograficznym musimy zakorzenić uczciwą dystrybucję dochodu, stabilność polityczną i rozwój społeczny. Europie potrzeba przywódców, którzy będą zdolni do działania w perspektywie przynajmniej trzech pokoleń. Prawdopodobieństwo, że tacy się znajdą, jest nikłe. Chciałbym się mylić. Więc co przed nami? Będziemy budowali mur na Odrze i Nysie. Kiedy już cały Zachód stanie się no-go zone? A może upodobnimy się do Starej Europy?

Społeczeństwa Zachodu są rozbrojone całkowicie. Duchowo i mentalnie. Ideologie i pokolonialne wyrzuty sumienia paraliżują wolę dumnych niegdyś narodów. Będziemy budować mur. Przed nami dramatyczne lata.

Słabnięcie cywilizacji, która od pięciu wieków dominowała nad światem, jest konsekwencją procesów trwających od końca średniowiecza. Rewolucja neomarksistowska to spadkobierczyni protestantyzmu ze swą totalną teologią negacji, rewolucji francuskiej, rewolucji masońskiej w Meksyku, gdzie już w 1910 r. rewolucyjni terroryści postanowili zniszczyć Kościół katolicki, bolszewickiego puczu oraz rewolucji narodowo-socjalistycznej w Niemczech i Austrii. Operatorzy cichej rewolucji działają na polu oczyszczonym przez praktycznie całkowitą sekularyzację Zachodu w latach 50. XX w. Rewolucja nihilizmu wygrała wojnę z zachodnim ładem społecznym, używając cenzury, poprawności politycznej, kategorii „mowy nienawiści", coraz mniej aksamitnego terroru, postmodernistycznej rewolucji językowej i nowoczesnej, najczęściej bluźnierczej sztuki, odbierając piękno kolejnym pokoleniom. Do tego dochodzą procesy w sferze religijnej, duchowej, o których piszę od lat.

Prawda jest mową nienawiści dla tych, którzy kłamią. Herbert Marcuse, ideolog rewolucji 1968 r., napisał wprost: tolerancja to tolerancja dla lewicy i nietolerancja dla prawicy: „Jest pan przeciw mowie nienawiści? – To zależy, kto mówi".

Próba wprowadzenia do polskiego prawa kategorii „mowy nienawiści" jest krokiem ku aksamitnemu totalitaryzmowi, który opanował kraje Starej Europy. Mowa nienawiści, koncept grup dominujących w UE, polega na eliminowaniu z przestrzeni społecznej wypowiedzi sprzecznych z poprawnością polityczną. W ten sposób wprowadza się twardą ideologię. Za pomocą cenzury.

We Francji do więzienia idzie się za mówienie, że aborcja to zło, za niezgodę na małżeństwa homoseksualne czy za stwierdzenie, że nadmiar imigrantów wpłynie niekorzystnie na tradycyjną kulturę.

Praktyki stosowania nierównowagi charakterystycznej dla narzędzia socjotechnicznego, jakim jest „mowa nienawiści", widzimy wszędzie. Bluźnierstwa są najwyższą formą sztuki i wolności artystycznej, a kpina z Jerzego Owsiaka to faszyzm i antysemityzm.

Już wkrótce mową nienawiści – obok obrony życia od poczęcia aż do śmierci, braku zgody na imigrantów, wyrażania wątpliwości co do obecności kultury homoseksualnej w przestrzeni publicznej – może zostać również sprzeciw wobec pedofilii, wskazywanie nieuczciwości osób publicznych, obrona wiary i Kościoła, obrona rodziny i ojczyzny.

Pamiętamy przecież, że wsadzanie polskiej flagi w psią kupę jest radosnym happeningiem, sikanie do zniczy na Krakowskim Przedmieściu – fajną zabawą, zbieranie w trakcie „sztuki" pieniędzy na zabójstwo polityka, którego się nienawidzi – wyrazem wolności artystycznej. Jasne. Potworne rysunki z „Charlie Hebdo" z kopulacją osób Boskich są super, plastusie to Auschwitz.

Prof. Rzepliński mówił w czasie poprzednich rządów, że po zwycięstwie potrzeba będzie kilku obozów koncentracyjnych po 30 tys. dla tych najbardziej zajadłych. Mowa nienawiści tłumaczy się prosto: co wolno wojewodzie, to nie tobie, smrodzie.

Równolegle do tresury społeczeństw trwa tresura środowisk naukowych. 90-letniemu Jamesowi Watsonowi, nobliście, odkrywcy DNA, odebrano rozliczne tytuły, bo przedstawił publicznie wyniki badań, z których wynika, iż IQ jest skorelowane z przynależnością rasową. Noblista został ukarany za mówienie prawdy.

Trwa konsekwentna praca nad zbiorową świadomością. Ścierają się światopoglądy ateistyczny oraz magiczny z chrześcijańskim, w szczególności z katolickim. Alternatywny porządek globalny walczy z cywilizacją chrześcijańską. Zwycięstwo w tej wojnie dwóch paradygmatów rozstrzygnie o losach ludzkości.

Fot. TheMachineStops/Robert J. Fisch

eprasa.pl bd0b11d332

OGNIEM NA WPROST

Klęska, nie remis



Andrzej Rafał Potocki

„Prezydent Rosji może pójść teraz na ustępstwa i próbować doprowadzić do jakiegoś porozumienia, ale to byłby dowód jego słabości, katastrofa dla jego wizerunku i oznaczałoby to kres jego kariery politycznej. Dlatego wybrał straszenie Europy, bo wie, że Stary Kontynent ma tendencje do panikowania – stwierdził amerykański politolog George Friedman. I dodaje: „Rosjanie są zdesperowani, ponieśli sromotną porażkę na Ukrainie. Putin rozgrywa swoją ostatnią kartę. Ale ma powody, by sądzić, że Europejczycy łatwo wpadną w panikę. I zmuszą Ukrainę do ustępstw". Jak kontynuuje Friedman: „Jeśli Rosjanie tej wojny nie wygrywają, to oznacza ich klęskę, nie remis. Opanowali jedynie drobną część Ukrainy, blisko własnej granicy. Mają setki tysięcy ofiar, ogromne straty w sprzęcie, w samej Rosji rośnie inflacja, ich instalacje naftowe są regularnie niszczone przez Ukraińców". Friedman analizuje również politykę prezydenta USA. Zdaniem Donalda Trumpa Europejczycy zawsze jechali na gapę, licząc na to, że w razie poważnego konfliktu Stany Zjednoczone przyjdą im z pomocą. „Ale z drugiej strony – mówi Friedman – niezmiennie traktowali nas z wyjątkową arogancją. Zwłaszcza żołnierzy US Army. Doświadczyłem tego na własnej skórze, kiedy jako młody człowiek odbywałem służbę wojskową w Niemczech, i to w czasach największej eskalacji zimnej wojny". W opinii Friedmana Waszyngton ma już dość robienia z siebie frajera, co niezmiennie charakteryzowało i charakteryzuje dyplomację Berlina. Politolog zauważa, że „Trump dostrzega, w którą stronę zmierza Polska, jak intensywnie się zbroi i wie, że z punktu widzenia USA wzmacnianie waszego kraju jest najlepszym oraz *de facto* najtańszym sposobem na obronę wschodniej flanki NATO przed potencjalną rosyjską agresją. Podnosi tym samym dla Rosji cenę ewentualnego konfliktu". To wszystko jest pocieszające, o ile zgraja, która obecnie rządzi naszym krajem, tego nie spartoli.

Tuż przy granicy z Polską Kacap zaatakował dronem Gierań-5 ukraiński pociąg pasażerski, którym podróżowało 206 osób. Na szczęście obyło się bez ofiar, bo wyszkolona obsługa w porę ewakuowała podróżnych. A u nas rządzący wpadli w typową dla siebie wojenną histerię. Dziś coraz więcej faktów ujrzało światło dzienne. Okazuje się – jak pisze portal Defence 24 – że celem najprawdopodobniej byli wracający z Kijowa uczestnicy konferencji YES (Yalta European Strategy). W pociągu dyplomatycznym, który kilka chwil przed atakiem przekroczył ukraińsko-polską granicę, znajdował się m.in. były premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson oraz Carl Bildt, premier Szwecji w latach 1991–1994. Z informacji podanych m.in. przez „Türkiye Today" wynika, że pociąg „uniknął zniszczenia tylko dlatego, że ze względu na stałe zagrożenie celowo zmieniono jego rozkład i przyspieszono odjazd zaledwie kilkanaście minut wcześniej". Ale chytry Kacap miał w zanadrzu drugi cel. Gdy pociąg z Johnsonem był już w Polsce, zaledwie kilkadziesiąt metrów od uszkodzonego składu – po ukraińskiej stronie – trwał postój innego pociągu. Według „The New York Times" podróżował nim David Petraeus, były szef CIA. Ale jak to Ruski – chciał ubić dwa zające za jednym strzałem, a wyszło trafienie poza tarczą. No cóż. Moskal strzela, Pan Bóg kule nosi. A u nas szefowi MON i jego mediom znowu zaczęły się trząść portki.

Na koniec naprawdę dobra wiadomość. Przed Sądem Ostatecznym stanął gen. mjr Anton Grunis, dowódca 4. Samodzielnej Brygady Strzelców Zmotoryzowanych. Oficer zasłynął m.in. z osobistego meldunku dla Władimira Putina dotyczącego rzekomego zdobycia Konstantynówki w obwodzie donieckim. Niedługo później otrzymał tytuł Bohatera Rosji. Teraz kacapskie źródła potwierdziły jego śmierć. Wcześniej 4. Samodzielna Brygada Strzelców Zmotoryzowanych Grunisa uczestniczyła w walkach m.in. w rejonie Bachmutu i Czasiw Jaru. Śmierć generała potwierdził Apti Ałaudinow, dowódca czeczeńskich sił specjalnych Achmat i zastępca szefa Głównego Zarządu Wojskowo-Politycznego Sił Zbrojnych Moskwy. Niestety nie są znane okoliczności doręczenia wezwania na rozprawę przed Sąd Ostateczny.

Współpraca: ***„Skipper"***

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl bd0b11d332

***Michał Korsun** prezentuje:*
Bo zupa była za słona...



Wycinki z przeszłości

Jesień w Tatrach zachwyca spokojem, kolorami i mniejszym tłokiem. Tak samo było w dwudziestoleciu międzywojennym. Już w 1930 r. „Auto i Turystyka" zachęcało, by właśnie wtedy odwiedzać Tatry. „Czar jesieni, czerwieniejące buki na reglach" i spokojniejsze szlaki miały tworzyć wyjątkową atmosferę. Jak pisano: „Wygodniej w pensjonatach, przestronniej w lokalach rozrywkowych – spokojniej w głębi Tatr". Autor tekstu zauważał: „dziwię się, czemu ludzie tak mało korzystają z jesieni".

(sp)



Z WOLEJA

Nie ze mną te numery, Brunner!



Ryszard Czarnecki

Kultowe słowa por. Klossa ze „Stawki większej niż życie" – filmu, który oglądali wszyscy, choć nie wszyscy się do tego przyznają – przypomniały mi się w ostatnich dniach. Tak powiedział polski szpieg w niemieckim mundurze do niemieckiego SS-manna. Podkreślam – niemieckiego SS-mana, bo przecież były też ukraińskie czy holenderskie dywizje SS.

Dopiero co Paris Josua Brunner, piłkarz AS Monaco, ale reprezentant Niemiec (53 mecze i 34 gole w barwach tego kraju w kategoriach młodzieżowych), po strzeleniu gola w lidze w spotkaniu z RC Strasbourg tak się ucieszył, że z radości pokazał francuskim kibicom drużyny przeciwnej gest... podrzynania gardła. Niemiec za to beknie. Warto jednak pamiętać, że uczynił to w mieście okupowanym przez jego kraj do końca I wojny światowej.

Ale ta sprawa musi wywołać pozapiłkarskie refleksje. Otóż powszechnie mówi się, że przybysze z Afryki, a także wielu krajów Azji, nie asymilują się w państwach, do których przybywają oni sami lub przybyli ich rodzice. Tymczasem piłkarz – *nomen omen* Brunner – o korzeniach z Konga zasymilował się w 100 proc.! Wręcz idealnie pasuje do swoich nowych rodaków! Co prawda on tylko pokazuje, a oni praktykowali unicestwianie wrogów.

Cała sprawa skończy się na tym, że futbolista, grający wcześniej m.in. w Dortmundzie, Essen i Bochum, dostanie zapewne jakąś karę finansową, może go zawieszą i zresocjalizują, aby już więcej nie sugerował zabijania fanów drużyny przeciwnej. Ale przecież karać powinno się również tych, którzy w Zagłębiu Ruhry wychowali takiego Kongo-Niemca zgodnie z niemiecką tradycją, niemiecką historią i niemieckimi wartościami.

Jedni żyją w klimatach totalitaryzmu zachodniego, czyli niemieckiego, a inni w tradycji totalitaryzmu wschodniego, czyli sowieckiego. ZSRR już nie istnieje, ale czerwona miłość nie rdzewieje. Mieliśmy już wybryki komunistycznych kibiców z Cypru (Omonia Nikozja), którzy – gdy ich drużyny grały z polskimi klubami – wywieszali transparenty pochwalające agresję sowieckiej Rosji na Polskę w 1939 r. Ale takie lewackie sympatie żywią również fani niemieckiego St. Paul, włoskiego Livorno czy izraelskiego Hapoelu Tel Aviv. Przydomek tego ostatniego klubu to nie bez kozery „Czerwoni". W czasie obecnych rozgrywek europejskich pucharów jego kibice podczas meczu z GKS Katowice wywiesili transparent z napisem „Red is good" w odpowiedzi na wcześniejszy transparent kibiców z Górnego Śląska „Red is bad". Cóż, również w tym sporze rację mają Polacy.

eprasa.pl bd0b11d332



OD A DO ZYBERTOWICZA

Romantyzm stepu

Realny nomadyzm to sztuka przetrwania wbrew kaprysom pogody, nie filozofia wolności. Wolność istnieje, dopóki trawa odrasta, a stado żyje

Mieć życie nie za trudne, lecz nie nazbyt łatwe – to klucz do dobrej egzystencji. Tak mówi doświadczenie pokoleń – od starożytnej koncepcji złotego środka po współczesne badania psychologii szczęścia.

Nadmierne unikanie dyskomfortu osłabia odporność psychiczną, wyzwania są potrzebne dla rozwoju, a równowaga sprzyja dobrostanowi. Taka myśl, niezbyt oryginalna – choć dla wyznawców hasła „wygoda *über alles*" zaskakująca – nasunęła mi się podczas kilku dni spędzonych niedawno w Mongolii.

ŻYCIE WĘDROWNE

Do Ułan Bator poleciałem na konferencję zorganizowaną przez The Comparative Civilizations Forum – międzynarodowe stowarzyszenie zajmujące się analizami różnych cywilizacji. Motyw wiodący obrad – obecna odporność ludzkiej cywilizacji.

Poza debatami organizatorzy dali uczestnikom szansę zobaczenia tradycyjnego mongolskiego życia wędrownych pasterzy. W Mongolii, liczącej ok. 3 mln mieszkańców, ponad połowa żyje w stolicy, ale pasterski tryb życia nadal prowadzi ok. jedna trzecia ludności.

TĘSKNOTA ZA WOLNOŚCIĄ

Rozmawiając z uczestnikami konferencji, słyszałem nieukrywaną tęsknotę za smakiem życia na bezkresnym stepie. I nie dziwota. Podczas wypadu poza stolicę widzieliśmy niebo większe niż państwo, jurty, które w pół dnia można złożyć, a potem rozłożyć gdzie indziej. Konie, owce i kozy jako podstawę bytowania.

Wolność od szefa, czynszu i sąsiada za ścianą. Gościnność: herbata z mlekiem, baranina; nawet obcy nie zostanie na przenikliwym chłodzie. I coś, z czego Mongołowie są bardzo dumni – ciągłość od epoki Czyngis-chana: ten sam odległy horyzont, ten sam wiatr, ten sam ogień w środku jurty.

Nomada nie „mieszka" – należy do krajobrazu. Bieda może wyglądać na prostotę, trud na hart ducha. Państwo jest daleko, step jest domem.

JEDNAK…

To perspektywa romantyczna: zdrowe stado, śmiech dzieci przy palenisku, droga, której końca nie widać.

W istocie jednak mało kto „wędruje, dokąd chce". Ruch to nie wakacyjna wędrówka. To praca: złożyć jurtę, załadować na ciężarówkę albo wielbłądy, ustawić w nowym miejscu, często zmagając się z wiatrem. Są też prawa zwyczajowe, są studnie, których nie wolno zająć obcemu. A kopalnie albo drogi węglowe są coraz częściej w poprzek dawnych szlaków.

Dzień często wypełnia troska o mleko, obornik, szukanie zagubionej kozy, naprawa ogrodzenia dla jagniąt, nasłuchiwanie radia, czy nadchodzi śnieg. Zimą temperatury spadają poniżej -40 st. Celsjusza. Latem dokuczają muchy, kurz i susza. Dzieci często są w internacie – szkoła nie jeździ za stadem.

Telefon – jest. I panel słoneczny, i motocykl zamiast samego konia. Jest też dług zaciągnięty pod przyszły kaszmir, uzyskiwany dzięki rosnącej liczbie kóz, które niszczą step, bo wyjadają rośliny z korzeniami. To, czy ich hodowla ma sens, ustala rynek w Chinach. Państwo chce podatku od sztuki, a miasto z konieczności przyciąga tych, którym padło zbyt wiele zwierząt.

Wnioski? Realny nomadyzm to sztuka przetrwania wbrew kaprysom pogody, nie filozofia wolności. Wolność istnieje, dopóki trawa odrasta, a stado żyje. No właśnie – dopóki trawa odrasta! Bo gdy romantyzm mówi: „niczego nie potrzebujemy, tylko stepu", realizm odpowiada: „potrzebujemy takiego stepu, który nadal rodzi trawę i stada, które przetrwa zimę".

GLOBALIZACJA I ZMIANA KLIMATU

Dziś Mongołowie płacą cenę za przyniesione przez globalizację ocieplenie klimatu. Kraj nagrzewa się szybciej niż średnia świata: 2,1–2,4 st. Celsjusza w ciągu ostatnich 80 lat. Opady stały się mniej regularne, a susze i burze pyłowe – częstsze. Step przestał być przewidywalny. Kalendarz pasterza się psuje, bo marzec bywa ostrzejszy od stycznia, a grudzień cieplejszy niż pamięć dziadka.

A jednak setki tysięcy ludzi z uporem pozostają na stepie. Miasta przynoszą bowiem utratę tożsamości i błyskawiczną utratę poczucia własnej godności.

Być może dlatego nasuwa mi się skojarzenie z amiszami. Nie chodzi o prostą ucieczkę od nowoczesności, lecz o próbę zachowania świata, w którym trud ma sens, bo daje kontrolę nad życiem.

Nie jest łatwo mieć życie, które nie jest ani zbyt trudne, ani zbyt łatwe.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl bd0b11d332



GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43	EPG 825, EPG PON 257	YouTube TelewizjawPolsce24
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio	multiMedia	

eprasa.pl bd0b11d332

CZYTAJ TYCH, KTÓRYM UFASZ



E-PRENUMERATA

SIECI + wPolityce.pl Premium+

50% TANIEJ



TWOJA SUBSKRYPCJA TO:

- Najświeższe e-wydanie „Sieci” już w niedzielę o 18:00
- Wszystkie teksty wPolityce.pl Premium+ zawsze pod ręką
- Dostęp do archiwum tygodnika „Sieci” i magazynu „wSieci Historii” oraz e-booków „Sieci Extra”
- Cegiełka do budowy niezależnych, patriotycznych mediów

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

WEJDŹ NA: **siec.wpolityce.pl/oferta**

eprasa.pl bd0b11d332